

Witold St. Michałowski

Testament barona

Mapki opracował: Witold Michałowski

Autorzy zdjęć: Janusz Sergo Kuruliszwili, Andrzej Strumiłło, Szymon Wdowiak oraz zdjęcia archiwalne

Wydanie polskie 1973

Spis treści:

WIELKIE PLANY ESAUŁA.....	1
AZJATYCKA DYWIZJA KONNA.....	10
STEPOMI KONDOTIERZY.....	21
PREZYDENT SYBERII.....	26
SKARB BARONA.....	33
ODWIEDZINY W ŻÓŁWINIE.....	38
W KRAJU BOGÓW, ZWIERZĄT I LUDZI.....	42
PORTRETY PRZODKÓW.....	51
CAGAN TOŁOGOI.....	62
FOTOGRAFIE.....	68

WIELKIE PLANY ESAUŁA.

Stacja Jekatierinonikolska nad Amurem, odcięta przez większą część roku od cywilizacji i carskich czynowników oceanem skutej mrozem lub pokrytej liszczami oparzelisk i bagien tajgi, nikczemną była miejsciną. Czerwono malowana, kopulasta cerkiew, telegraf, trzy sotnie Kozaków. W wolnych chwilach Kozacy uprawiali ziemię, walczyli z tajgą i rzeką, rozlewającą się szeroko po minięciu skalnych wrót pomiędzy Małym Chinganem i pasmem Gór Burejskich. Na opał używano, tak jak w chińskich fanzach¹ po drugiej stronie Amuru, wysuszonego nawozu. Podróż z Irkucka przez Sretieńsk trwała 24 dni. Wyruszało się kibitką. W Sretieńsku podróżni przesiadali się na statek „Amurskiego Parocihodstwa”. Po 12-dniowym rejsie statek dobijał do przystani w Chabarowsku. W stanicie, leżącej na dzień drogi przed Ghabarowskim, zwykle nie stawał, lecz - płynąc wolno tuż przy brzegu - zrzucił tylko pakiet z pocztą.

Zależnie od pory roku, zasypany po dach w śniegu lub tonący w błocie domek z nieokorowanych bali zamieszkiwał sotnik II-go Pułku Kozaków Zabajkalskich. Lat mógł mieć około trzydziestu. Wysoki, szczupły, nieco żylasty blondyn, z bładoniebieskimi, płonącymi dziwnym blaskiem, niewinnymi oczami. Prowadził kawalerski tryb życia. W piecach nie palił. Pensja oficerska starczała za ledwie na parę dni. Resztę dawało polowanie i rybołówstwo. Wiosną i jesienią dosiadał mądrego kabardyńca², zabierał ordynansa i ruszał na łowy. Gdy wracał, zapraszał panów oficerów i Kozaków. Wędzono szynki dzików, łosi i jeleni. Całe tusze mięsiwa piekły się na rożnie. Ucztowano bez końca. Kości dla psów rzucano pod nogi rozstawionych na krzyżakach w ogrodzie stołów. Szampan, a jak jego zabrakło to zwykła siwucha i chińska wódka ryżowa, lały się strumieniem. Pito tęgo. Do zatraty pamięci, czucia, człowieczeństwa. Grano w karty. Przepijając i przegrywając pensje z góry za całe lata służby, rodzinne fortuny, jeśli kto je miał, samych siebie. Ulubioną rozrywką nadamurskich „zielonych garnizonów” była zabawa w „kukułkę”. Kukułka! Taki nieduży ptaszek z szaropopielatymi piórkami.

¹ fanza - chałupa, mieszkanie biedoty miejskiej i wiejskiej w Chinach.

² kabardyniec - rasa koni pochodzących z Kaukazu

Nawet dość popularny. Z ilości „kuknięć” wróży dziewczynom lata dzielące je od zamążpójścia, ilość dzieci.

Na dalekowschodnich rubieżach imperium „kukułkę” wyznaczał los... gry towarzyskiej panów oficerów. Kopniakami zmuszano właściciela jakiejś fanzy do wpuszczenia wesołego towarzystwa do stodoły, gdzie zajmowano miejsce na słomie. Zapiierając wrota, pozostawiano w środku na klepisku „kukułkę”, mającą - podobnie jak wszyscy - już porządnie w czubie. „Kukułka” wypijała dla kurażu stakan spirytusu i zabawa ruszała na dobre. Pechowiec kukał, a pozostali rąbali w niego z naganów. Trafić po prawdzie nie było łatwo; nocą w stodole ciemno że oko wykol, a w dodatku „kukułka” miała prawo po kuknięciu odskoczyć w bok. No i alkohol robił swoje. Trafiano jednak często. W „kukułkę” lub w pozostałych uczestników zabawy. Trupy chowano nazajutrz z honorami wojskowymi. W raportach dla Petersburga figurowali jako polegli na polu chwały. Skrytobójczo zamordowani przez przewrotnych „kitajców”. Nuda, monotonia, chandra.

Dni, miesiące, lata miały bezpowrotnie. Szare, ponure. Potomek osiemnastu pokoleń von Ungern-Sternbergów kariery w carskiej armii nie zrobił. On, w którego żyłach płynęła krew wojów Attyli i krzyżowych rycerzy, był esauem, zaledwie esauem. Bezczyinnie gnuśniejącym na słomianym barłogu w zimnej, wilgotnej chacie. Ze zdrętwiałej ręki wypada Nietzsche. Szepcze: Nadczłowiek jest treścią ziemi. Tylko my, Niemcy, możemy uratować to imperium. Rosjanie, są do tego niezdolni. Swołocz, mierzwa ludzka. Chyba że Kozacy. Ci cenią walkę, zdobycz, krew. Reszta - tfu! Zgnij tu do końca. Drwią z niego, że chodzi na co dzień w pocerowanym mundurze. On, baron! Nie ma ratunku znikąd. Chyba że coś się stanie i pryśnie ten przeklęty spokój, bezczynność. A wojna musi przynieść odmianę, awanse, ordery. Wtedy pokaże, kim naprawdę jest. Będzie dowodził. Wykaże temu słowiańskiemu bydłu swą wartość.

W 1911 roku zachodnie rejony Mongolii oczekiwały kolejnej inspekcji mandżurskiego działnia³. Miała być już ostatnią. Raz na trzy lata działnia-dziun rezydujący w Uliasutaju wizytował posterunki strażnic rozciągniętych w linię na granicy z Urianchajem. Spodziewano się najgorszego. Tym razem żądania satrapy były bowiem znacznie większe niż zwykle. W pobliżu każdej strażnicy musiano rozbić 30 białych jurt. Kilka jurt, wysłanych najprzedniejszymi dywanami, udrapowano czerwonym sukniem. Dla dostojników przygotowano setki koni, a do transportu bagażu - wiele dziesiątków jaków i wielbłądów. Stawili się ułaczeni⁴. Na każdą strażnicę nałożono daninę - 1500 łań⁵ srebra, przeznaczoną na pokrycie kosztów utrzymania działnia-dziunia i jego świty. Nie mało. Po wykonaniu prostych działań arytmetycznych okazało się, że danina ta wynosiła blisko 55 kilogramów czystego metalu. Araci⁶, lamowie⁷, a nawet nojonowie⁸ klnąc pod nosem zmierzali ku południowym stokom gór Tannu Oła. Tam, w pobliżu brzegów jeziora Ubsa nur, przebiegała granica. Nie bez sporów pomiędzy choszunami⁹, dotyczących liczby przewidzianego na daninę bydła, ilości srebra, liczby ułaczeń oddanych do dyspozycji działnia-dziunia, starano się zebrać wszystko na czas. Główna trudność polegała na zdobyciu srebra. Sezon handlowy już minął. Bydło, sery, wełnę sprzedano, a pieniądze rozeszły się. Zostało jedno. Prosić o pożyczkę srebra chińskie firmy „Da-Szen-chu” lub „Juan Szen-de”, których dłużnikami były prawie wszystkie choszuny okręgu kobdoskiego. Obie firmy reprezentowały kapitał rzędu trzydziestu milionów rubli. Ich właściciele nie odmówili. Pożyczki nie dostali tylko najbardziej zadłużeni. Za dostarczony kruszec araci mieli zapłacić w przyszłym roku - serem, bydłem i baranami, które dopiero miały być wyhodowane.

Część wielbłądów i koni, prawie miesiąc oczekujących na przyjazd satrapy, padła. Ubytek uzupełniono, pożyczając zwierzęta u najbliższych mieszkańców. Wreszcie działnia-dziun przybył.

Bambusowe pałki pohulały po krnąbrnych mongolskich karkach. Nie oszczędzano ani prostego arata, ani nojona. Jeśli pełniący urzędy zdołali pochwycić wyróżniające ich czapki z różnokolorowymi gałkami, otrzymywali tylko normalną porcję plag, a nie wzmocnioną. Kolor gałki oznaczał sprawowaną rangę. Najniższą - biały, nieco wyższą - niebieski, a jeszcze wyższą - czerwony. Bambusy szły w ruch pod byle pretekstem. Wystarczyło, że koń potknął się pod pijanym od opium chińskim żołdakiem, a ten tłukł wszystkich, którzy mieli nieszczęście wejść mu pod rękę. Bito za to, że juk spadł z wielbłąda, że jurty niedostatecznie białe lub źle wyposażone, jednym słowem bito, i to nielicho, na każdym kroku. Kiepsko idący rysak lub „jednochodiec” (stępak), niezbyt niski ukłon w momencie odbierania konia i...

³ działnia-dziun (chin.) - gubernator

⁴ ułaczen (mong.) - woźnica

⁵ łań (chiń.) - jednostka wagowa równa 36,6 g srebra; równowartość 1,43 rubla

⁶ arat (mong.) - pasterz

⁷ lama (tybet. b'lama - wyższy) - mnich, kapłan

⁸ nojon - książę

⁹ choszun (mong.) - udzielne księstwo, jednostka podziału administracyjnego

chłosta. Wiedząc o tym, Mongołowie wcześniej przygotowywali się, wdzierając grube szuby i zakładając czapki. Jak tylko pogromca zbliżał się, przysiadali w kucki, głowę wciągali między ramiona, osłaniając ją rękami ginącymi w szerokich rękawicach, i zaczęli jak tylko można najgłośniejszym głosem zawodzić, prosząc o zmiłowanie. Niekiedy po prostu dawali drapakę, wskoczywszy na rączego konia. Sprzeciwić się, protestować nikt nie próbował. Oprócz zwyczajnej chłosty wymierzanej ułaczom i urzędnikom, konfiskaty lepszych koni, członkowie świty brali i drobne łapówki. Datki srebra na utrzymanie dworu dzień-dziunia należało czynić na miejscu. Przedstawiciele choszunów, które nie wywiązały się z obowiązkowych dostaw srebra, z reguły aresztowano i odstawiano, jako zakładników, do więzienia w Uliasutaju. Tam, śmiertelnie przerażeni, oddawali w zastaw całe choszuny chińskiej firmie „Dasz-tafi”, z którą dzień-dziun był związany wspólnymi interesami. Firma przejmowała płatności, a dług kazała sobie spłacić w naturze, naliczając lichwiarski procent.

Każda inspekcja dzień-dziunia dawała chińsko-mandzurskiemu namiestnikowi w Mongolii do 60 000 tan srebra, co - przeliczając wg kursu sprzed I wojny światowej - czyni blisko ćwierć miliona rubli. Jeszcze w 1919 roku I. M. Majski, naczelnik ekspedycji „Centrosojuza” badający stosunki ekonomiczne w Mongolii, napisze, że jej mieszkańcy zadłużeni są u kupców i lichwiarzy chińskich ponad wartość ich aktualnego stanu posiadania.

* * *

Położoną w okręgu kobdoskim u zbiegu dwóch górskich rzeczek Tjurgun i Songino, wypływających z północnych stoków pasma Chan-Chuchej Uła, faktorię bogatego kupca Mokina wypełniał latem gwar i praca. Pora postrzyżyn owiec i skupu wełny sprzyjała ożywianiu kontaktów towarzyskich i wymianie nowin. A tych było niemało. Obok śpiewanych wieczorami przy wtórce towszura¹⁰ rapsodów o walkach Tochtocho-tajdzi¹¹ i opowieści o kolejnych dziwactwach Żywego Boga - Bogdo-gegena¹² pojawiły się i inne, przekazywane szeptem z ust do ust. Z okazji Nadomu¹³ - wielkiego święta urządzanego co roku na cześć Bogdo-gegena, przybyli do Urgi książęta. W świętym lesie Góry Bogów, gdzie ich nie mogły śledzić oczy chińskich szpiegów, odbyli tajne narady. Wkrótce po tych wydarzeniach zniknęli książę Chanda Dordzi i lama Czing-wang. Już w absolutnym sekrecie dodawano, że udali się oni do białego chana - cara rosyjskiego, aby prosić o pomoc.

W raporcie konsulatu rosyjskiego w Urdze skierowanym do Petersburga w dniu 15 sierpnia 1911 roku jest zdanie, że „delegacja [Mongołów - przyp. W. M.] przedłożyła prośbę o przyjęcie Chachły pod protektorat Rosji”. Wysłannikom udzielił audiencji P. Stołypin. Przyjął list od Bogdo-gegena i chanów - władców czterech ajmaków¹⁴, na jakie dzieliła się Mongolia. Odpowiedział krótko. „Nie należy przedsięwziąć żadnych aktywnych kroków i działań przeciw legalnej władzy, zachować spokój, a w zamian rząd rosyjski postara się wpłynąć na Chiny w kierunku ograniczenia intensywnego przesiedlania Chińczyków i wysyłki wojsk do graniczącej z nami Mongolii”. Zrozumiałe, że taka odpowiedź nie zachwyciła delegatów, oczekiwali czegoś więcej. „Postara się wpłynąć na Chiny”. A tu mandzurskie jarzmo gnioło coraz bardziej nieznośnie. Rosyjskim kolonistom i kupcom dawała się we znaki konkurencja Chińczyków, dlatego też, mimo negatywnego stanowiska Petersburga, przemycali po cichu broń do Mongolii i podtrzymywali na dudhu skłonnych do powstania chanów.

A. W. Burdukowa, młodego zaufanego rodziny Mokinów, od wielu już lat przemierzającego z partiami bydła i wełną szlak karawanowy przez góry Tannu Oła do Bijska i Barnaulu, mało to obchodziło. Polityką zajmie się później. Samouka porwała wielką przygodę etnografii. Wcześniej poznawszy różne dialekty mongolskich języków, lubiany i ceniony przez autochtonów, zdołał rychło pozyskać ich zaufanie. Postanowił zbierać i zapisywać stare przypowieści, bajki, legendy. Chyba nie tylko, skoro dziwnym trafem w archiwach odnaleziono i depesze Burdukowa zawierające informacje o uzbrojeniu chińskiej załogi w Kobdo, ilości okrążających ją Mongołów czy nastrojach ludności. Z latami pod wpływem Polaka, profesora Władysława Kotwiczą, zajął się wyłącznie pracą naukową. W wydanych ćwierć wieku po śmierci wspomnieniach opisze dziwne spotkanie, jakie miał jesienią 1913 roku, podróżując w sprawach handlowych z Uliasutaju do Kobdo.

¹⁰ towszur (mong.) - instrument strunowy, rodzaj bałałajki

¹¹ tajdzi (mong.) - królewicz

¹² Bogdo-gegen (dosł. Boska Świątość) - tytuł głowy kościoła lamajskiego w Mongolii

¹³ Nadom, nadam, nadaam, naadam (mong. Наадам; dosł. "zawody") - tradycyjny, coroczny festiwal sportowy i jedno z głównych świąt państwowych w Mongolii. Nadom określane jest też w Mongolii jako erijn gurwan naadam (эрийн гурван наадам), czyli "trzy główne zawody", gdyż obejmuje tradycyjnie trzy konkurencje: zapasy, łucznicstwo i wyścig konny.

¹⁴ ajmak (mong.) - jednostka podziału administracyjnego, dzielnica

Zajrzyjmy do pamiętnika Burdukowa. Przy pożegnaniu z rosyjskim konsulem, od którego otrzymał pakiet z przesyłkami, dowiaduje się, że będzie miał „interesującego towarzysza podróży”.

„Jakoż wkrótce przygotowano odpowiednie dokumenty dla nas obu, a także specjalne zaświadczenie dla nieznanego, mniej więcej tej treści:

Taki to a taki pułk Amurskiego kozackiego wojska stwierdza, że przeszedłszy dobrowolnie do rezerwy porucznik Roman Teodorowicz Ungern-Sternberg, udaje się na zachód w poszukiwaniu śmiałych czynów.

Człowiek ten tylko co przygalopował z Urgi i chciał natychmiast jechać dalej. Chudy, obszarpany, niechlujny, obrosły żółtawą szpeciną na twarzy z wyblakłymi, zastygłymi oczami szaleńca. Na oko można mu było dać lat około trzydziestu, chociaż zapuścił bródkę. Mundur miał wyjątkowo brudny, spodnie przetarte, cholewy butów w dziurach. Przy boku wisiała szabla, u pasa rewolwer, a karabin wiózł ułaczen. Juki podróżnego były puste, tylko w dyndającym brezentowym worku na dnie tkwiło jakieś zawiniątko. Rosyjski oficer jadący znad brzegów Amuru przez całą Mongolię i nie mający przy sobie ani pościeli, ani zapasowej odzieży, ani też prowiantu czynił niezwykle wrażenie. Zanim jeszcze zdążyliśmy opuścić miasto, zaczął brutalnie popędzać ułaczena, aby ten szybciej jechał. Ułaczen wypuścił konie i rączo pomknęliśmy po uliasutajskiej dolinie do klasztoru Ebugun chure i położonej opodal pocztowej stolicy Ałdar. 15 stanic znajdujących się pomiędzy Uliasutajem a Kobdo przemierzaliśmy w niepełne trzy dni. Porucznik Ungern okazał się niezmordowanym jeźdźcem. Chociaż małowówny, przecież rozgadał się w końcu. Twierdził, że nienawidzi spokojnego życia, ma bowiem w żyłach krew nadbałtyckich rycerzy i dlatego pragnie dokonać czynów bohaterskich. Na wschodzie panował głęboki spokój i panowie oficerowie usychali z nudy... I oto przeczytał w gazetach, że w Kobdo wojna i dlatego udaje się tam jako ochotnik, dobrowolnie poprosiwszy o dymisję.

Po drodze przez cały czas rozpytywał o Dambi-Dżamcana¹⁵, o charakter wojny z Chińczykami, rozważając jak by tu najszybciej znaleźć się w Gurbo-Cencher, aby wziąć udział w powstaniu Mongołów [...]. Pociągało go wojenne rzemiosło, a nie walka w imię jakichś tam ideałów. Najważniejsze to strzelać i rąbać, a z kim i kogo to już nieistotne [...]. Przygotowując się do służby w oddziałach mongolskich, sumiennie zapisywał słowa i prosił, abym go uczył mówić.

Mimo że przez cały czas galopowaliśmy prawie bez wytchnienia na każdej stacji pocztowej awanturował się przy zmianie koni z ułaczenami. Aż było wstyd, że są u nas tacy niewychowani oficerowie. W myśli kłębem konsula za obdarzenie tego rodzaju kompanionem. Powiedzieć cośkolwiek narwańcowi było po prostu niebezpieczne.

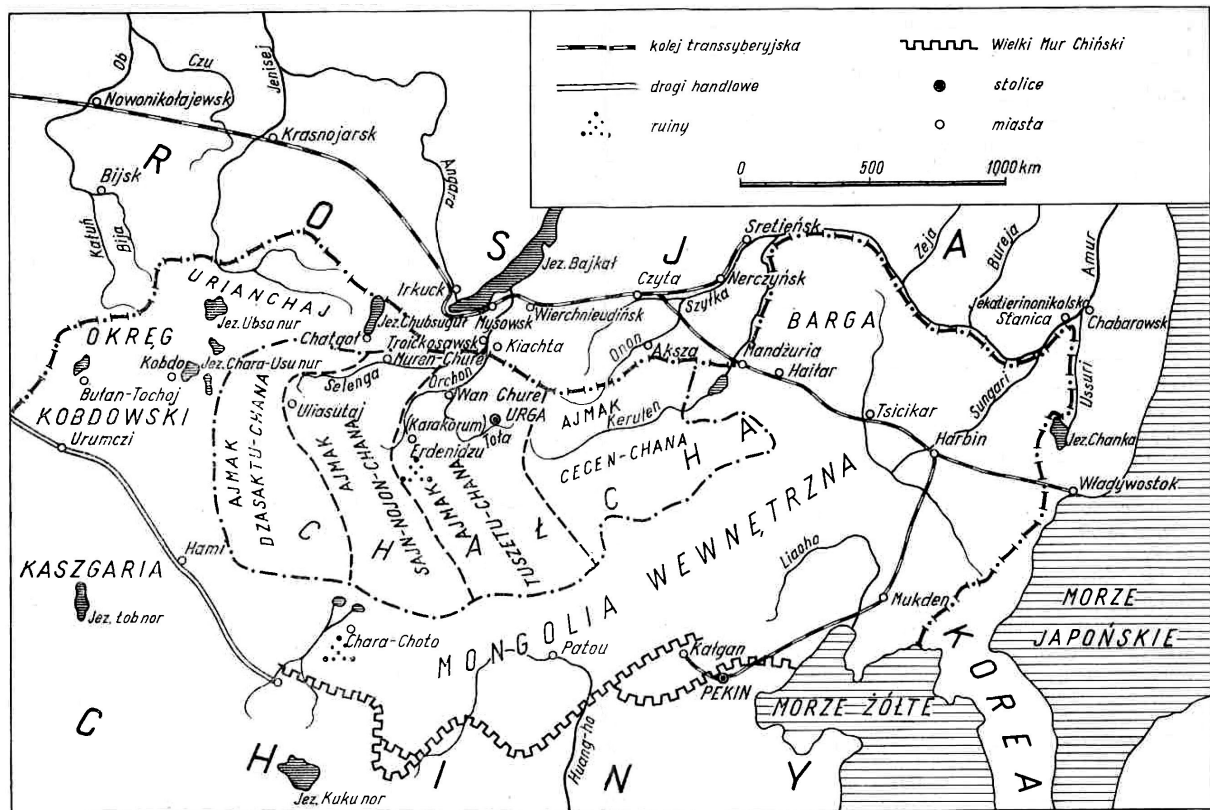
Szczególnie utkwił w mojej pamięci etap z Dżargałantu do jeziora Chara-usu nur. Ulegając namowom Ungerna, wyjechaliśmy nocą. Obląkany baron w ciemnościach usiłował pędzić cwałem. W dolinie, już niedaleko od jeziora, rychło zgubiliśmy trakt, który wiodł przez błota w pobliżu przybrzeżnych szuwarów. Ułaczen stanął i nie zamierzał ani kroku jechać dalej, mimo razów, jakie otrzymywał. Schowawszy głowę w ramionach, leżał bez ruchu, chlipiąc cicho. Baron wścickły zsiadł z konia i ruszył przodem nam rozkazawszy jechać za nim. Z zadziwiającą zręcznością odszukując w kępach najlepszą drogę, prowadził około godziny, wpadając często powyżej kolan w topiel, i na ostatku wywiódł z błota. Traktu jednak nie odnaleźliśmy. Ungern długo i chciwie wciągał powietrze, chcąc po zapachu dymu określić kierunek, gdzie znajdują się ludzkie siedziby. W końcu powiedział, że pocztowa stacja blisko. Pojechaliśmy za nim. Rychło usłyszeliśmy w oddali szczekanie psów. Niezwykły upór, okrucieństwo i zwierzęcy prawie instynkt mego towarzysza wywierały niesamowite wrażenie.

Rano dobiliśmy do Kobdo. Ungern zajechał do swego przyjaciela, kozackiego oficera Riezuchina, i nazajutrz spotkałem go w czystym umundurowaniu. Widocznie pożyczył je od kolegi, żeby udać się do konsula i naczelnika garnizonu.

Zarówno konsul, jak i naczelnik garnizonu rosyjskiego w Kobdo odnieśli się do pomysłu ochotniczego zaciągu sceptycznie i nie wyrazili zgody na podjęcie służby u Mongołów; baron zmuszony był wrócić do Rosji”.¹⁶

¹⁵ Dambi-Dżamcan - lama, kałmuk astrachański; pojawił się w Mongolii około 1890 r. i rozpoczął działalność niepodległościową. Popierali go niektórzy książęta i wyżsi lamowie

¹⁶ A. W. Burdukow: W starożytnej i nowożytnej Mongolii, Moskwa 1969, str. 100-102



Mongolia na początku XX w.

Kobdo było wówczas trzecim po Uliasutaju i Urdze ośrodkiem miejskim Mongolii Zewnętrznej. Centrum miasta stanowiły zabudowania kilku faktorii kupieckich, położone wzdłuż jednej głównej ulicy. Dalej rozciągało się mrowie jurt i lepionych z gliny, nawozu i chrustu bajszyńów. Prostokątny gliniany mur z wieżami na rogach otaczał twierdzę. Nieźle zachowany, pozostał do dziś. W miejscu, gdzie ongiś rezydował amban¹⁷ i kwaterowały lanze¹⁸ chińskiej piechoty, są grządki z jarzynami. Jeszcze sześćdziesiąt lat temu w Kobdo nie było cmentarza. Zmarłych wynoszono w stęp, do wąskiego wąwozu za miastem, gdzie funkcje grabarzy pełniły watahy psów-ludojadów. Obyczaj lamajski zakazywał kopania ziemi. Ziemię uważano bowiem za świętą. W Mongolii, z wyjątkiem rejonów północnych, prawie zupełnie nie ma drzew. Za opał służył wysuszony nawóz zwierzęcy, przeto spalić nieboszczyków albo zaszytych w skóry powiesić na starych świerkach - jak to robili Gilacy nad Morzem Ochockim - też nie było można.

7 sierpnia 1912 roku sfederowane oddziały Baitów, Ojratów, Bargijców i Chałchasów pod wodzą Dambi-Dżamcana i Maksordżaba, położyły kres mandżurskim porządkom w Kobdo. Bogdo-gegen nagroził pierwszego dożywotnio tytułem Bogodzin Nojon chutucht¹⁹, a drugiego rangą bejse²⁰ i mianem Chatan Bator (Skala Bohater), pod którym go znamy jako ministra wojny i późniejszego bohatera rewolucji w Mongolii. Dambi-Dżamcana, który w podległym choszeniu poczynił sobie jak udzielny książę i usiłował uniezależnić się również od opieki „Matuszki Rassiejii”, aresztowali wkrótce Kozacy wysłani specjalnie z Kobdo, gdzie już wszechwładnie panował konsul rosyjski. Powodem aresztowania Dżamcana było... niewypełnienie rozkazu o mobilizacji wielbłądów do przewiezienia furażu. Ogłoszono, że jest rosyjskim poddanym, zbiegłym z turmy astrachańskim Kałmukiem Amur Sanajewem. Podającego się za potomka Amursany (ostatniego księcia Dżungarii, walczącego z południowymi okupantami o chański tron w 1755 roku) pod silnym konwojem odstawiono do Bijska, a następnie do Tomska. Na wszelki wypadek aresztowano i Chatan Batora, ale po krótkim śledztwie wypuszczono go na wolność. Znany nam już Burdukow wystawił Dambi-Dżamcanowi jak najlepsze świadectwo, pisząc w liście do Kotwicza, wysłanym z Changelcyku 29 maja 1914 roku: „Zawsze

¹⁷ amban - namiestnik, gubernator mandżurski

¹⁸ lanza (chiń.) - pułk

¹⁹ chutucht (od mong. chutagt) - dosł. przepelniony świętością, święty; jeden z wyższych tytułów w hierarchii kościoła lamajskiego. W Mongolii do 1924 r. działało ok. 140-150 chutuchtów - „żywych wcieleni bóstw lamajskich”.

²⁰ bejse (mong.) - książę 4 stopnia

uważałem go za rusofila a nie rusofoba. Dzięki temu, że przez dwa lata propagował on w okręgu kobdoskim rosyjskie buty i nakrycia głowy, zarówno jedne jak i drugie" zaczęły teraz wchodzić w użycie. Skutecznie pokonał uprzedzenie do europejskiej odzieży, jakie tu panowało, i to też jest niemała zasługa wobec Rosji. Rzecz jasna, że nasi dyplomaci nie powinni go poniżyć i podporządkowywać swoim rozkazom tak, jak to uczynili z innymi, podobnie jak nie wolno było dopuścić do oszukiwania Mongołów przez naszych kupców [...]”²¹.

Wbrew temu, co sądził Burdukow, narwany baron do Rosji nie wyjechał. Przebywał w Mongolii aż do wybuchu I wojny światowej. Czy w tym czasie został buddystą lub zyskał wyższy stopień lamajskiego wtajemniczenia? Przyjmijmy że tak było, dając wiarę późniejszym biografom. Natomiast niewątpliwie dobrze poznał kraj i stosunki w nim panujące, tym bardziej że był to już jego drugi dłuższy pobyt w tym kraju. W 1910 roku przez pewien czas pełnił służbę w kozackim oddziale ochrony konsulatu rosyjskiego w Urdze.

Na temat bohaterskich czynów jakich chciał dokonać, historia milczy. Ambicje musiał jednak mieć nieliczne, skoro w jednym z listów do rodziny stwierdził, że „stosunki w Centralnej Azji są takie, że jeśli się jest obrotnym to można zostać nawet cesarzem Chin”. Wysoko mierzył. Cóż. Alboż to nie był z rodu von Ungern-Sternbergów.

* * *

Początek XX wieku przyniósł Chinom daleko idące zmiany. Nasilająca się działalność różnych ugrupowań i partii nacjonalistycznych oraz coraz większy opór stawiany przez ludność bezwzględnemu wyzyskowi ze strony Jan-gui-tzy (Zamorskich Diabłów) spowodowały upadek cesarstwa. Kraj pogrążył się w otchłani bezprawia i anarchii. Ostatni cesarz Suan-Tung abdykuje w 1911 roku. Generałowie, stworzywszy własne partie polityczne, wydzierają sobie poszczególne prowincje. Suan-Tung nie przypuszcza jeszcze, że los spłata mu niezwykle figla. Oto drapieżny imperializm japoński, usiłujący opanować jak największe obszary Azji i zdobyć hegemonię na tym kontynencie, powoła 8 listopada 1932 roku na terenie chińskich prowincji Liaoning, Cilin i Hejlungoiang, pozornie niezależne państwo - Mandżukuo, ze stolicą w Hsinkingu. Państwo to obejmuje obszary m.in. Mongolii Wewnętrznej, a więc tereny między Chinganem, Wielkim Murem, rzeką Amur i górami Changpaj-szan. Nominalnym władcą, ba cesarzem nawet, zostanie ogłoszony - pod imieniem Pu-I - właśnie Suan-Tung. Będzie nim aż do 1945 roku, zajmując się głównie filatelistyką. Zmarł przed niespełna dziesięciu laty, jako pracownik naukowy uniwersytetu w Pekinie.

Gdy na czele pierwszego w historii Chin republikańskiego rządu stanął Juan-Szi-Kai, w czterech ajmakach Mongolii Zewnętrznej - Cecen-chana, Tuszetu-chana, Sajn-Nojon-chana i Dzasaktu-chana - ogłoszono odezwę do narodu, wzywającą do wyrzucenia z kraju okupantów i obwołania chanem Bogdo-gegena. Mandżurski amban musiał opuścić Urgę. Po długich pertraktacjach i zawilej grze politycznej, prowadzonej przez wysłanników Bogdo-gegena prawie we wszystkich stolicach najpotężniejszych mocarstw, dopiero w maju 1915 roku zawarto w Kiachcie trójstronne porozumienie, dotyczące formalnego, z punktu widzenia prawa międzynarodowego, uznania autonomii nowego teokratycznego państwa. Nie obejmowało ono jednak Mongolii Wewnętrznej i Bargi, które pozostały w Chinach. Wkrótce okazało się, że podpisanego w Kiachcie porozumienia nie zamierzał respektować żaden z potężnych sąsiadów Mongolii. Uzyskawszy przewagę nad przeciwnikami po opanowaniu całych północnych Chin, sprzymierzony z projapońską militarystyczną grupą Anfu - marszałek Czang-Tso-Lin wykorzystał moment załamania rewolucji na Syberii.

W 1918 roku wkroczył do Mongolii zorganizowany przez niego korpus ekspedycyjny, a generał Czen-I, namiestnik Urgi, zredagował dokument zatytułowany „74 Punkty dotycząca poprawy przyszłej sytuacji w Mongolii”, zawierający ni mniej, ni więcej tylko pokorną prośbę do rządu chińskiego o przyjęcie rezygnacji z przyznanej niedawno autonomii. Pamiętając o losie osiemdziesięciu przedstawicieli arystokracji mongolskiej, zamorzonych głodem parę lat wcześniej w jednym z parków Pekinu, Bogdo-gegen z całym rządem bez protestów złożył podpis na dokumencie. Traktował on ten epizod jako tymczasowe ustępstwo w grze. Dowodem realizmu politycznego otoczenia Żywego Boga jest fakt, że poprzednio ten sam rząd odmówił poparcia dla inspirowanego przez Japonię ruchu panmongolskiego, głoszącego hasła Wielkiej Mongolii rozciągającej się od Mandżurii do Tybetu i od Uralu po Wielki Mur. Wśród feudałów - doradców Bogdo-gegena byli potomkowie Czingiz-chana posiadający białą kość - cagan jasun, którzy twierdzili, że to Chiny winny należeć do Mongolii. Czang-Tso-Lin miał jednak inne zdanie. To przesądziło.

²¹ A. W. Burdukow, op. cit, str. 283

Powołano „Ministerstwo do Spraw Zarządzania Północno-Zachodnią Częścią Kraju i Ogólnego Rozstrzygnięcia Wszelkich Spraw Polepszania Przyszłości Mongolii Zewnętrznej”. Surowo zakazano używania słów „państwo mongolskie”, obchodzenia rocznicy uzyskania autonomii itd.

Bogdo-gegeza zamknięto w Zielonym Pałacu u stóp Bogdo Uł (Świętej Góry, Góry Bogów). Tam oczekiwał na dalszy rozwój wypadków. Zastanawiająca zmiana zaszła w tym azjatyckim Borgii. W młodości budził zgorzniecie pijackimi orgiami i procesjami nagich prostytutek, ciągnących jego ekwipaż po ulicach Urgi. Nie przeszkadzało to zbyt kapłańskim kolegom, rezydującym w tybetańskich klasztorach Potala i Naramban. Kiedy jednak objawił zainteresowanie sprawami politycznymi, być może z inicjatywy Pekinu, wysłano turdzy-lamę ze specjalną misją. Biedaka, przechwyciwszy natychmiast po przybyciu z Lhasy, zmuszono do połknięcia na wszelki wypadek wszystkich przywiezionych płynnych i sproszkowanych, mikstur i co było łatwe do przewidzenia, lama w przyspieszonym tempie osiągnął nirwanę - stan wiekuistej szczęśliwości.

* * *

Esauł Roman Teodorowicz cesarzem Chin nie został, choć, być może, znajdował się już na dobrej drodze, aby swoje zamiary urzeczywistnić. Wielka Wojna nareszcie zaczęła się. Za Habsburgów, Romanowych, Hohenzollernów biją się po obu stronach wschodniego frontu Polacy, Ukraińcy, Niemcy.

Większość załogi CK. austro-węgierskiej, najpotężniejszej w Europie (po Antwerpii i Verdun) twierdzy Przemyśl składa się z żołnierzy słowiańskiego pochodzenia. A w armii cara batuszki krzyże georgijewskie za dzielność otrzymują Rennenkampf, Wrangel, Ungern.

Ten ostatni do służby czynnej zgłasza się już 19 lipca 1914 roku. Odkomenderowano go do dońskiego pułku Kozaków, który działał w Prusach i koło Augustowa. Zmieniwszy po odniesionych ranach jednostkę, służy w turkiestańskiej Dzikiej Dywizji. Niepospolicie odważny, kolekcjonuje najwyższe odznaczenia bojowe. Odtąd widzimy go zawsze z Krzyżem Oficerskim św. Jerzego na piersi. Na stokach Gorganów i Czarnohory walczy pod dowództwem Wrangla, tego samego, który tak złowrogo zapisał się później w pamięci obywateli Związku Radzieckiego. Tam poznał pół-Buriata pół-Rosjanina Grigorija Siemionowa, z którym połączyła go przyjaźń i wspólny nałóg - narkotyki. Karpacki teatr wojenny opuścił Ungern w dość niecodziennych okolicznościach. Jadąc z frontu rumuńskiego do Petersburga na spotkanie rycerzy św. Jerzego, na stacji kolejowej w Jassach spoliczkował po pijanemu jakiegoś wysokiego oficera, bo ten nie zatroszczył się dostatecznie szybko o zapewnienie dalszej podróży. To nie Mongolia. Groził sąd polowy i kula w łeb. Z opresji wyciągnął go dowódca pułku, zresztą chyba nawet spowinowacony czy krewny, załatwiając mu równocześnie skierowanie na front kaukaski. W czasie rewolucji marcowej przebywał na urlopie w Rewlu (dziś Tallinn). Gdy do władzy doszli bolszewicy, „w poszukiwaniu bohaterskich czynów” wraca na Zabajkale, aby z osiedleńców Kozaków i Buriatów tworzyć oddziały do walki z „komunistyczną zarazą”. Po klęsce kontrrewolucji jeden z ukazujących się tam dzienników opublikował ankietę personalną Ungerna, znalezionej w wojskowym archiwum po wyzwoleniu Nerczyńska. Pochodzi ona z 1917 roku, a więc z okresu, kiedy nasz bohater nie zdołał się jeszcze wsławić wyrafinowanym okrucieństwem i wyjątkową nawet w tej krwawej przeciw rewolucji, nienawiścią do rodzaju ludzkiego, dzięki której jego otoczone ponurą legendą imię przeszło do historii. W 11 bodaj punkcie ankietę zawiera niezwykle charakterystyczne zdania:

„W dziedzinie wojskowej jest świetnym oficerem, nieustraszony i odważny, daje sobie wzorowo radę w różnych sytuacjach. W dziedzinie moralnej trzeba mu zarzucić stały pociąg do picia, przy czym nietrzeźwy zdolny jest do czynów niegodnych oficerskiego munduru. Z powodu skłonności do alkoholu został przeniesiony do rezerwy, zgodnie z potwierdzoną przeze mnie uchwałą starszych oficerów pułku”.

Podpisano dowódca pułku baron Wrangel

Dla atamana Kozaków zabajkalskich Grigorija Siemionowa to, że przyjaciel skłonny jest do czynów niegodnych oficerskiego munduru nie miało żadnego znaczenia. Po ucieczce przed władzami rewolucyjnymi do Mandżurii potrzebował ludzi. Proklamowawszy emigracyjny Rząd Tymczasowy, powołał Buriacki Wydział Narodowy dla zjednoczenia wszystkich Buriatów z Mongolii, Mandżurii i Zabajkale. Na czele Wydziału stanęli nojonowie i lamowie broniący starego porządku i instytucji

chubiłganów²². Próby przeobrażenia ich współplemieńców w stan kozaczy, co by pozwoliło na powszechny pobór do wojska, spaliły na panewce. Dopiero później, korzystając z napływu dziesiątków tysięcy rozbitków z armii Kołczaka, Siemionow sformował trzy korpusy, uzbrojone i wyekwipowane przez wypróbowanego sojusznika - Japonię.

Młoda władza radziecka przeżywała najcięższy okres. Na Syberii trwała wojna domowa. Inspirowana przez obcą interwencję rebelia legionów czeskich, utworzonych z byłych jeńców armii austriackiej, którzy opanowali linię kolejową od Kazania do Władywostoku, umożliwiła kontrrewolucyjny przewrót. Rozszalał się biały terror. Uzbrojona przez Ententę, świetnie wyekwipowana, licząca przeszło ćwierć miliona bagnatów i szabel armia ponosiła jednak klęskę za klęską. Ogłoszony Wielkorządcą Wszechrosji admirał Kołczak, w trudniejszych chwilach przyznający w przyszłej odrodzonej Rosji nawet pewną autonomię dla Polski, rychło w popłochu musiał opuścić Omsk, desygnowany na tymczasową stolicę odrodzonej monarchii. Uchodząc na wschód z zapasem złota carskiej Rosji, liczącym około 20 tys. pudów²³, a podjętym ze skarbca kazańskiego banku, miał nadzieję, że nad Bajkałem powstrzyma zwycięski marsz Armii Czerwonej. Nie zdążył zrealizować planów uzgodnionych z przedstawicielami misji wojskowych Japonii, Francji i Stanów Zjednoczonych. Z wyroku sądu rewolucyjnego w Irkucku 7 lutego 1920 roku rozstrzelano admirała na lodzie Angary. Ciało spłynęło do Morza Karskiego. W ostatnim rozkazie przekazywał „władzę” na wschodzie kierowanemu przez Siemionowa Rządowi Rosyjskich Kresów Wschodnich z siedzibą w Czycie.

Baron Ungern jest prawą ręką atamana Siemionowa. W początkach 1918 roku przebywa jeszcze w północnej Mandżurii, gdzie zajął, przy pomocy wojowników mongolskich z plemienia Characzynów, Hajłar - główne miasto prowincji Barga, leżące nad górnym biegiem rzeki Arguń, przy wschodnim odgałęzieniu kolei transsyberyjskiej.

Pułkownik, bo teraz niedawny esaul awansował już szybko, poczyna sobie jak udzielny książę. Wydaje liczne wyroki śmierci na emigrantach z ogarniętej pożogą wojny domowej Syberii. Sądzony jest każdy, na kogo padł choć cień podejrzenia o sprzyjanie rewolucji. Żałując amunicji, nieszczęsne ofiary po prostu każe żywcem palić w paleniskach lokomotyw. Prowadzi jednocześnie dość elastyczną politykę zjednywania opinii publicznej. Za wstawiennictwem jednego ze swoich oficerów artylerii, Antoniego Aleksandrowicza, ofiarowuje dom na potrzeby... polskiej parafii katolickiej w Hajłarze. Wątpliwe, aby Ungern, w dzieciństwie protestant, a później bóg wie kto, uczynił to z sympatii do katolicyzmu lub do słowiańskiego plemienia znad Wisły. Niemcy bałtyccy uchodzili w carskiej Rosji za najgorszych prześladowców Polaków. Ot, po prostu poszukiwał środowisk, na których mógł się z tych czy innych powodów oprzeć. Polacy byli mu widać chwilowo przydatni.

Pod koniec 1918 roku baron przeniósł się do Daurii²⁴, gdzie wziął udział w tworzeniu buriackiej szkoły oficerskiej. Wyjdą z niej przyszli emisariusze idei panmongolskiej i członkowie Związku Rosyjskich Faszystów, działającego w Mandżurii do końca 1945 roku. Zachowały się dwa listy „krwawego barona” pisane w Daurii a adresowane do podpułkownika księcia P. P. Toumbair-Malinowskiego, później generała brygady i przez pewien czas ministra wojny w Mongolii. Zbankrutowany książę strzelił sobie w łeb w Nicei w 1926 roku, ale przedtem przekazał je jednemu z von Ungern-Sternbergów, mieszkającemu w Wuppertal Barmen. Oto list pierwszy z 17 listopada 1918 roku:

Wielce Szanowny Pawle Piotrowiczu!

Proszę załatwić jeszcze jedną sprawę w Harbinie. Niech Pan się dowie u Konstantina Popowa o szczegółach programu konferencji wszystkich narodów w Filadelfii oraz zorientuje się, jakie są możliwości wysyłania na nią delegatów. Trzeba tam wysłać postów z Tybetu, Buriacji itd., jednym słowem z Azji. Myślę, że zanim zostanie zorganizowana konferencja pokojowa, będzie już ona bez sensu, podczas gdy konferencja wszystkich narodów odbędzie się także w wypadku wojny.

Obecność naszych postów na konferencji może się okazać niezwykle owocna. Postowie z Buriacji w ciągu miesiąca, a postowie z Tybetu w ciągu dwóch miesięcy będą gotowi do odjazdu. O tej sprawie zupełnie zapomniałem, dlatego proszę przesłać list expresem, inaczej znajdzie się w dużym kłopotcie. Oczywiście tak, aby

²² Chubiłgan - (od mong. chuwilach) - dosł. przemieniać się, zmieniać się, przeradzać (np. w kolejnym wcieleniu).

²³ 1 pud = 40 funtów = 16,38 kg. Informacja o złocie z: Istorija Sibiri, t IV, Leningrad 1968, str. 158.

²⁴ Dauria - kraj nad Amurem od ujścia rzeki Szyłki do ujścia Zei. Nazwa pochodzi od mieszkającego tam ongiś mandżurskiego plemienia Daurów.

nikt się nie dowiedział, że my w tym maczamy palce! Następnie niech Pan spróbuje zainteresować swoją żonę hasłem: kobiety wszystkich krajów wypowiadajcie się! [podkreślenie Ungerna - przyp. W. M.]. Powinna ona napisać list do głupiej Pankhurst [znanej sufrażystki - przyp. W. M.]; ponieważ na Zachodzie kobiety osiągnęły równe prawa z mężczyznami, tu na Wschodzie trzeba przyjąć siostram z pomocą. Te ostatnie dojrzały już do tego, ale nie mają przywódczyń. Przywódcy Nowej Rosji, jak np. Siemionow, marzą już o równych prawach swoich kochanek wobec „eunuchów”.

W Harbinie trzeba założyć małą gminę Hindusek, Onmianek, Japonek, Chinek, Mongołek, Rosjanek, Polek, Amerykanek. Honorową przewodniczącą powinna być Pani Chorwat, albo żona ambasadora w Pekinie lub Tokio. Gazeta powinna ukazywać się raz w miesiącu w różnych językach. Dziękuję za Pańską pracę, którą wykonuje Pan dzień i noc, boję się jednak, że praca ta niedługo zacznie się Panu nudzić. Spraw politycznych bardzo szybko ma się dość.

Pański oddany pułkownik baron Ungern.

Drugi list był datowany 30 listopada tegoż roku.

Wielce Szanowny Pawle Piotrowiczu!

Pańskie kawały z Popowem przy udziale Kontenjewa, dotyczące barwienia są zbyt wyraźne. Teraz musi Pan jakoś próbować uczynić niemożliwe możliwym i bić monety z wolframu. W Czycie znajduje się około 3000 pudów. Niech Pan się dowie o cenę, wymiary. Może będzie Pan mógł użyć do tego maszyn z Japonii, którymi bije się małe monety, albo zamówi Pan nowe. Niech Pan za nie zapłaci wolframem. Tłoczenie: herb - podwójny orzeł na awersie, herb i wartość monety na rewersie. Arytmetycznie: 1 jednostka srebra plus 1 jednostka złota, zresztą jak Pan chce. Pomysł drukowania pieniędzy papierowych, kiedy ma się na składzie wolfram, jest bezsensowny. Wartość monety należy podać po chińsku, francusku i rosyjsku. Musi Pan porozmawiać się z inżynierami Mujsakowskim i Nikitinem (Nikitin zapewne jest właścicielem hotelu „Mandżuria”). Wróżka przepowiada Panu sąd w Mongolii, dlatego niech Pan nie jedzie dalej, niż do Werchnieudińska. Niech pan działa przy pomocy małego „Czarnego”. Proszę go ściągnąć z góry Chai. Tak będzie lepiej. Niech Pan się postara przekonać pana Tomllina, by w Sądzie Najwyższym w Harbinie zeznawał na moją korzyść. Nawiasem, chcę umieścić chłopca w college'u w Japonii lub Tiensinie. Ile to kosztuje? Proszę przysłać dwa ogiery pełnokrwiste z moim Węgrem do Daurii dla dowódcy sotni i dla esaula Tanajewa. Koniecznie trzeba również przygotować do wysłania wozy i konie: Czanszuk, Czin, Dsja, Tuin oraz zaopatrzyć eskortę w zaliczkę. Będzie się nazywało, że konie zostały odkupione przez Japończyków. Jeszcze czymś muszę Pana obciążyć - potrzebuję dwóch dobrych kierowców. Wysłano po Pana wóz nr 24. Jak się Panu powodzi? Niech Pan nie traci odwagi, już niedługo nasza sprawa zwycięży! Proszę mi przysłać duże koperty i papier listowy. Dopóki alianci się między sobą kłócą wszystko jest dobrze. Proszę o wybaczenie za tyle zleceń i próśb.

Pański bardzo oddamy Baron Ungern

Posiadacz listów, w swojej naiwności czy raczej w swoim braku znajomości dziejów walk z kontrewolucją na Dalekim Wschodzie, twierdzi, że pierwszy z nich jest napisany tajnym językiem i zawiera zaszyfrowane wiadomości. Trudno mu przypuścić, aby w tamtych gorących latach Ungern interesował się konferencją wszystkich narodów i feministkami. Myli się bardzo. Baron rozpoczął już grę o dużą stawkę. Jest pełen optymizmu, bo „dopóki alianci kłócą się między sobą, wszystko jest dobrze”. Jednocześnie widać, jak bardzo jest przesądny. Biografów, którzy z pewnych powodów listów

tych oglądać nie mogli, zaintryguje wzmianka o szczególnym zainteresowaniu ich autora jakimś malcem, którego należy umieścić w college'u. Czyżby syn? Jeśli więc esauł poszukujący „śmiałych czynów” w latach 1911-1913 rzeczywiście spodził potomka, to mógłby to być właśnie on. Później ów młody człowiek pojawił się rzekomo w Paryżu pod opieką starego lamy... Łotysza z pochodzenia.

W początku 1920 roku na wszystkich frontach wojny domowej w Rosji zaszły wydarzenia, które w sposób decydujący wpłynęły na zmianę polityczno-militarną sytuację na Dalekim Wschodzie. Armia Czerwona rozgromiła na głowę popieraną przez Ententę generałów: Kołczaka, Judenicza, Denikina. Na skutek ogólnej sytuacji międzynarodowej i wewnętrznej, dalsze posuwanie się czerwonych w kierunku Bajkału nie było w owym czasie możliwe. Należało najpierw zlikwidować zagrożenie młodej republiki rad ze strony resztek wojsk białogwardyjskich na północy Rosji. Wiosną było już wyraźnie wiadomo, że szykuje się nowa krucjata antybolszewicka. Niemalą w niej rolę miała odegrać Japonia. Jeszcze w grudniu 1917 roku na redzie Władywostoku zakotwiczył krążownik „Iwami” i pancernik „Asachi”, a minister spraw zagranicznych Japonii bez żenady oświadczył, że o ile pozostałe państwa kapitalistyczne wyrażą zgodę, to żołnierze „Kraju Kwitnącej Wiśni” gotowi są zapewnić spokój na całym Dalekim Wschodzie i dojść aż do Irkucka. Co oznaczały te słowa wiadomo. W nocy z 4 na 5 kwietnia 1920 roku oddziały interwencji japońskich, współdziałające z siłami kontrrewolucyjnymi, zlikwidowały organizacje komunistyczne we Władywostoku, Nikolsku Ussuryjskim, Chabarowsku i w większości mniejszych miast Pomorza i Przyamurza. Aresztowanych członków bolszewickiej Rady Wojennej: S. Łazo, W. Sybircewa, A. Łuckina spalono żywcem w palenisku parowozu na stacji Murawiewo-Amurskaja.

W tej groźnej sytuacji Partia uznała, że zapobieżenie dalszemu posuwaniu się interwencji na Dalekim Wschodzie jest zadaniem pierwszoplanowym. Pochód ten zahamowałoby utworzenie buforowego demokratycznego państwa, które winno zyskać uznanie międzynarodowe.

6 kwietnia 1920 roku zjazd delegatów mas pracujących w Wierchnieudyńsku (dziś Ułan Ude) proklamował Republikę Dalekowschodnią (DWR). Nowe państwo liczyło zaledwie dwa miliony mieszkańców, ale za to zajmowało powierzchnię przeszło 1,5 miliona kilometrów kwadratowych i rozciągało się od granic Mongolii do Oceanu Arktycznego i od Bajkału po Kamczatkę. DWR natychmiast otrzymała z RFSRR poważną pomoc ekonomiczną i militarną. Zaostrzenie konfliktów japońsko-amerykańskich na Oceanie Spokojnym, a przede wszystkim umocnienie międzynarodowego położenia Rosji Radzieckiej w wyniku zwycięstw Armii Czerwonej na froncie zachodnim, spowodowały, że Japonia oficjalnie uznała nowe państwo i wyraziła zgodę na rozpoczęcie pertraktacji pokojowych z przedstawicielami DWR. Rozmowy prowadzone od 24 maja do 15 lipca 1920 roku na stacji kolejowej Goltotta (120 km na zachód od Czyty) zakończyły się podpisaniem porozumienia. Interwenci zobowiązali się ewakuować swoje wojska z Zabajkala i Przyamurza. Było to wielkie dyplomatyczne zwycięstwo leninowskiej strategii.

Za grzbietem Gór Jabłonowych w Czycie rezydował jeszcze ataman Siemionow, a we Władywostoku ciągle zmieniały się „rządy” mieńszewików, eserów bądź innych ugrupowań burżuazyjnych. Japończykom zależało oczywiście, aby przed opuszczeniem przez nich Dalekiego Wschodu na placu boju nie pozostała władza radziecka. Do końca listopada armia Republiki Dalekowschodniej i oddziały partyzanckie wyzwoliły Czytę i oczyściły cały kraj z białogwardyjsko-siemionowskich niedobitków. Zarysowała się realna możliwość zjednoczenia wszystkich terytoriów Dalekiego Wschodu w ramach „bufora”.

Ostatecznie, pod naciskiem mas robotniczych w grudniu tegoż roku również i Przymorze z Władywostokiem weszło w skład Republiki Dalekowschodniej. Ogłoszone wkrótce potem wybory do Konstytuanty zapewniły decydującą większość miejsc komunistom.

AZJATYCKA DYWIZJA KONNA.

W katalogu Reference Department Slavonic Collection nowojorskiej Biblioteki Publicznej figuruje około 10 pozycji dotyczących osoby barona Romana von Ungern-Sternberga. Otwiera je zbiór korespondencji z Mongolii, zamieszczonych w gazetach „Pekin Times” i „Tiensin Times” przed pięćdziesięcioma laty. Reszta to opracowania historyczne, powieści wydane w Czechach, Niemczech i Francji, których jest głównym bohaterem, i... pamiętnik esauła Makiejewa pt. Bóg wojny - baron Ungern. Wspomnienia byłego adiutanta naczelnika Azjatyckiej Dywizji Konnej, opublikowany po

rosyjsku w Szanghaju w 1934 roku. Jego autor to dość nikczemna kreatura, znana w szeregach byłych ungerowców pod przezwiskiem „Makarka Duszegubiciel Małyj”. Zapewne zasłużył na nie szczególnym upodobaniem w mordowaniu bliźnich. Podobnych indywiduów dziwnym trafem baron skupił wokół siebie więcej.



Rodowa siedzina Ungernów w Rewlu (Tallin).



Roman Maksymilian von Ungern-Sternberg w wieku lat siedmiu.



Suche Bator



Chatan Bator Maksordżab.

Dla nas wspomnienia te są mniej lub bardziej wiarygodnym dokumentem, pozwalającym poznać bliżej stosunki panujące w dywizji, morale kadry oficerskiej, dzieje walk ugnernowców z bolszewikami i czerwoną partyzantką mongolską. Wątpić należy, aby adiutant znał wszystkie tajne zamysły szefa, jego knowania z Japończykami, Siemionowem, przedstawicielami wywiadu amerykańskiego. Jeśli nawet Makiejew wiedział o nich, to kilkanaście lat później uznał, że należy pominąć je milczeniem. Tak mu było wygodniej. W roku 1934 proklamowano Cesarstwo Mandżurskie i komuś widać zależało, by opowieść o baronie Ungernie, „bogu wojny”, ujrzała światło dzienne, stanowiąc, być może, fragment kampanii propagandowej, przygotowującej kolejną próbę Japończyków opanowania wschodniej Syberii i Mongolii. Mandzurię mieli już w rękach.

„Bóg wojny” - tak pisze o swym wodzu jego były adiutant. W krytycznym momencie wprowadził sam usiłował tego „boga” zastrzelić, ale może w ten właśnie sposób ratował własny nędzny żywot, wykazując, że staje po stronie spiskowców, którym na pół obłąkany baron za bardzo już zalał sadła za skórę. Ale nie wybiegajmy zbyt daleko w przyszłość.

Jest jesień 1920 roku. Zanim ataman G. Siemionow wycofał się, a raczej po prostu uciekł do Mandżurii, pod opieką marszałka Czang-Tso-Lina, rzekomo udzielił przyjacielowi dymisji. Obaj dżentelmeni musieli się wówczas poróżnić, mimo iż przed kilkunastoma miesiącami właśnie Siemionow mianował barona generałem. Na procesie w Nowonikołajewsku Ungern powie, że „Siemionow formował oddziały do walki za monarchię, a on - za konstytuante [...] i dlatego na skierowane do niego, kiedy już był w Mongolii, pisma atamana odpowiedział tylko jeden raz, uważając jego plany za bańkę mydlaną”²⁵. A może po prostu baron von Ungern-Sternberg miał już dość słuchania rozkazów jakiegoś parweniusza i watażka z Bałtyku zdecydował się na działanie zupełnie samodzielne. Z siemionowskich niedobitków formuje 8 sotni Kozaków, nazwanych szumnie Azjatycką Dywizją Konną, i przyczają się w położonej nad Ononem stacją Akszy. Do Czyty jest stąd około 400 wiorst²⁶. Aksza, leżąca w pobliżu granicy mongolskiej na trasie handlowej do Chin, posiadała wyjątkowo korzystne warunki strategiczne i doskonale się nadawała jako punkt wypadowy dla wojsk zamierzających wkroczyć do Mongolii. Jeszcze w kwietniu 1920 roku esauł Kajgorodow na czele utworzonego w Kraju Urianchajskim trzystuosobowego oddziału oblega Kobdo. W następnych tygodniach na terytorium Mongolii przenikają małe grupki kołczakowskich niedobitków i różnej maści przeciwników władzy radzieckiej. Czynią to bez specjalnych trudności. Granicy, liczącej parę tysięcy

²⁵ wg ryskiego korespondenta „Prawdy”. Korespondencja z dnia 29.IX.1921 r.

²⁶ wiorsta - dawna ros. miara długości, równa 1066,78 m

kilometrów i poprowadzonej na poły bezludnymi łańcuchami górskimi, nikt zapewne wówczas nie pilnował.

* * *

Ungern, ubrany w żółty tertyk²⁷ noszący na pagonach znak Czingiz-chana - swastykę, mówiący po mongolsku i szanujący łamów, znalazł od razu wspólny język z plejadą tajdżich, nojonów, bejlów²⁸ i bejsów z wielu mongolskich ulusów²⁹. Chętnie nadstawiają ucha, gdy obiecuje wypędzić Chińczyków i uwolnić Żywego Boga. Być może część dostojników wierzy zapewnieniom generała, że zdoła zjednoczyć wszystkie szczepy od Czaharu do Dżungarii, opanować ogarnięte powszechnym chaosem Państwo Środka i przy pomocy sfederowanych, jak za czasów Temudżyna, ludów Azji podbić Europę, uwalniając ją od „zmory komunizmu”. Od kilku już lat snuje plany założenia zakonu buddyjskich rycerzy krzyżowych. Niewielu znajduje kandydatów; ci, co się zgłaszają, nadają się raczej do pijackiego „Bractwa Lancepupów”.

Krwawe rządy chińskiego namiestnika Urgi generała Czen I, który wymusił na mieszkańcach ogromną kontrybucję i konsekwentnie egzekwuje długi zaciągnięte u chińskich lichwiarzy (wraz z narosłymi przez ostatnie dziesięć lat procentami), wywołują głuchą nienawiść i wrzenie. Ludność stawia opór, narażając się na nowe represje i konfiskaty. Warto tu podać, za historykiem mongolskim C. Iczinchorloo, że według niepełnych danych chińscy militaryści zagrabili ponad 30 000 koni, 14 000 wielbłądów, 7000 sztuk bydła, 65 000 owiec i kóz, prócz tego cenne przedmioty o wartości 1 143 000 tugrików³⁰. Na podatny zatem grunt trafiają słowa odezwy barona, skierowane do ludności wschodnich ajmaków Cecen-chana i Tuszetu-chana. Popiera go duchowieństwo lamajskie. W lecie 1920 roku baron Ungern i pułkownik Aleksandrowicz wyjeżdżają do Mukdeny w celu omówienia z Japończykami problemów militarnych i politycznych związanych z przygotowywanym zajęciem Mongolii Zewnętrznej. Równocześnie cała masa tajnych agentów prowadzi projapońską propagandę w państwie Bogdogegena.

Po powrocie do Akszy, „krwawy baron”, coraz bardziej naciskany przez czerwoną partyzantkę, daje rozkaz wymarszu na południe. Drugiego października Azjatycka Dywizja Konna przekracza granicę mongolską. W jej składzie są dwa pułki, Annenkowski i Tatarski, sześć armat i oddział karabinów maszynowych. Dywizja zmierza w kierunku stolicy ajmaku Cecen-chana.

W tym okresie ma miejsce wydarzenie, które da początek różnym mniej lub bardziej wiarygodnym opowieściom o ungernowskich skarbach. Baron, opuszczając Daurię, gdzie rezydował przeszło dwa lata, pozostawił za sobą ciężkie tabory oraz dwie strzegące ich sotnie sprzymierzeńców - japońską i chińską. Ewakuacją intendentury, sprzętu wojennego i zapasów amunicji kieruje jeden z najbardziej zaufanych oficerów barona, podpułkownik Sipajłow. Usłyszymy o nim jeszcze nieraz. Kolumna kilkuset konnych podwód i zaprzężonych w jaki lub wielbłądy dwukołowych arb ciągnie się na kilka wiorst. W jej środku uwagę zwraca bardzo obciążona czarna tielega³¹. Mówiono, że wiezie kasę dywizji. W konwoju poza wymienionymi sotniami, złożonymi z Azjatów, znajduje się także pluton żołnierzy rosyjskich i kilku oficerów. Ci ostatni opiekują się szczególnie tielegą. Woźnicami są Bargijcy, to jest Mongołowie zamieszkali w Bardze³². Warto to zapamiętać.

Po tygodniu powolnego marszu, zanim jeszcze zdołano rozbić kolejny biwak dowódca sotni chińskiej melduje Sipajłowowi, że jego podkomendni zamierzają wszcząć bunt, wyrznąć Rosjan i zawładnąwszy dywizyjną kasą podzielić się jej zawartością. Niestety, ostrzeżenie zlekceważono. Nad ranem od strony chińskiego obozowiska dobiegły odgłosy palby karabinowej. Bezpośrednio odpowiedzialni za cenny ładunek czarnej tielegi oficerowie polecają błyskawicznie zaprząć do niej trójkę koni i szybko ruszają w step. Taką rzekomo mieli instrukcję na wypadek zagrożenia bezpieczeństwa kasy. Mała grupka jeźdźców prawie natychmiast rozplynęła się w mroku ciemnej, bezksiężycowej nocy. Nikt ich nie ujrzał więcej. Uwagę pozostałej części konwoju zaprzęta napastnicy szturmujący tabor. Zaatakowani z prawej flanki przez Japończyków, a od tyłu przez Kozaków-osiedleńców, przybyłych na pomoc z najbliższego chutoru, podali tyły. Na terenie obozowiska uciekinierów natrafiono na zwłoki bestialsko pomordowanych Rosjan i dogorywającego

²⁷ tertyk (mong.) - szata wierzchnia

²⁸ bejle (mong.) - książę 3 stopnia

²⁹ ulus (tur.) - plemię, ród, naród, obozowisko.

³⁰ tugrik - moneta mongolska. Wg kursu z 1971 r. 1 tugrik = 3,66 zł

³¹ tielega (ros.) - wóz, fura

³² Barga - płn. wyżynna część Mongolii Wewnętrznej, obecnie prowincja Hulumeier w Chinach.

Buriata - ordynansa jednego z oficerów. Skonał, gdy usiłowano podnieść go z ziemi. Rankiem wykopano w kamienistym gruncie zbiorową mogiłę, postawiono nad nią krzyż i złożono ofiarę Czoidźalowi³³. Teraz zaczęto na dobre szukać tamtych. Bezskutecznie. Zniknęli jak kamfora. Nocą w stepie słyszano wybuchy granatów... Baron, poinformowany o stracie, rozkazał ukarać śmiercią pozostałych przy życiu konwojentów. W drodze łaski zostali powieszani bez tortur, jak tylko transport dotarł do Kyru. W kasie spoczywać miało wiele drogocennych podarków dla mongolskich książąt: jedwabnych szat, broni, waz, fajek z jaspisowymi ustnikami, złotych posążków bogów i trzysta tysięcy złotych monet, najprawdopodobniej dziesięcio- i dwudziestorublówek. Co się z nim stało - nie wiadomo.

Po przekroczeniu granicy Mongolii dywizja forsownym marszem zmierza skrajem tajgi na zachód.

Tajgę strawił straszliwy pożar. Wąska drożyna wiodła przez spopieląły martwy las, z obu stron otoczony tlejącym się jeszcze tu i ówdzie pogorzeliiskiem, z którego raz po raz wykwiwały języki płomieni. Opalone, wzdęte trupy zwierząt wydzybiały cuchnący odór. Co pewien czas drogę tarasowały całe zwalę zwierzęcych ciał. Stada, które nie znalazły ratunku przed żywiołem. Mniej więcej na dwa dniowe etapy od traktu urgijskiego napotkano niewielką grupę jeźdźców. Według Makiejewa, mieli oni zakomunikować baronowi o uwięzieniu w Urdze rosyjskich oficerów i ich rodzin, rzekomo zadenuncjowanych przez komunistów władzom chińskim. Jak przystało na „szlachetnego obrońcę pokrzywdzonych”, baron zawrzał gniewem. Natychmiast pchnął galopem w stronę Urgi podpułkowników Chatakiamę i Lichaczowa. Ci jednak rychło zawrócili. Dwaj cudzoziemcy, żądający uwolnienia aresztowanych Rosjan, mieli bowiem małe szanse uniesienia z Urgi własnych głów. Naczelnik chińskiego garnizonu dysponował kilkunastoma tysiącami żołnierzy, a Mongolię uznano właśnie w Pekinie za jedną z prowincji młodej republiki. Ostatecznie ultimatum zawieźli Mongołowie.

Po pięciu dniach bezustannego oczekiwania na odpowiedź padł rozkaz. Naprzód! Uwolnić aresztowanych. Tabory pozostawić na miejscu. Marsz zmiennym galopem.

Dwukrotnie, 24 i 26 października, podjęto nieudane próby zdobycia Urgi od północy. Spora część ungerowców odniosła rany i obrażenia. Dywizja odstąpiła kilkadziesiąt kilometrów na wschód. Nad Kerulenem, głęboką rzeką wpadającą do jeziora Dałaj nur, rozłożyła się obozem. Dokonano przegrupowań związanych z poniesionymi stratami. „Zasłużony” już esauł Makiejew trafił do oficerskiej sotni pułku Annenkowskiego. Przyjęto go tam, jako adiutanta barona i członka sztabu, podejrzliwie i nieufnie.

Sytuacja w dywizji zaczynała być krytyczna. Oficerowie, widocznie coś zamyślając, radzili po kryjomu. Po trzech tygodniach zabrakło podstawowych artykułów - mąki, soli. Baron chodził wściekły jak zwierzę, a urzędnicy intendencji na jego widok zapadali się pod ziemię ze strachu. Kryzys minął, gdy jedna z sotni, wyprawiona na trakt Uрга-Kałgan, zaczęła konfiskować ładunki idących z Chin karawan. Nastąpiły lepsze czasy. Na stołach panów oficerów rychło pojawiły się pieczone kury i szampan. Nieco gorszy los był zapewne udziałem kupców.

Przebywający w Urdze generał Czen I usiłuje tymczasem załagodzić złe wrażenie, jakie w całej Mongolii wywołało uwięzienie Bogdo-gegena. Żywego Boga przenosi do aresztu domowego. Do udziału w rządach dopuszcza przedstawicieli miejscowej arystokracji³⁴, między innymi księcia Puncagcerena i lamę Dżałchansa-chutuchtu, późniejszego premiera rządu mongolskiego.

Baron otrzymuje posiłki wojskowe z Tybetu. Dowodzi nimi Buriat Tubanow, człowiek w pełni cywilizowany, bo w Wierchnieudyńsku ukończył czteroklasową szkołę średnią. Jego żołnierze piją z oprawionych w złoto lub srebro ludzkich czerepów. Będą najdłużej walczyli przeciw rewolucji.

Chwilowe zawieszenie broni przedłuża się. Część oficerów zaczyna spiskować, chce opuścić obóz. Esauł Makiejew raz po raz składa doniesienia przyjacielowi barona generałowi Riezuchinowi, ongiś kozackiemu oficerowi w Kobdo. Ten jednak, mając dość ciągłych śledztw i egzekucji, nie zawsze daje mu wiary.

No i stało się.

Pewnej nocy wszyscy oficerowie Annenkowskiego pułku osiedlili konie i zbiegli. Pozostali jedynie żołnierze i ta część sotni oficerskiej, która akurat pełniła służbę na wysuniętym posterunku. Esauł jak burza wpada do namiotu sztabowego. Baron błyskawicznie podejmuje decyzję. „Natychmiast posłać Tybetańczyków w pogoń, aby wszystkich łotrów żywych lub martwych sprowadzili z powrotem. Esauł Makiejew obejmuje tymczasem dowództwo pułku”.

³³ Czoidźal (mong.) - bóstwo z grupy dogszinów, tj. demonów ochraniających wiarę i religię.

³⁴ Wśród najpotężniejszych feudałów mongolskich orientacja prochińska miała dość dużo zwolenników. O nich to Suche Bator powiedział: „Ustąpili wobec Chin, dbając tylko i wyłącznie o swoją pozycję, swoje interesy. Sprzedali własne państwo”.

Zbiegów zarąbano w ucieczce. Pięciu pochwyconych żywcem stłuczono kijami do nieprzytomności i powieszono. Dyscyplinę i morale w dywizji uratowano, a skład oficerski uzupełniono z tatarskiego pułku Riezuchina.

O ucieczce z piekła, jakim była służba pod rozkazami barona, marzyło wielu. Niestety, podobne usiłowania nie miały szans powodzenia. Donosiciele i szpiedzy byli wszędzie.

W obozie nad Kerulenem postanowiono przezimować. Przymusowi sprzymierzeńcy przywieźli jurty. W nich pomieszczono żołnierzy. Dla sotiennych i naczalstwa wzniesiono drewniane domki, zbudowano nawet ruską banię³⁵. Ścieżki w obozie wysypano białym, czystym piaskiem. Zaopatrzenie zapewniały karawany z Kałganu. Widocznie jakoś dogadano się z chińskimi firmami kupieckimi.

Dnie stawały się coraz chłodniejsze, czasem prosił śnieg. Wiały przenikliwe, zimne wiatry. Urga, leżąca prawie na tej samej szerokości geograficznej co Wiedeń i Paryż, znajduje się zaledwie kilkadziesiąt kilometrów na północ od najdalszego zasięgu wiecznej zmarzliny. W tej części kontynentu azjatyckiego bezśnieżne zimy, podczas których temperatura osiąga i pięćdziesiąt stopni poniżej zera, nie należą do rzadkości.

Pewnego mroźnego poranka nasz bohater rozkazał osiodłać konia i odjechał w step. Nikt nie wiedział dokąd. Dzień mijał za dniem a baron nie wracał. Po tygodniu zaczęło się poważnie niepokoić.

Żelazną ręką trzymał w karbach tę całą zbieraninę. Bez niego dywizja rychło rozpadłaby się na luźne bandy maruderów, łatwe do rozbicia zarówno dla oddziałów rewolucyjnych, jak i dla gaminów³⁶.

Snuto najróżniejsze przypuszczenia. Kupcy przywozili wieści, że widziano go to w Hajlarze, to u żony w Pekinie. Ferment zataczał coraz szersze kręgi. Aż wreszcie pewnego wieczoru obok namiotu, na którym powiewała żółta chańska chorągiew, posłyszano tętent kopyt i parskanie konia.

- Co nowego?

- Wszystko w porządku, Wasza Wysokość, oprócz tego, że baliśmy się Was stracić - melduje esaul.

- No dobrze. Chodźmy, zobaczymy, czy wszystko w porządku.

Przegląd wypadł zadowolająco. Czysto. Dyżurni na miejscach. Konie na pastwiskach a woły przeznaczone na rzeź w osobnej zagrodzie. Niestety nie wszystkie. Jeden wylaź na zewnątrz i, leżąc na ziemi, ogonem przymarzył do pozostawionego wcześniej łajna. Baron potracił zwierzę nogą, a kiedy nie mogło wstać, nahajem rąbnął adiutanta przez pysk. Rozkazał nie płacić mu żołdu przez najbliższy miesiąc. „Kiepsko woły doglądał”.

Po długich biesiadach z udziałem mongolskich feudałów, obdarowywanych obficie upominkami, powzięto decyzję o wspólnym wystąpieniu przeciwko okupantom chińskim i uwolnieniu Bogdogeny. Książęta ogłosili mobilizację cyryków³⁷. Po całej Mongolii rozesłano odbitki typograficzne wspólnej odezwy. Tę technikę druku znano od wieków.

Baron powołał „ministerstwo” z bejle Zawijaną i bejse Miszigdordżem na czele. Sam mianował się głównodowodzącym „armią”, którą dopiero zamierzał stworzyć, pozostawiając kierowanie siłami mongolskimi księciu Cewenter-gunowi. Dwóm innym książętom, Bałzinnjamie i Sunduj-gunowi, powierzył dowodzenie dużymi jednostkami konnicy. Przyjął kapelanów, popa i dwóch łamów. Rozwinął działalność propagandową, umiejętnie wykorzystując nienawiść narodu do wojsk okupacyjnych. Siebie przedstawiał jako obrońcę i wyzwoliciela Mongołów. Starał się zdobyć zaufanie nie tylko wojska, ale i całego społeczeństwa.

Z początkiem stycznia 1921 roku decyduje się powtórnie spróbować szczęścia pod Urgą. Dywizja opuszcza zimowe leże nad Kerulenem i, uzupełniona nową sotnią kozacką chorążego Archipowa oraz oddziałami mongolskiej konnicy z obu wschodnich ajmaków, rusza na wschód. Przed wymarszem głównodowodzący wydał rozkaz kategorycznie zabraniający picia alkoholu. Panowie oficerowie na tak hiobową wieść z rozpaczą po raz ostatni spili się do utraty przytomności. Zamroczeni, nie byli w stanie sięść na konie. Ci, którzy wpadli baronowi w oczy, oberwali taszurem. Kazano im maszerować na końcu pochodu. Najwięksi opoje po paru dziennych etapach, prowadzących przez kamienistą, nierówną pustynię Gobi, skruszeli zupełnie.

W czasie marszu baron przesłuchuje nasłanego przez Chińczyków byłego carskiego chorążego, który zamiast otuć watażkę - jak mu polecono - cyjankiem potasu, przeszedł na jego stronę. W przesłuchaniu uczestniczą także sztabowcy generała. Szczególnie pilnie słuchają informacji o liczebności garnizonu chińskiego, stosunkach panujących w Urdze, rozmieszczeniu poszczególnych oddziałów, nastrojach ludności. Chorąży twierdzi, że republikańskie władze chińskie w Urdze

³⁵ bania (ros.) - łaźnia

³⁶ gamin (mong.) - żołnierz chiński; od chińsk. kuo-min - republikański.

³⁷ cyryk (mong.) - żołnierz, kawalerzysta.

porozumiały się z bolszewikami, a sprawami dość licznej kolonii rosyjskiej kieruje urząd, na którego czele stoją komuniści.

Dowództwo stacjonującego w mieście garnizonu było przekonane, że ungernowcy będą szturmowali z północnego zachodu, tymczasem baron, zgrupowawszy swe siły w rejonie na wschód od miasta, poprowadził atak przez południowe stoki góry Bajan Dzurch.

Natarcie rozpoczęto od strony traktu kałgańskiego. W mgnieniu oka wyparto Chińczyków z zajmowanych przez nich pozycji i obsadzono wszystkie górujące nad miastem wzgórza. Wzięto zdobycze w karabinach, amunicji i sprzęcie. Rannych było sporo, ale nastrój w szeregach dobry. Obiecywano sobie jeszcze więcej. Pod koniec dnia łącznik zawiadomił barona o uwolnieniu Bogdogeena i uwięzieniu go, wraz z żoną, do klasztoru Mandszir, położonego na stokach Bogdo Uł. Zadanie to wykonał oddział pod komendą Bargijca Łuwsana i Tybetańczyka Sajdzi-lamy.

Bój o Urgę trwał od 24 stycznia do 4 lutego 1921 roku, ale najbardziej zacięte walki toczyły się przez dwie ostatnie doby. Ungernowcy atakowali nocami. Na zboczach pobliskich gór rozpalili kilkanaście ogromnych stosów drzewa, które po zapadnięciu ciemności pozwalały im orientować się w terenie. Jednocześnie podtrzymywali setki małych ognisk, aby zmylić przeciwników w ocenie liczby napastników. Przed decydującym szturmem kilku śmiałków wdarło się niepostrzeżenie na gliniany mur koszar i po obezwładnieniu wartowników otworzyło bramę. Z przeraźliwym „ura” atakujący wpadli do środka. Kilkakrotnie przerastający ich liczebnie garnizon chiński początkowo próbował stawiać opór, ale zaskoczenie było czynnikiem decydującym. Gamińscy wycofali się do Majmaczenu, chińskiej dzielnicy Urgi. Próbę wyparcia ich stamtąd podjęto rankiem następnego dnia. Bezskutecznie. Wiedząc, że w przypadku kapitulacji zostaną wycięci do nogi, bronili się zawzięcie, prowadząc piekielny ogień. Trzeciego lutego rano spieszone sotnie dowodzone przez Riezuchina sforsowały południowe wrota Majmaczenu. Uliczny bój trwał dość długo. Zabarykadowanych w domach i kumirniach³⁸ Chińczyków zarzucano granatami lub wykurzano płonącymi żagwiami. Dowódca garnizonu zdążył przemknąć samochodem na kałgański trakt w kierunku przełęczy Tołgoit Dawa. Za nim w panice uciekali, unoszący głowy z pogromu, pozostali jeszcze przy życiu gamińscy oraz przedstawiciele władz okupacyjnych.

Po zajęciu Urgi otworzono przepelnione więzienie. Wśród uwolnionych znaleźli się również członkowie mongolskich kółek rewolucyjnych: Zamjan-gun, Zig-middordż i Chatan Bator Maksordżab. Rozgromieni w Urdze żołnierze chińscy w odwrocie dopuszczali się wielu mordów, gwałtów i grabieży. Spalili żywcem 20 rodzin obsługi poczty urtonowej³⁹, w Cagan Tołgoi zamordowali dziesięć osób, w Charereg powiesili 6. Czterdziestu wiernych udających się na nabożeństwo zastrzelono koło klasztoru Amarbajsgalan.

Rejestr zbrodni można ciągnąć w nieskończoność. A „wyzwoliciele”? Postępowali podobnie. Pierwszym rozkazem komendantem zdobytej stolicy mianuje Sipajłowa. Wszyscy komuniści i Żydzi natychmiast wędrują na szubienice. Z autochtonami też się nie patyczkuje. Tylko w ciągu jednego dnia powieszono na ulicach Urgi prawie 20 Mongołów.

Dla donosicieli wyznaczono nagrodę w postaci 2/3 majątku ofiar; resztę należało przekazać do kasy dywizji.

Zdobyto znaczne zapasy amunicji, żywności, mundurów i różnego wojennego sprzętu. Skonfiskowano również cały depozyt państwowego banku w Urdze oraz ściągniętą już od ludności Chałchy kontrybucję. Do kasy Azjatyckiej Dywizji Konnej miało wtedy trafić: sześć pudów złota w monecie i piasku, 80 pudów srebra w jambach, sztabach, monecie chińskiej i rosyjskiej, znaczna ilość pieniędzy papierowych, wypuszczonych przez bank w Kałganie, kilkanaście pak banknotów carskich i „kierenek” oraz wiele wyrobów jubilerskich i brylantów.

Informacje tę poda jeden z oficerów barona, podporucznik Kamil Giżycki, były żołnierz polskiej V Dywizji Syberyjskiej dowodzonej przez pułkownika Czumę. Utworzona w 1918 roku w Nowonikołajewsku dywizja nie mogła wrócić do kraju przez ogarniętą wojną domową Rosję. Nie powiodły się pertraktacje w sprawie ewakuacji do Murmańska i stamtąd do Francji. Pozostał tylko jeden kierunek - na wschód, w ślad za blokującym całą magistralę transsyberyjską korpusem czechosłowackim.

A ten włókł się w ślamazarnym tempie, rabując co tylko było można. Władze rewolucyjne jak tylko mogły „obrzydzały” terytorium Rosji uciążliwym gościom. Partyzantka ludowa wysadzała mosty, rozbierała szyny. To musiało powodować ogromne korki. Brak było węgla. Pod parowozami palono drzewem, a jego dowóz nie zawsze był łatwy. Żywność konfiskowano ludności. Jednym słowem

³⁸ kumirnia (mong.) - chińska świątynia.

³⁹ urtony - pocztowe stacje obsługujące łączność kurierską. Dostarczanie koni dla obsługi tych stacji i obowiązek zabezpieczenia podróżnym wyżywienia stanowiły jedną z najcięższych powinności w systemie świadczeń poddańczych aratów.

powstał galimatias, jaki trudno sobie wyobrazić. Nie należy się przeto dziwić, że V Dywizja, cały czas idąca w ariergardzie, dała się wciągnąć do walki z oddziałami Armii Czerwonej.

W siedem czy osiem lat po likwidacji ungerskiej awantury, we Lwowie ujrzy światło dzienne książka Przez Urianchaj i Mongolię, będąca zbeletryzowanym, ale dość rzetelnym i wiarygodnym opisem przeżyć Kamila Giżyckiego. Złożywszy broń po kapitulacji V Dywizji, Giżycki przez pewien czas ukrywa się w Minusińsku, małej mieścinie nad Jenisiejem. Tam kieruje fabryczką narzędzi rolniczych. Pragnąc uniknąć aresztowania zbiega w tajgę Kraju Urianchajskiego. Ze zmiennym szczęściem walczy przeciw czerwonym partyzantom. Po rozbiciu jego oddziału, przez góry Tannu Oła dociera nad jezioro Ubsa nur, leżące już w Mongolii. Eks-studenta Politechniki w Monachium, znającego się na produkcji materiałów wybuchowych, granatów i gazów trujących, natychmiast zmobilizowano do ungerskiej „armii”. Absolwent gimnazjum jezuickiego w Chyrowie, którego wielki, imponujący gmach można oglądać jeszcze dziś, jadąc tranzytem przez Związek Radziecki z Przemysła do Ustrzyk Dolnych, wówczas nie miał jeszcze trzydziestki.

Ślepy traf człowieczych losów, niezwykle splątanych w latach rosyjskiej rewolucji, rozrucił wielu naszych rodaków po bezmiernych obszarach tajg, stepów i pustyń Azji Centralnej. Trafiali i do Mongolii. A tam, podobnie jak na Syberii, odnajdywali się często po przeciwnych stronach barykady. Juryn Dziewałowski jest ministrem spraw zagranicznych Republiki Dalekowschodniej. Jakub Gembarzewski, mieszkający na początku lat dwudziestych w Urdze, ściśle współpracuje z przywódcami mongolskich kół rewolucyjnych - Suche Batorem i Czojbalsanem, pośrednicząc jednocześnie w kontaktach z przedstawicielami władzy radzieckiej. Zginie zamęczony z rozkazu Ungerna. Jedna z tysięcy ofiar „krwawego barona”.

Naczelnik Azjatyckiej Dywizji Konnej umiał sobie dobrać najbliższych współpracowników. Plejada wyrafinowanych morderców, sadystów i degeneratów różnej maści. Wesołowskiemu, Bezrodnuchowi, Burdukowskiemu dorównaliby, być może, jedynie nadludzie spod znaku trupiej główki. Baron wszelkimi możliwymi sposobami usiłował zlikwidować jak najwięcej rewolucjonistów, bądź choćby tylko podejrzanych o sprzyjanie im, ale osobiście nie torturował. Arystokracie po prostu jakoś to nie bardzo wypadło. Jego przodkowie, nawracając ludy bałtyckie, takich skrupułów zapewne nie mieli.

Oficerów za to ćwiczył taszurem⁴⁰ regularnie, za byle przewinienie wałąc na oślep przez łeb, lub po prostu, jak za dawnych, dobrych carskich czasów, pięścią w mordę. Na długiej liście „rękodajnych” pierwsze miejsce zajął podpułkownik Leonid Sipajłow, wsławiony wyjątkowym okrucieństwem, tchórzostwem i podłością. „Jednoczył w sobie wszystkie najnikczemniejsze cechy natury ludzkiej” - napisze o nim Giżycki. Byli podkomendni Ungerna podkreślają wybitnie negatywną rolę „Makarki Duszegubitiela Wielkiego” w stworzeniu atmosfery powszechnego terroru, strachu i donosicielstwa, jaka panowała w Azjatyckiej Dywizji Konnej. A przecież byli to żołnierze, i to żołnierze krwawej wojny domowej, w której żadna ze stron nie patyczkowała się z przeciwnikami. Wyczyny ungerskich oprawców z jeńcami i aresztowanymi na podstawie donosu lub posądzenia trudno jest zamknąć w formie suchej, beznamiętnej relacji. Specjaliści od wysyłania bliźnich na tamten świat wyznawali nieobcą w tej części świata zasadę: ofiara winna czuć, że umiera. Kul żałowano. Zakopanie po głowę i pozostawienie własnemu losowi w pustynnym stepie pod palącymi promieniami słońca, rzucanie związanego do mrowiska, rozerwanie końmi, spalenie lub ugotowanie żywcem, polewanie wodą na kilkudziesięciostopniowym mrozie i powolne duszenie za pomocą specjalnie w tym celu wynalezionego maszyny nie wyczerpywały ich pomysłowości. Twórca buddyjskiego zakonu rycerzy krzyżowych zaiste mętne miał pojęcie o nauce Siddharty Gautamy. Uważając się za buddystę wykazywał raczej właściwe jego nacji makabryczne poczucie humoru.

Generał Roman Maksymilian von Ungern-Sternberg zrealizował pierwszy etap swoich planów. Niespotykane okrucieństwo i terror, jaki panował pod jego rządami, konfiskaty tabunów koni i stada bydła dla potrzeb armii, bezlitosna grabież ludności gwałtownie zmniejszyły obóz feudałów i książąt kościoła lamajskiego, którzy go dotychczas popierali. Oni zresztą swój cel, to jest usunięcie Chińczyków, już osiągnęli. Teraz należało tylko pozbyć się awanturnika. Ungernowcy zagrabili 4635 wielbłądów, 40 174 konie, 26 407 sztuk bydła, 100 729 owiec i kóz, a także różnego rodzaju przedmioty o wartości 415 157 łan srebra⁴¹. Rabować potrafili lepiej niż Chińczycy.

Naród mongolski dość prędko poznał z kim ma do czynienia i walnie się przyczynił do pohamowania światoburczych zapędów nowego Tamerlana. Zanim to nastąpiło, wypadki miały przebieg następujący:

W dniach 1-3 marca 1921 roku w pogranicznym Troickosawsku pod ochroną władz Republiki Dalekowschodniej odbywał się I Zjazd Mongolskiej Partii Ludowej. Partia, mimo że posiadała zaledwie

⁴⁰ taszur (mong.) - bicz z bambusową, krótką rękojeścią

⁴¹ wg danych C. Iczinchorloo

165 członków, była już poważną siłą polityczną. Kilkunastu uczestników zjazdu, wśród których byli przedstawiciele kółek rewolucyjnych choszunów i komendanci oddziałów partyzanckich, korzystało z gościny przyjaciela Gembarzewskiego i jednocześnie pełnomocnika Komisariatu Spraw Zagranicznych Rosji Radzieckiej O. Makstieniuka.

Trzeciego marca przedstawiciel Chin, Lin Juan, zwraca się do władz radzieckich z prośbą o... wprowadzenie Armii Czerwonej na terytorium Mongolii Zewnętrznej. Z taką samą prośbą nieco wcześniej, za pośrednictwem, Makstieniuka, występował znany nam już skądinąd Czen I, ten sam, który redagował „74 punkty dotyczące poprawy sytuacji w Mongolii”. A przecież jeszcze w listopadzie poprzedniego roku administracja pekińska nie odpowiedziała na propozycje radzieckie, aby wspólnymi siłami zlikwidować bandy ungerowców. Nie mówiąc o tym, że tolerowała i patrzyła przez palce na formowanie i uzbrajanie we wschodnim Turkiestanie kontrrewolucyjnych oddziałów atamanów Dutowa i Annenkowa.

Mongolska Partia Ludowa zdobywa coraz większą popularność i poparcie ludności. Wie o tym Jemielian Dżałchansa-chutuchtu, premier rządu w Urdze. Delegacja kół rewolucyjnych, udająca się do Moskwy na spotkanie z Leninem zawiezie list opatrzony pieczęcią Bogdo-gegea. Dziesiątego kwietnia 1921 roku powołany na emigracji Mongolski Rząd Tymczasowy wezwie na pomoc oddziały wojskowe Republiki Dalekowschodniej i Armii Czerwonej.

Z niedobitkami chińskiego garnizonu w Urdze, uciekającymi do Mandżurii, rozprawiła się już sama ludność. Prości araci, myśliwi, słudzy klasztorni, mnisi niższych stopni, nawet co niektórzy feudałowie chwyтали za broń. Samorzutnie powstawały oddziały partyzanckie. Kilku czy kilkunastoosobowe grupki nieuchwytnych jeźdźców dzień i noc polowały na maruderów byłej okupacyjnej armii. Tępono ich zawzięcie.

Na Białej Przełęczy pewien bandi⁴² sam zastrzelił piętnastu. Jeden z poddanych księcia Gursoronzengombasurena w okolicy miejscowości Daagan del kolejno zlikwidował dziesięciu gaminów. Myśliwy z ajmaku Sajn Nojon-chana zabił jedenastu. Araci Gal san i Machwal - sześciu. Mieszkanca ajmaku Tuszetu-chana, taka mongolska Jagienka, rozprawiła się z trzema maruderami, uderzając ich zamrożoną na kość tylną nogą barana. Tyle mongolski badacz tamtych lat. Podobny los wkrótce miał spotkać wielu żołnierzy Azjatyckiej Dywizji Konnej.

Po zdobyciu Urgi faktycznie całą władzę w Mongolii skupił w swoich rękach chan Ungern. Z pomocą sprzymierzonych feudałów przeprowadza pobór rekruta, dozbraja i szkoli armię, której główną siłą uderzeniową są w dalszym ciągu dwie brygady Azjatyckiej Dywizji Konnej, grupujące kontrrewolucyjne elementy z zabajkalskich i orenburskich Kozaków. Łącznie ma pod swoją komendą około 11 tysięcy szabel z 21 działami i 37 karabinami maszynowymi. Wzmacnia nadwątloną od jesieni 1920 roku więź z Siemionowem, otrzymując od niego tylko w ciągu jednego miesiąca dwieście podwód z bronią⁴³.

Baron na szeroką skalę rozwija akcję dyplomatyczną. Jednocześnie trwają intensywne przygotowania do koronacji Bogdo-gegea na jedynowładcę Mongolii. Listy i wysłannicy krążą pomiędzy Lhasą, Tokio, Londynem i Waszyngtonem. Szerokim gestem obdarowuje wpływowych książąt mongolskich, tybetańskich i dżungarskich plemion. Sprowadza skąd się da broń i amunicję. Zdaje sobie sprawę, że nie może liczyć tylko na własne siły, że musi działać w uzgodnieniu z państwami kapitalistycznymi, które - pomimo klęski Kołczaka i jego następcy Denikina - jeszcze nie zrezygnowały z obalenia władzy radzieckiej.

Ich program minimum sprowadza się do odsunięcia komunistów od udziału w rządzie Republiki Dalekowschodniej i przekształcania jej w burżuazyjne państwo, na którego czele stanąby Siemionow lub podobny mu „zbawca ojczyzny”.

Wiosną 1921 roku uaktywniają się białogwardyjskie niedobitki, przyczajone w Kraju Ussuryjskim, Mandżurii, Turkiestanie wschodnim i Sinkiangu. Jednocześnie sztab generalny japońskiego mikada kieruje 175 tysięcy żołnierzy i znaczną część floty wojennej do kontynuowania interwencji na Dalekim Wschodzie.

Od Morza Japońskiego do Kaspijskiego cała południowa granica Syberii staje w ogniu. Z Mongolskim Rządem Tymczasowym i czerwoną partyzantką mają rozprawić się sami Mongołowie. Na leżący na granicy z DWR Kiachtyński Majmaczen, centrum mongolskiego ruchu rewolucyjnego, z południa, od strony rzeki Iro, uderza liczący 700 szabel oddział konnicy czaharskiego księcia Bajarguna. Po początkowych sukcesach, napotkawszy silny opór partyzantów Suche Batora i

⁴² bandi (mong.) - mnich, który złożył ślubowanie inie zabijać, nie kraść, nie pić i nie utrzymywać stosunków z kobietami; obowiązywało go również wyznanie wiary w trzy buddyjskie prawdy; w Buddę, jego naukę i lamę, krzewiciela tej nauki. Bandi był najniższym szczeblem w hierarchii zakonnej.

⁴³ „Izwiestia”, nr 2 z 15 maja 1921 r.

wspomagających go oddziałów radzieckich, Bajar-gun ponosi klęskę, podobnie jak atakujący miasto z północnego wschodu awanturnik Dar Ich-lama. Wziętego do niewoli księcia spotyka zasłużony los.

Pozostawiwszy w Urdze osobistą gwardię Bogdo-gegena, Ungern wyprawia swe wojska na północ.

W niezbyt jasnych okolicznościach na jednym z popasów zawiadomiono barona, że konny zwiad tatarskiej sotni zatrzymał karawanę 18 wielbłądów wiozących złoto, które admirał Kolczak jeszcze przed śmiercią zadysponował wysłać do Rosyjsko-Azjatyckiego Banku w Harbinie. Znany nam już esauł Makiejew otrzymał rozkaz:

- Weźmiesz natychmiast dwie dziesiątki Buriatów i przejmiesz od zwiadu karawanę, jak tylko tu podejdziesz. Konwój i Tatarów odeślesz do dywizji, a sam zakopiesz skrzynie z nabojami. Zrozumiałeś?

- Tak jest.

- No idź.

Dywizja prawie natychmiast ruszyła dalej, a esauł pozostał na miejscu. Karawana nadeszła wkrótce. Skrzynie, posiadające jeszcze bankowe pieczęcie i plomby, zrzucano na ziemię. Kiedy jedna z nich uległa rozbiciu, ze środka posypały się woreczki ze złotymi monetami. Buriatom błysnęły oczy. Strach przed baronem był jednak znacznie silniejszy niż chęć posiadania fortuny. Jako miejsce ukrycia skarbu wybrano niedużą rozpadlinę na terenie nieczynnej kopalni złota. Tam skrzynie zakopano. Po ubiciu ziemi, Buriaci już zamierzali siadać na konie, kiedy od strony dywizji pokazał się obłok pyłu. Przybył zaufany Sipajłowa, chorąży dywizji Burdukowski z kilkoma pomocnikami.

Ten pokraczny karzeł pojawiał się zawsze jak zwiastun zła. Tak było i tym razem.

Rozkazał:

- Esauł Makiejew natychmiast do naczelnika, a Buriaci zostaną ze mną.

Makiejew z radością pognął z powrotem, nie oglądając się za siebie. Buriatów rozbrojono, odprowadzono kilka kilometrów w step i rozstrzelano.

Chan Ungern, usiłując zdezorientować dowództwo wojsk rewolucyjnych, przystępuje do działań na szerokim, parusetkilometrowym froncie. Pierwsze operacje mają charakter demonstracji na obu skrzydłach. Atakowana jest Menza, leżąca na terytorium DWR, w odległości dwustu kilometrów na południowy wschód od Kiachty, i miejscowość Modoń Kul nad rzeką Dzidą, położona na obszarze Rosji Radzieckiej, dwieście dwadzieścia kilometrów na południe od Irkucka. Nad Dzidą dowodzi generał Riezuchin.

Główne uderzenie wyborowej konnicy pod komendą samego barona jest skierowane wzdłuż prawego brzegu Selengi na Kiachtę i Troickosawsk. Wywiad doniósł, za pośrednictwem sprzyjających białym Kozaków, że granicę RFSRR z Mongolią na zachód od Selengi ochrania tylko 104 brygada strzelców, osłabiona demobilizacją starszych roczników. Pułki brygady rozciągnięte są na przestrzeni blisko dwóch setek kilometrów, a w 35 kawaleryjskim zostało zaledwie 200 szabel.

Na wschód od Selengi stacjonuje 2 Sreteńska Brygada Kawalerii armii DWR (700 szabel) i batalion służby ochrony pogranicza. Siły rzeczywiście nieznaczne, toteż początkowo napastnicy mają przygniatającą przewagę. Rada wojenna radzieckiej V Armii natychmiast po rozpoczęciu działań, przerzuca na Zabajkale posiłki. Niewiele tego, zaledwie dwie brygady - 103 i 105. Szybkość przemieszczania piechoty nie mogła porównywać się ze zdolnością manewrowania konnicy przeciwnika, a kawalerii było mało. Z czerwonych Kozaków błyskawicznie formowany jest ochotniczy pułk jazdy pod dowództwem sławnego na całej Syberii partyzanckiego wodza Piotra Jefimowicza Szczetinkina⁴⁴. Otrzymuje on zadanie osłaniania prawego skrzydła 104 brygady na południe od Irkucka. Tam właśnie uderza Riezuchin. Po dłuższym boju rozrywa linię obrony i okrąża jeden z batalionów. Pozostało w nim już tylko niespełna trzystu ludzi i sześć karabinów maszynowych. Szarżuje biała konnica. Dochodzi do walki wręcz. Batalion broni się rozpaczliwie. W krytycznym momencie, dosłownie w ostatniej chwili, przychodzi z odsieczą 35 pułk kawaleryjski. Szaleńczy kontratak poprowadzi późniejszy Marszałek Związku Radzieckiego i Polski, Konstanty Konstantynowicz Rokossowski. Zwycięstwo okupił ciężką raną nogi i stratą zabitego pod nim konia.

Konstantyn Augustowicz Nejman, dowodzący siłami czerwonych nad Selengą, w porę zorientował się, że główne uderzenie ungernowców przygotowywane jest na Kiachtę.

Na drugi brzeg Selengi, już na terytorium DWR, przeprowadza połowę 103 brygady i skierowuje ją w rejon Kiachty - Troickosawsk. Decyzja była ze wszech miar słuszna. Na przedpolu Troickosawska dwa przeprowadzone pułki tej brygady oraz oddział rewolucjonistów mongolskich musiały wziąć na siebie cały impet uderzenia głównych sił Ungerna. Obrońcy użyli fortelu. Do kółków wbitych w ziemię przed linią

⁴⁴ P. J. Szczetinkin (1885-1927) - sławny partyzant syberyjski, były carski sztabs-kapitan, bolszewik. W 1919 r. razem z oddziałem Krawczenki zdobył Kyzyl w Kraju Udanchajskim.

okopów przywiązano długie sznury. Koń mongolski, wychowany na rozległych jak ocean stepach, nie potrafi brać przeszkód. Taka zaporą była więc dla nieprzyjacielskiej konnicy nie do przebycia. Nie wiadomo ile jest prawdy w opowiadaniach starych partyzantów Suche Batora o bojach pod Troickosawskiem. Dziś otaczają je legendy. Tam wykuwało się mongolsko-radzieckie braterstwo broni. Na sopkach⁴⁵, wznoszonych się na wschód od miasta, wojska rewolucyjne okrążają przeciwnika. Przechwycono działa i tabory. Ungernowcy w panice uciekają z placu boju na południe. Baron bezskutecznie usiłuje ich powstrzymać.

Pułki 2 Sretieńskiej Brygady Kawalerii wspólnie z oddziałem Suche Batora ruszają w pościg.

Napastnikom nie udało się zatem połączyć swych sił pod Kiachtą, gdzie brygada Riezuchina miała wyjść na tyły wojsk radziecko-mongolskich. Jeszcze raz Rokossowski zmusił spieszącego baronowi z pomocą Riezuchina do odstąpienia i, po długotrwałych walkach, odrzucił daleko na zachód, w głąb Mongolii. Jednocześnie oddziały Szczetinkina i Czojbałsana rozgramiają kontrrewolucyjną grupę pułkownika Kazagrandi, która zagrażała Irkuckowi. W końcu czerwca 1921 roku główne siły radziecko-mongolskie korpusu ekspedycyjnego ruszyły w głąb Mongolii wzdłuż traktu Kiachta-Urga. Grupa wspomagająca w składzie: 35 pułk kawaleryjski, 105 brygada i oddział Czojbałsana kontynuowała marsz w górę Selengi. Walcząca jeszcze z Riezuchinem 104 brygada pozostała pod Kiachtą, a Szczetinkin ochraniał granicę państwową w dolinie Dżidy. Marsz wojsk rewolucyjnych odbywał się w niezwykle trudnych warunkach. Żar spływał z nieba, brakowało nie tylko chleba, ale i wody. O transporcie samochodowym nie było co marzyć, a koni i zaprzęgów nie starczało. Mięso, zakupione za srebrne chińskie dolary u ludności, jedzono na pół surowe. Strefą tajgi już opuszczono i drzewa spotykano rzadko. Brakło soli. W pułkach służyli rekruci w przeważającej masie pochodzący z Rosji europejskiej. Stepy, pustynie i wysokie góry widzieli po raz pierwszy. Piechota, zmuszona do pokonywania dziennie 50-60 kilometrów, odparzała nogi. Umundurowanie, a szczególnie buty, wkrótce odmówiły posłuszeństwa, po prostu spadały, zamieniały się w strzępy. Doszło do tego, że wielu żołnierzy szło boszo. Intendentura V Armii przynaglana przez dowództwo dostarczyła... 26 tysięcy par łapci. Tak jest, łapci.

Trudno się dziwić. Związek Radziecki był wycieńczony trwającą już 7 lat wojną, rewolucją, dezorganizacją życia gospodarczego. Zresztą były ważniejsze fronty niż ten nad Selengą i Orchonem.

Ale pół wieku temu burżuazyjna propaganda miała używanie. Bojownicy rewolucji w łapciach! Tak, i w tych łapciach weszli 6 lipca 1921 roku do Urgi, pokonując przez dziesięć dni dystans blisko czterystukilometrowy. A 11 lipca Suche Bator mógł ogłosić swemu narodowi ostateczne wyzwolenie spod wielkiego ucisku mandżurskich dzian-dziunów i ambanów oraz rodzimych feudałów świeckich i duchownych. Ci ostatni nadal byli bardzo groźni.

W przedrewolucyjnej Mongolii istniało 747 klasztorów lamajskich, blisko 2000 świątyń i przeszło 100 000 mnichów. Czuli, że skończyły się złote czasy. Czerwonych witali nieufnie, podejrzliwie. Inaczej być nie mogło. Z dwojga złego woleli chyba jednak panowanie chana Romana Teodorowicza. A ten, zebrawszy jakoś do kupy na brzegu Selengi swoją rozbitą „armię”, stoczył 18 lipca zacięty bój z 35 pułkiem kawalerii oraz 105 brygadą piechoty. Bojąc się okrążenia, „odskoczył” i dał rozkaz powtórnego wtargnięcia na teren Republiki Dalekowschodniej.

Kawalerskiej fantazji baronowi rzeczywiście nie brakowało, choć z drugiej strony, kierował się zapewne logicznymi przesłankami. Skoro cały radziecki korpus ekspedycyjny znajduje się w Mongolii, to granica jest odslonięta. Już po wzięciu do niewoli wyjaśnił swój ostatni awanturniczy krok otrzymaniem informacji, że japońskie wojska w tym samym czasie rozpoczęły aktywną działalność i jakoby opanowały Czytę. Być może sprzymierzeńcy dla jakichś nie znanych nam bliżej celów postanowili wprowadzić w błąd krwawego watażkę lub, po prostu, mając go dość, chcieli, aby szybciej kark skręcił.

Ungernowska konnica bez walki wtargnęła w dolinę Dżidy aż do Jeziora Gęsiego. Tam okrążyła i rozbiła jeden z batalionów 232 pułku. Jeńców zarąbano lub „zapropionowano” im służbę u barona. Odpowiedź negatywna kosztowała życie.

Ungern zamierzał wyjść na południowy brzeg Bajkału w rejonie Mysowska (dziś Babuszkin), opanować magistralę transsyberyjską i wysadzić w powietrze tunele i mosty, aby przerwać łączność kolejową z zachodnią Syberią. Znad Jeziora Gęsiego do Bajkału w prostej linii jest zaledwie około 70 kilometrów, ale po drodze należy przejść przez przełęcz gór Chamar Daban. Zajęłoby to dwa, no powiedzmy trzy dni. Baron jednak obawia się okrążenia, nie ryzykuje również marszu na Wierchnieudyńsk. Z północy napiera nań przewieziona przez Bajkał 26 Złatowstowska Dywizja Piechoty, wschodniego brzegu bronią oddziały 35 dywizji, a z Mongolii szybkim marszem wracają zaprawione w bojach pułki 104 i 105 brygady oraz 5 Kubańska Dywizja Kawalerii.

⁴⁵ sopki (ros.) - zalesione wzgórze wulkanicznego pochodzenia

Możliwość okrążenia Ungerna z dnia na dzień staje się coraz bardziej realna, tym bardziej że cały czas deptają mu po piętach Rokossowski i Szczetinkin. W tej sytuacji 3 sierpnia baron gwałtownie zawraca na południe. Tę datę zapamiętać warto. Na procesie powie:

„Nadzieje moje runęły, Japończycy nie okazali pomocy, nikt z ludności nie przyłączył się, ja postanowiłem udać się do Mongolii, aby tam doprowadzić oddziały do porządku”.

Drogę odwrotu ungernowcy znaczą trupami niewinnych ofiar białego terronu, grabieży, gwałtów. W Kapczerońsku, Enchorach i wielu innych osiedlach w dolinie Dżidy biorą zakładników, poddawanych później bestialskim torturom, rannych i jeńców zarabują, palą żywcem. Oprawcy bezwzględnie wypełniają znany rozkaz nr 15, wydany 21 maja 1921 roku. Nakazywał on wymordowanie wszystkich bolszewików, Żydów i przedstawicieli administracji radzieckiej wraz z rodzinami.

Tymczasem pierścień wojsk radziecko-mongolskich z wolna zaciska się. Rankiem 5 sierpnia na południe od Jeziora Gęsiego pod Nowodmitriewską i Sosnowką odparto ataki przebijających się ungernowców. Tankietki z karabinami maszynowymi znacznie przerzedziły szeregi konnicy barona. Teraz pozostał mu tylko jeden kierunek: na zachód, w górę Dżidy. Noc umożliwiła ucieczkę. Niestety, kawaleria 5 dywizji nie zdążyła przeciąć drogi, dzięki czemu 9 dni później Ungern mógł raz jeszcze, porzucając część artylerii i taborów, umknąć do Mongolii.

Ungern i Riezuchin uważali, że uda się im przeczimować w zachodniej Mongolii. W altajskich dolinach wypasano nieprzeliczone stada bydła. Tam też gospodarzyły jeszcze bandy Kajgorodowa i Kazancewa, a także duże oddziały z korpusu generała Bakicza, rozgromionego przez Armię Czerwoną na granicy Sinkiangu. Klęskę i likwidację resztek ungerowskiej „armii” przypieczętuje niebawem ostateczny rozkład. Agonia nie będzie trwała długo.

Porzucają barona sprzymierzeńcy. Oficerowie mają dość służby pod obłąkanym krwawym despotą. Większość z nich, zamieniona w czabanów, podąża piechotą za wojskiem, gnając bydło. Na biwakach jak kawki obsiadają stojące w pobliżu drzewa lub kupy chrustu. Taką karę wymyślił im baron. W Urdze kazał wdrapywać się na dachy domów. Jeśli który spróbował nie wleźć lub spadł przed upływem wyznaczonego czasu - kula z nagana murowana. Nie chcą dalej wojować w Kraju Urianchajskim, iść przez pustynię Dżungarii do Tybetu, a może jeszcze dalej - przez pamiirskie przełęcze na Kaukaz i Krym, gdzie walczył Wrangel. Przedsięwzięcie na miarę Aleksandra Wielkiego. Widząc, że żadne perswazyje i próby nie pomogą, podnoszą bunt. Korpus oficerski od dawna serdecznie nienawidził naczelnika. On odplącał im bezbrzeżną pogardą, biciem po pysku, coraz bardziej „pomysłowymi” karami.

Zawsze jednak mógł liczyć na ślepo mu oddanych Kozaków. Co tu dużo mówić. Przypadli sobie nawzajem do gustu. Imponował im znajomością rzemiosła wojennego, pochodzeniem, odwagą, wytrzymałością, okrucieństwem. Niektórzy znali go chyba nawet jeszcze z czasów służby w stancyi Jekatierinonikolskiej nad Amurem. Piętnaście lat. Szmata czasu. Odnoszone wspólnie zwycięstwa, zdobywane łupy, popełniane zbrodnie łączą. Nietrwale to więzy. Kozakom zalano sadła za skórę. Pragnęli wylizać się z ran, brakowało im kobiet. Ten i ów w szeregach wojsk rewolucyjnych napotykał na znajomka, krewnego, brata. Za dezercję groził jednak sąd polowy. W końcu zdecydowali się. Związano pispek.

Grupka oficerów 17 sierpnia zabija Riezuchina. Ostrzelano namiot barona. Przez kilka dni spiskowcy polują nań bezskutecznie. Ranny, w gorączce tuła się po stepie. Gdy podejmie próbę zbliżenia się do swoich, poczęstują go serią z karabinu maszynowego. Poznali z daleka konia. Pozostało tylko jedno. Mongołowie. Ci na pewno nie zawiodą. Książę Sunduj-gun jest chyba najwierniejszym z wiernych. Od początku stanął po jego stronie. Dzielnie walczył z Chińczykami. Ten nie powinien zawieść. Mongolskich żołnierzy, których zachowanie wzbudziło podejrzenie barona, kazał przecieżyć potopić w Selendze. Stało się jednak inaczej.

STEPOWI KONDOTIERZY.

Reuter, Londyn 26 września 1921 roku. Telegram z Szanghaju:

Siemionow wypowiedział walkę Merkułowowi i wyjeżdża do Ameryki. Generał Siemionow przybył bez pieniędzy do Szanghaju po

odebraniu mu stanowiska atamana nadanego przez Radę Kozaków. Wybiera się z dyplomatyczną misją do Ameryki, jak twierdzi, w sprawie własnej. Ostatnio miał dużo kłopotów. Po zajęciu Władywostoku (przez białych - przyp. W. M.), rok temu potajemnie przyjechał do tego miasta, aby być świadkiem wyborów na prezydenta swego konkurenta. Od tego czasu całą energię skoncentrował na odsunięciu Merkułowa od władzy i skupieniu jej w swoim ręku. W wyniku walki tych dwóch ludzi, wiosną została zaprzepaszczonego sprawa władzy Białych we wschodniej Syberii.

Ani Siemionow, ani Merkułow nie chcieli opuścić, wraz z podporządkowanymi im wojskami, okręgu władywostockiego w celu kontynuowania walki przeciw bolszewikom w Republice Czyta [DWR - przyp. W.M.]. Żądnego przygód, dzielnego generała kawalerii barona Ungern-Sternberga pozostawiono własnemu losowi w rejonie granicznym między Mongolią a Republiką Czyta. Jego mała armia została w końcu rozbita przez siły czerwonych tym łatwiej, iż przeciwnicy rychło zorientowali się, że nie mógł on liczyć na jakąkolwiek pomoc. Schwytyany przez przeciwników, przewieziony do Irkucka, został - jak wynika z wiadomości prasy moskiewskiej - rozstrzelany. Bezsensowną ofiarą Ungern-Sternberga i jego armii, sparaliżowanie inicjatywy białych w okręgu władywostockim, pełen rezerwy stosunek Japończyków do białogwardzistów - to rezultaty konfliktu Siemionow - Merkułow. Teraz najwyraźniej miarka się przebrała, Siemionowa wszyscy mają dość i dlatego wyjeżdża do Ameryki, Na wiosnę zamierza znów powrócić na Daleki Wschód. Zobaczmy czy odzyska swoją pozycję we Władywostoku.

Szanghajski korespondent Reutera tak widział przyczyny, które spowodowały niesławny koniec „żądnego przygód i dzielnego generała kawalerii”. Trudno wymagać od burżuazyjnego dziennikarza sympatii do bolszewików, ale inteligencji mu odmówić niepodobna. Trafnie ocenia cele i motywy działania różnych „prezydentów”, „atamanów”, „wodzów”, tworzących coraz to nowe, nie uznające się nawzajem rządy jak tylko zaświtała szansa na obronienie przed rewolucją, choćby tylko na małym skrawku terytorium, czarnosecinnych porządków „matuszki Rassiej”.

Władza białych musiała upaść. Takie są nieodwracalne koleje historii. Zielono-biała flaga syberyjskich Kozaków przestała powiewać nad polami krwawych bitew wojny domowej. Nie pomogli interwencji, modły prawosławnych patriarchów i szabla Sobieskiego, którą Kozactwo wręczyło jednemu z następców⁴⁶ Siemionowa. Atamani nie byli już potrzebni. Oni sami nieprędko pogodzili się z tą myślą, usiłując za każdą cenę zachować utracone przywileje i pozycje. Za każdą cenę. Nawet zdrady własnego narodu. Siemionow jeszcze wiele lat będzie knuł spiski i intrygi, szkolił sabotażystów i szpiegów, wysyłanych na tereny nie tylko Dalekiego Wschodu. Dopiero po zakończeniu II wojny światowej stanął przed lufami radzieckiego plutonu egzekucyjnego. Podczas blokady Leningradu, obrony Moskwy, Kaukazu współpracował z działającym w Cesarstwie Mandżukuo Związkiem Rosyjskich Faszystów.

Jego dawny podkomendny i przyjaciel, baron Roman Maksymilian von Ungern-Sternberg, poszedłby chyba tą samą drogą. Tu nawet nie trzeba stawiać kropki nad „i”. Byli tacy, co dostrzegli w „krwawym baronie” następcę Tamerlana. Wykładający pięćdziesiąt lat temu w jednym z niemieckich uniwersytetów Herman Keyserling jest nim wyraźnie zafascynowany. Warto dodać, że jest z baronem spowinowacony, bo młodszy o trzy lata brat Romana, Konstantin, ożenił się z Leonią von Keyserling.

„Dziś, tak jak w czasach wojny trzydziestoletniej - pisze Keyserling - natury kondotierów mają szerokie pole do popisu. Mogą stać się postaciami historycznymi. Istniały zresztą zawsze, tylko że dopiero w określonych warunkach dają o sobie znać. Wielką indywidualnością, której chciałbym tu wystawić pomnik, był baron Roman von Ungern-Sternberg, niestety uwięziony i stracony przez bolszewików. W przeciwnym przypadku założyłby najprawdopodobniej, jako Tamerlan Redivivus, którego horoskop podali lamowie, światowe mocarstwo azjatyckie. Do czasu pokojowego w żadnym wypadku nie pasował. Jego istota tkwiła równocześnie w pustej przestrzeni między niebem i piekłem.

⁴⁶ General Iwanow-Rinow, ataman syberyjskich Kozaków, otrzymał szablę Sobieskiego, zrabowaną na Wawelu podczas wojen napoleońskich.

Zdolny do czynów najwyższej szlachetności i dobroci, jak i do najbardziej ponurych. Nie miał żadnego stosunku do norm tej zmieszczanizowanej planety. Ale jako syberyjski kondotier czynił później cuda i będzie tam chyba przez stulecia żył w pieśniach nomadów, którymi dowodził⁴⁷.

Żyć będzie w pieśniach nomadów. Tak jak Czingiz? Wielki Czingiz, co dał ludowi jasę⁴⁸, stworzył imperium, budował miasta, rozwijał handel, otaczał opieką uczonych i artystów. Ungern nie dorastał mu do pięt.

Filozof przeszarżował i to dość ostro. Wylaź z niego bałtycki Niemiec. Baron nie wzniecił płomienia. I bez niego wcześniej czy później przepędzono by Chińczyków z Urgi.

Syberyjski kondotier krótko prosperował w Mongolii. Zaledwie kilka miesięcy nosił tytuł chana. Ale chanem był jednak. Białym chanem. Dla prostego cyryka prawie bogiem. Nawet lamowie się go bali. My dodamy, że raczej obawiali się o klasztorne ruchomości, które bez miłosierdzia na potrzeby armii uszczuplał. Nie wiadomo co myśleli podkomendni Sunduj-guna i on sam, ubogi księżę jednego z najniższych bodajże piątego stopnia, kiedy ujrzeli barona uciekającego przed zbuntowanymi Kozakami.

Z oddziałami rewolucyjnymi nie zamierzali już walczyć, ale na chana podnieść ręki nie chcieli. Nie wierzyli, że można go zabić tak jak innych, ciosem szabli, kulą. Uciekinier był u kresu sił, ranny, wyczerpany, ślaniał się na nogach. Kazał sobie postawić osobny namiot - manchaj. Postawili. Legł spać. Nocą najodważniejsi, zwinni jak węże, podkradli się. Żółty chański terłyk zarzucili na głowę, związali, omotali sznurem, zawinęli w wojskowy kobierzec. Żywy ludzki kokon drgał i charczał. Następnego dnia rankiem związanego powieźli w kierunku obozowiska białych Kozaków. Tam go czekało tylko jedno. Ungern uprzedza konwojentów, że mogą napotkać nieprzyjacielską kawalerię, tropiącą resztki Azjatyckiej Dywizji Konnej. A może już wybrał. Czerwoni przynajmniej męczyć nie będą. Eskorta przy pierwszej okazji bez walki składała broń przed szwadronem zwiadu 35 pułku kawalerii. Jeńca natychmiast stawiają przed Konstantego Konstantynowicza Rokossowskiego. Istnieją rozbieżności co do daty pochwylenia barona. Na pewno było to pomiędzy 20 a 24 sierpnia 1921 roku. W pobliżu brodu przez Selengę i góry Gurt. Dziś jest tam kołchoz Tariałań. Według mongolskich źródeł, Sunduj-gun przekazał Ungerna oddziałom radzieckim pod Modoń Kul. Na krótko przedtem baron usiłował zażyć truciznę. Zawsze ją nosił przy sobie. Niestety, ordynans przyszywając guzik, w którym była ukryta, do jedwabnego deli, musiał ją zgubić.

Krasnoarmiejcy powieźli jeńca doliną Dżidy. Przemierzał ją po raz ostatni. W czasie przeprawy przez Selengę w rejonie Ust'Kiachty, barkas nie mógł dobić do brzegu. Trzeba było skakać do wody. Obawiając się, aby baron nie umknął, a pływał znakomicie, kombat Michał Piercew przeniósł go na plecach. Zrzucając ciężar, żołnierz nie mógł powstrzymać się od uwagi: „No baronie, ostatni raz siedziałeś na karku robotnika”. Trafił w sedno. Proces i sąd w trybie doraźnym miał miejsce w Nowonikołajewsku (dziś Nowosybirsk). Gazety podały skład Rewolucyjnego Trybunału Syberii: przewodniczący - Oparin, członkowie - Gabiszow, Kudriawcew, Krawczenko i Guliajew, prokurator - Gubelman-Jarosławski, obrońca - Bogoliubow.

Ungern, w swoim chańskim terłyku z generalskimi pagonami, jest spokojny. Na pytania odpowiada krótko. Okrucieństw, jakich dopuszczali się jego żołnierze w czasie ekspedycji karnych, masakrowania ludności całych wiosek, nocnych jazd przez stepy z płonącymi ciałami zamiast pochodni nie wypiera się. Tłumaczy prosto: „To była wojna”. Zachowuje się wyzywająco. Urąga Trybunałowi. „Od tysiąca lat Ungernowie rozkazywali innym, nigdy od nikogo nie przyjmując rozkazów [...]. Odmawiam uznania rządów klasy robotniczej. Jak człowiek, który nigdy nie miał nawet zwykłego służącego, może mówić o rządzeniu. Jest on niezdolny do wydawania rozkazów”.

Gdy zarzucono mu, że był marionetką w rękach Japończyków, wzrusza ramionami i protestuje stanowczo.

„Moim zamiarem było wykorzystać Japonię [...]. Porozumiewałem się z Japończykami, tak jak porozumiewałem się z Czang-Tso-Linem. Czingiz-chan też był u Wang-chana nim zdobył swoje królestwo!”⁴⁹.

„Nie żyjemy w XIII wieku - powiedział prokurator - i nie zebraliśmy się po to, aby sądzić Czingiz-chana”.

⁴⁷ z książki: „Twórcze poznanie”, zawierającej wykład Keyserlinga wygłaszane w latach 1920-1921.

⁴⁸ jasa (mong.) - zbiór praw opartych na wielowiekowej tradycji, spisanych na rozkaz Czingiz-chana

⁴⁹ Wypowiedzi Ungema cyt. za M. Sayers i A. Kahn: Wielki spisec przeciwko ZSRR, Warszawa 1948, str. 118-119.

Po wystąpieniu obrońcy, usiłującego wykazać niepełną poczytalność podsądnego, przewodniczący Trybunału daje Ungernowi ostatnie słowo. Ten z niego nie korzysta. „Krwawego barona” skazano na rozstrzelanie. Wyrok wykonano 17 września 1921 roku.

Niesławny koniec epopei Azjatyckiej Dywizji Konnej nastąpił nieco wcześniej. 22 sierpnia nie opodał klasztoru Wan Chure resztki rozgromionej jeszcze w lipcu kawaleryjskiej brygady pułkownika Kazagranda, w liczbie około 250 ludzi, przebiły się na wschód. Parę dni później to samo próbują uczynić zgrupowane w tym rejonie niedobitki ungernowskie. Obchodzą od północy Urgę i kierują się na Dzyn Chure. Rychło jednak dopadają ich i dziesiątkują oddziały rewolucyjne. Baronów Witte i Tysenhaus, nadzorujących mongolskiego ministra skarbu w rządzie Dżałchansa-chutuchtu (dzięki nim Ungern mógł eksploatować niewielkie przeciw zasoby biednego kraju, uzyskując środki na utrzymanie i szkolenie armii) ujęto jeszcze wcześniej. W umiejętności wyciskania pieniędzy od ubogich aratów obaj panowie zakasowali lichwiarzy chińskich. Byli podkomendni chana Ungerna, osaczeni ze wszystkich stron przez mongolskie oddziały rewolucyjne, tępieni na każdym kroku, ginący w piaskach Gobi z ran i pragnienia, przedzierają się luźnymi watahami na wschód. Do Siemionowa, do Mandżurii. Tam jest ratunek. Jedna szansa na sto uratowania nędznego żywota. Na litość i pobłażanie liczyć nie mogą. Zbyt długi rejestr zbrodni obciąża ich wodza. Zbawczą granicę Mandżurii osiągnęli nieliczni.

Na zachodzie, u podnóża altajskiego masywu Tabun Bogdo⁵⁰, na którym zbiegają się granice chińskiej prowincji Sinkiang, Mongolii i Syberii, przyczaił się esauł Kajgorodow ze swoim naczelnikiem sztabu Sokolnickim. Rychło dołączą do niego generał Bakicz i Kazancew, wyparci z Dżungarii przez Chińczyków. Razem stanowią siłę dość znaczną. W okręgu kobdowskim rządzą po swojemu. Krwawy terror, tortury, pospolita grabież, ekspedycje karne mają utrzymać w ryzach plemiona Oltów, Bajtów, Mingatów, Sartów, Derbetów, Kazachów. Z niektórymi Kajgorodow, sam Tatar z pochodzenia, wejdzie w porozumienie, ofiarowując część łupów, jakie dopiero zamierza zdobyć. Ku niemu to najprawdopodobniej zamierzał się przedrzeć chan Roman Teodorowicz. Nad rzeką Kobdo w bogatej w trawę kotlinie Wielkich Jezior, otoczonej wysokimi górami, rzeczywiście mógł jeszcze przez pewien czas stawiać opór. Jego oficerowie byli za głupi, aby to zrozumieć. No i w razie klęski żaden by już nie doznał do Mandżurii. Cóż, mieli swoją rację.

Już w maju 1921 roku tworzy się w Bijsku Oddział Operacyjny pod dowództwem starego komunisty, Łotysza Karola Karolowicza Nekunde. Oddział ten liczył początkowo zaledwie 50 ochotników. Zanim ruszył na Kobdo, urósł w siłę czterokrotnie.

Połączywszy się z mongolskimi siłami Chas Batora, oddział Nekunde gromi napotymane bandy miejscowych feudałów i kołczakowskich esaułów.

We wrześniu 1921 roku korpus generała Bakicza okrążył oddział Nekunde i Chas Batora w klasztorze nad jeziorem Tołbo nur. Kontrewolucjoniści mieli wielokrotną przewagę. Broniący się wytrzymali sied-miotygodniowe oblężenie. Padł bohaterski Chas Bator. Zginęło wielu innych, ale pozostali nie załamali się. Wytrwali do chwili przybycia odsieczy. Pułki Armii Czerwonej, przeszedłszy szybkim marszem z Syberii, rozbiły wroga. W ostatecznej likwidacji wojsk Bakicza czynnie uczestniczy konnica Chatan Batora Maksordżaba, sławnego zdobywcy Kobdo z 1911 roku.

Do najdalszych zakątków Mongolii dotarła wieść o piśmie, jakie Maksordżab skierował jeszcze w czerwcu do premiera rządu w Urdze, Dżałchansa-chutuchtu.

Wykonując rozkaz zlikwidowania rozbitych i zajmujących się grabieżami i morderstwami band barona Ungerna, Ja, Maksordżab, aktywnie wystąpiłem i już 16 czerwca wieczorem miałem pierwsze starcie z bandami rosyjskimi naczelnika Kazancewa i Buriata Wandałowa. Po walce okazało się, że tylko Kazancew ratował się ucieczką, a reszta została unicestwiona. Obecnie opuszczam Uliasutaj i zmierzam w kierunku północno-wschodnim z zamiarem spotkania oddziałów radzieckich, aby wspólnymi siłami definitywnie oczyścić Mongolię od białych band rozrzuconych po całym kraju⁵¹.

Dla nawiązania bezpośredniej łączności z Dżałchansa-chutuchtu, przybył z Irkucka pełnomocnik tamtejszego organu władzy rewolucyjnej. Premier przekazał mu list Bogdo-gegena do B.Z. Szumjackiego (pseudonim Andrzej Czerwony), przewodniczącego Rady Ministrów Republiki

⁵⁰ Tabun Bogdo (mong.) - Pięciu Bogów lub Pięciu Świątych; najwyższy szczyt Kujtyn 4356 m n.p.m.

⁵¹ W. I. Judin: Mongolskij sbornik, Moskwa 1959, str. 122-123.

Dalekowschodniej, kierującego operacjami przeciwko Ungernowi. List zawierał prośbę władz mongolskich o pomoc wojskową i dostawę broni. Bogdo-gegen, jego premier i ministrowie zorientowali się prędko, że dalsze stawianie na białych generałów i atamanów nic im już dać nie może. Zmienili więc front.

Jaki los spotkał chana Romana Teodorowicza, już wiemy. Generała Bakicza, wraz z całym sztabem, udało się Maksordżabowi zwabić w zasadzkę w Ułan-gom, przetransportować do Urgi i przekazać władzom radzieckim. Sądzony był również w Nowonikołajewsku.

W kwietniu 1922 roku na terytorium radzieckiego Ałtaju został zabity Kajgorodow, były komendant „dzikiej sotni” przy sztabie Kołczaka w Omsku. Jego odrąbana głowa miała stać się ostrzeżeniem dla innych.

Zbrojne wystąpienia przeciwników władzy radzieckiej trwały jeszcze dalej. Kilkanaście miesięcy później K. K. Nekunde dowodzi wojskami Jakuckiej ASRR w walce przeciw kolejnemu syberyjskiemu kondotierowi. Jesienią 1921 roku jakuccy tojoni⁵², popierani przez dalekowschodnią kontrrewolucję i rodzimych nacjonalistów, podnieśli zbrojne powstanie. Opanowali okręgi wierchojański i kołymski, zagrożali Jakuckowi, przywrócili dawny feudalny podział kraju na ulusy. Pobici przez Armię Czerwoną wezwą na pomoc „Syberyjską Drużynę Ochotniczą” generała A. Piepielajewa, sformowaną we Władywostoku za pieniądze kilku dużych firm, m.in. japońskiej „Arai Chumi” i amerykańskiej „Olaf Swenson”. „Drużyna” mająca 750 żołnierzy i oficerów, doskonale uzbrojona i wyekwipowana, liczyła na poparcie ludności i skuteczność antyradzieckiej propagandy. Generał Piepielajew i przewodniczący tzw. Rady Jakuckiej, eser Kulikowski, szybko musieli jednak szukać ratunku na brzegu Morza Ochockiego.

* * *

Naocznym świadkiem i uczestnikiem wielu wydarzeń rozgrywających się w latach dwudziestych w Mongolii i na Dalekim Wschodzie jest Kamil Giżycki.

Przebywając w obozie Azjatyckiej Dywizji Konnej, jeszcze w dzień rewolty rozmawia z Ungernem. Sam, obłożnie chory, ledwo trzyma się na nogach. Baron długo tłumaczy mu, że dążenie na wschód jest błędne, gdyż i tam wre walka z bolszewikami, zaś armia Merkułowa nie ma co jeść. Trzeba przeto przezimować w dogodnym miejscu, aby na wiosnę połączyć się z Wranglem. Parę godzin później Giżycki widzi, jak po zastrzeleniu nadwornego kata „krwawego barona”, zniechęconego chorążego Burdukowskiego, spiskowcy ścigają Ungerna; esauł Makiejew strzela doń dwukrotnie. Giżycki jest przekonany, że chan Roman Teodorowicz zginął. Nie wiemy czy do chwili wybuchu buntu młody podporucznik zdążył wykonać rozkaz wydany mu przez barona jeszcze 10 lipca, podczas odwrotu spod Troickosawska. Cztery dni wcześniej wojska rewolucyjne zajęły Urgę. Musiał to być rozkaz rzeczywiście wyjątkowej wagi skoro jego wykonawcę zaopatrzone w specjalne pełnomocnictwo wydane przez sztab dywizji z kolejnym numerem 128. Zaledwie 128. A przecież wydawano setki różnych rozkazów dziennie. Baron zwykł był osobiście doglądać najdrobniejszych spraw, aby utrzymać jaką taką ogólną sprawność bojową podległej mu zbieraniny. Oczywiście, że w większości wypadków starczyło słowo poparte spojrzeniem i wymownym potrząśnięciem taszura. W zbytnią biurokrację nikt się nie bawił. Wielkiej kancelarii nie wożono. Dlatego wystawienie dokumentu świadczy o tym, że jego posiadacz otrzymał jakieś specjalne, wyjątkowo ważne zadanie.

Mały, prawie kwadratowy karteluszek w lewym górnym rogu opatrzony nadrukiem „Naczelnik Azjatyckiej Dywizji Konnej”. U dołu „Generał lejtnant”. Okrągła pieczęć i podpis położony ręką barona.

Zaświadczenie

Okaziciel niniejszego podporucznik Giżycki jest odkomenderowany do Wan Chure w sprawach służbowych.

Wszystkich zobowiązuję do okazania pełnej pomocy podporucznikowi Giżyckiemu, celem ułatwienia mu szybkiego wykonania nałożonego nań obowiązku.

Tylko tyle. Wszyscy wiedzieli z czym poleceniem mają do czynienia. Dziwi niepomiarne fakt zachowania się tego dokumentu. Wiadomo bowiem, że Giżyckiemu parokrotnie przepadał cały dobytek i do Mandżurii dotarł prawie na bosaka, mając przy sobie tylko rewolwer. Fotokopii rozkazu jednak nie zgubił, zamieścił ją w swojej książce.

⁵² tojoni (jakuckie) - książęta

W najtrudniejszych momentach musiał mieć ten świstek papieru przy sobie, chroniony w jakiejś specjalnej kopercie ze skóry, inaczej papier by na pewno rozmiękł w wodzie w czasie tragicznej przeprawy przez Selengę. Przeprawa miała miejsce gdzieś w drugiej połowie sierpnia. Baron był już wówczas w ręku Kozaków Rokossowskiego. Giżycki, który mało nie utonął, stracił majątek w złocie i srebrze, złoty posążek Buddy, cenne klisze, fotografie i dzienniki, papiery osobiste i najważniejsze dlań stare księgi na pergaminie, zabrane z klasztoru. Nie miały багаż, zapakowany w juki przytroczone do czterech wierzchowców, razem z nimi poszedł na dno. Nie wszyscy oficerowie „krwawego barona” posiadali tyle; ten jednak cieszył się jego wyjątkowym zaufaniem i był jednym z nielicznych, których „Dieduszka” nie bijał. Nie mamy powodu wątpić w prawdziwość rejestru strat. Przecież w czasie przeprawy toczył się bój z pułkiem radzieckiej kawalerii. Padali zabici, ranni. Poszedł wtedy na dno skarbiec dywizji. Zdołano uratować jedynie część złota, srebra i biżuterii. Zatonęło 100 skórek sobolowych, 50 wydrowych, 5000 gronostajowych i przeszło 10 000 wiewiórczych, 75 pudów prochu, 4,5 puda cyjanku potasu, znaczna ilość dynamitu, wszystkie narzędzia chirurgiczne, opatrunki, kilkanaście pudów opium itd. Zwróćmy uwagę na chronologię. Rozkaz wyjazdu do Wan Chure wydany był co najmniej miesiąc wcześniej. Kartka papieru ocalała, a złoty posążek Buddy diabli wzięli. Jak to być może?

A może przedstawiała znacznie większe wartości niż cały ładunek końskich juków? Wtedy wszystko staje się jasne. Lamowie klasztoru Wan Chure mogli respektować polecenia barona nawet po niepotwierdzonej wieści o jego uwięzieniu czy śmierci. Ostatecznie jechali na jednym koniu. Zastanówmy się. Skarb dywizji ginie w nurtach rzeki. Ale czy cały? Kto w tak gorących i niepewnych czasach wozi z sobą całą zdobycz i to wyruszając na wojenną wyprawę. Zatonąć mogła rzeczywiście podróżna kasa i zrabowane w czasie marszu łupy. Właśnie skóry soboli, gronostajów, wyder, zdarta z kobiet biżuteria. Ale główny depozyt musiał przedtem być ukryty. Na pewno dobrze.

Zapominamy o kołczakowskiej karawanie. Nieczynne kopalnie złota znajdują się na trasie, którą w kwietniu 1921 roku ungerowcy maszerowali z Urgi, w rejonie wzgórz Nojon Uli. Dywizja dopiero ruszyła na Troickosawsk. Liczono na powodzenie, ba, pomyślność całego przedsięwzięcia. Skrzynie ze złotymi rublami zamierzano być może odkopać w drodze powrotnej. Na razie nie było na to czasu. Wzgórza Nojon Uli znajdują się w odległości niespełna 180 kilometrów od Wan Chure. Po przeprawieniu się w sierpniu 1921 roku resztek dywizji przez Selengę podporucznik Giżycki mógł więc wrócić do Mongolii, udać się do klasztoru, tam zażądać oddziału uzbrojonych łamów i karawany jucznych zwierząt lub arb i... odkopać skrzynie w rozpadliskach Nojon Uli, aby próbować przemknąć się z nimi przez Bargę do Władywostoku lub Pekinu. Szanse na powodzenie całego przedsięwzięcia miał minimalne. Ale rozkaz należało wykonać. Wykonał go, a raczej wykonywał tak długo, jak tylko mógł. W stanie oplakany dociera do Bargi. Parę lat jest wojskowym instruktorem w armii marszałka Czang-Tso-Lina, a gdy ten za sprawą japońskich sprzymierzeńców odlatuje wraz z całym pociągiem pancernym do nieba, generał Popielajew angażuje go do wyprawy nad Lenę. I tym razem udaje się Giżyckiemu jakoś ująć z życiem. Do kraju zawitał w roku 1925 lub 1926, zwiedziwszy po drodze Annam, Indie, Oceanię, zachodnie wybrzeże Afryki. Do Afryki niebawem wróci, by utknąć w niej na dłużej. Skusiła go kolejna Wielka Przygoda. W Polsce jest gościem. Na Czarnym Łądzie bada folklor szczepów Afryki Równikowej, poluje. Zajmuje się również i innymi sprawami, ale to już zupełnie inna historia.

PREZYDENT SYBERII.

W początkach maja 1921 roku przybywa do Urgi były doradca admirała Kołczaka Antoni Ferdynand Ossendowski. W latach 1918-1920 wykładał chemię i geografii ekonomiczną na Politechnice i Akademii Rolniczej w Omsku. Choć tytułowano go profesorem z zamiłowań był raczej dziennikarzem i politykiem niż naukowcem. Ungern początkowo potraktował niespodziewanego gościa, który za jego plecami konferował z książętami mongolskimi i chutuchtu najpotężniejszych klasztorów, z dużą rezerwą. Japońscy sojusznicy barona wyczuwali w Ossendowskim konkurenta związanego z wywiadem amerykańskim. A może wiedzieli coś więcej?

W październiku 1919 roku, a więc blisko dwa lata wcześniej, ukazała się w Waszyngtonie broszura zatytułowana Spisek niemiecko-bolszewicki. Zawierała omówienie 54 rzekomo autentycznych dokumentów pochodzących z okresu od 27 listopada 1917 do 9 marca 1918, na których figurowały podpisy m. in. Dzierżyńskiego, Trockiego i Joffego. Dokumenty te - korespondencja dotycząca

warunków, na jakich ma nastąpić przejazd Lenina przez Niemcy, stanowić miały koronny dowód, że „przywódcy bolszewicy byli płatnymi agentami państwa, z którym carska Rosja prowadziła wojnę”. Teczkę z dokumentami kupił od współpracownika redakcji petersburskiego dziennika „Wieczernieje Wremia”, niejakiego E. P. Siemionowa (nie mającego nic wspólnego z imiennikiem z Zabajkała), przedstawiciel Amerykańskiego Komitetu Informacji Publicznej Edgar Sisson. Pod jego nazwiskiem afera weszła do dziejów dyplomacji. Celowo rozdmuchiwana przez pewne koła wrzawa wokół dokumentów miała skompromitować zniechęconą przez imperialistów władzę bolszewików. W 1952 roku były ambasador amerykański w Moskwie George Kennan dowiódł fałszerstwa „dokumentów Sissona”. A w trzy lata później, po ujawnieniu tajnych akt znajdujących się w Archiwum Narodowym w Waszyngtonie, ekspertyzy grafologicznej wykazały, że podpisy położone zostały ręką... Ossendowskiego.

Antoni Ferdynand Ossendowski w chwili, kiedy piszę te słowa, miałby 94 lata. Jeszcze za życia otaczała go legenda, zainteresowanie i szacunek jednych, głęboka niechęć drugich. Budził kontrowersje, wywoływał skandale, i pisał. Pracował bardzo intensywnie; kilkanaście godzin na dobę. Nocami ślęczał w bibliotekach, studiował źródła, zbierał materiały. Łatwości pisania nie zdobywa się; talent nie gwarantuje sukcesu. Na sukces trzeba zapracować.

Należał do najpopularniejszych, najbardziej płodnych i wszechstronnych pisarzy okresu międzywojennego. Trzeba dodać, że i do najlepiej honorowanych. Ale potrzeby miał również duże; tryb życia, jaki prowadził, polowania, podróże kosztowały sporo. Oceny całości jego twórczości krytycznej analizy blisko stu, tak jest - stu wydanych książek, o ile wiem, nie dokonał dotąd nikt. A szkoda, bo obok książek nie najwyższych lotów, mających na celu być może przysporzyć autorowi jedynie nieco grosza, są pozycje cenne, warte wzięcia do ręki, przeczytania, odłożenia na półkę domowej biblioteki. Wielokrotnie wydawane, tłumaczone na wszystkie języki europejskie książki Ossendowskiego rozchwytywała nie tylko młodzież, poszukująca w nich sensacji, opowieści o Wielkiej Przygodzie, egzotycznych podróżach. Curriculum vitae pisarza zamieszczone w pewenowskim słowniku przekonuje nas, że mamy do czynienia z człowiekiem wyjątkowego formatu. Wszechstronność zainteresowań niewątpliwe zdolności, talent, ambicja, żyłka awanturnicza, skłonność do intryg - wszystko razem tworzyło mieszaninę piorunującą.

Pisarz urodził się 27 maja 1878 roku jako syn lekarza Marcina i Wiktorii z Bortkiewiczów. Rodzice często zmieniają miejsce pobytu. Okolice Witebska, gubernia pskowska, Kamieniec Podolski, Chocim. Wspomnienia z okresu dzieciństwa dostarczą mu później literackiego tworzywa do pierwszych, pisanych po rosyjsku utworów. Do gimnazjum uczęszcza w Petersburgu. Znajdując się w ciężkich warunkach materialnych, na życie zarabia udzielaniem korepetycji, opieką w czasie wakacji nad dziećmi zamożnych ziemiańskich rodzin. Pierwsze dwunastorublowe honorarium otrzymuje za opis pieszej wycieczki po Krymie i podróży morskiej do Batumi i Konstantynopola. Wstępuje na wydział przyrodniczo-matematyczny uniwersytetu i z czasem zostaje asystentem prof. Szczepana Zalewskiego, znanego przyrodnika. Uczestniczy w jego wyprawach naukowych na Ałtaj, Kaukaz, limany Dniestru, nad Jenisej, w okolice Bajkału.

Już wtedy poznaje swoją przyszłą drugą żonę, piętnastoletnią dziewczynę, szwagierkę profesora, Zofię Iwanowską. Przystojny asystent musiał jej wpaść w oko. Znajomość ogranicza się do przyjaźni i korespondencji, prowadzonej później przez wiele lat. Nim Ossendowski zorientował się, że jest to coś więcej, ukochana wyszła za mąż za doktora Płoszko i urodziła dwóch synów. Przeżył to bardzo, myślał o samobójstwie, pisał wiersze.

W latach 1899-1901 zmuszony, za wzięcie udziału w zaburzeniach studenckich, do wyjazdu z Rosji, studiuje chemię na paryskiej Sorbonie. Zaproszony przez swojego dawnego profesora wraca na stanowisko docenta i wykładowcy fizyki i chemii fizycznej nowo otwartej politechniki w Tomsku. Protegujący go profesor należał do gatunku wyjątkowych legitymistów. W młodości, jako jeden z nielicznych, uczestniczył w delegacji studentów warszawskich w pogrzebie cara Aleksandra II, zgładzonego w wyniku zamachu Ignacego Hryniewieckiego. Spoliczkowany za to przez kolegów, do Warszawy już nie wrócił, rozpoczynając błyskotliwą karierę na uniwersytetach w Dorpacie i Tomsku. Katedrę otrzymał szybko. Należy sądzić, że asystent podzielał poglądy polityczne swego profesora. „Rewolucyjne mrzonki” wywietrzały z jego głowy dość prędko. Drogę życiową już obrał. Po sarmackich przodkach, panach na Homelmujkach, Mzurach i Lisowie, zostało mu tylko nazwisko, żądza czynu i kawalerska fantazja potomka lisowczyków, za jakiego się uważał. W 1903 roku otrzymuje atrakcyjną propozycję objęcia stanowiska eksperta ministerstwa marynarki wojennej do spraw przemysłu wojennego Dalekiego Wschodu. Odbywa służbowe podróże do Korei, na Sachalin, do Kraju Ussuryjskiego i nad Amur. Bada możliwości spożytkowania dla potrzeb armii miejscowych surowców: węgla, ropy naftowej, rud. Chodziło o zwolnienie magistrali transsyberyjskiej od przewozu ważnych strategicznie materiałów aż zza Uralu. Przesławne lania, jakie wojska carskie zbierały w bitwach na

półwyspie Liaotung, pod Mukdenem i nad rzeką Jalu, po raz pierwszy poderwały autorytet rasy białej. Straciła twarz. Ludy Azji zaczęły się budzić.

W Rosji wybuchła rewolucja. W listopadzie 1905 roku w Mandżurii Ossendowski zostanie rzekomo wybrany na prezesa rewolucyjnego Komitetu Naczelnego, który przez 53 dni miał sprawować władzę na olbrzymiej przestrzeni od Oceanu Lodowatego do Kraju Ussuryjskiego włącznie. Głównodowodzący wojskami rosyjskimi na Dalekim Wschodzie, generał Liniewicz, tolerował działalność Komitetu Naczelnego, podobnie jak i naczelnik kolei wschodniochińskiej generał Chorwat. Działalność Komitetu chyba najlepiej scharakteryzuje nam sam Ossendowski. Podczas wystąpienia na procesie, jaki carat wytoczył członkom Komitetu, w większości Polakom, gdy czarnosecinną reakcją opanovała sytuację w imperium, powiedział:

„Prokurator był na tyle uczciwy, iż wydał tu poświadczenie państwowego kierunku naszej działalności. Teraz odwołuje się do uczciwości panów sędziów i panów generałów tu obecnych, prosząc ich o stwierdzenie, że gdyby w dobie wybuchu rewolucyjnych namiętności nasz Komitet Naczelny nie potrafił ująć pełni władzy w swoje ręce panowie zginęliby niezawodnie od kul swoich żołnierzy lub na latarniach, powieszani przez rozbestwionych anarchistów”. Nic tu dodać. Panowie sędziowie widać to docenili, bo choć wówczas wyroki śmierci ferowano tuzinami, to „prezydent” prześladowanego rządu otrzymał zaledwie półtora roku twierdzy - karę raczej symboliczną.

Po odbyciu kary, skróconej zresztą na skutek interwencji wysoko postawionych osobistości, aż do roku 1917 jest konsultantem związku przemysłowców złota i zakładów zbrojeniowych. Para się też dziennikarstwem, zamieszczając artykuły w gazetach: „Torgowo Promyslennaja”, „Wieczernyje Wremia”, „Birżowyje Wiedomosti”. Redaguje również w języku polskim „Dziennik Petersburski”.

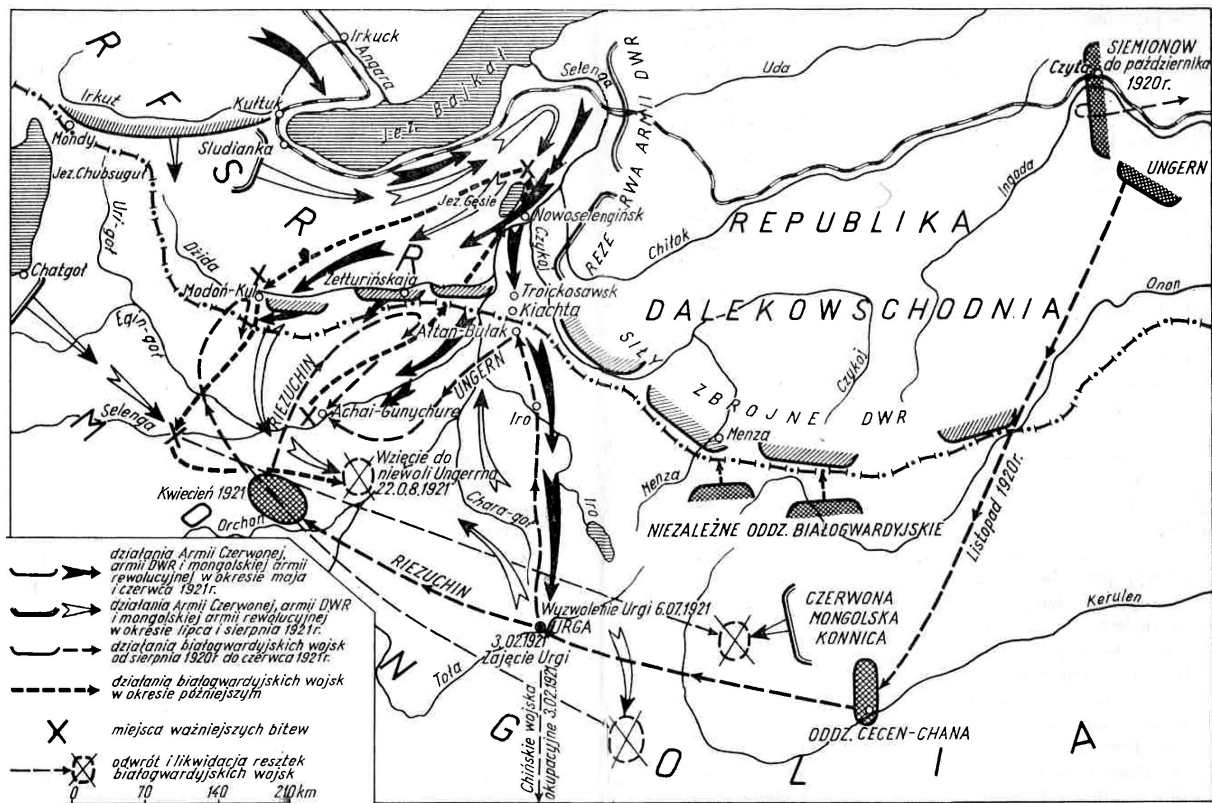
Jednocześnie ciągle pisze. Pierwszą książkę „Opis podróży po Altaju i Kraju Ussuryjskim” wydał jeszcze w roku 1899, przed wyjazdem do Francji. Kilkanaście lat później jest już znanym autorem. Na wszechrosyjskim konkursie literackim otrzymuje odznaczenie za powieść „Przed obliczem Boga”. W tygodnikach i miesięcznikach literackich Petersburga jego nazwisko pojawia się coraz częściej. Zyskuje coraz większą sławę, popularność, dochody.

Ostatnią książką, jaką zdążył wydać przed rewolucją są „Mirnyje zawojewatieli”. Odsłania w niej kulisy działalności niemieckich szpiegów na tyłach armii carskiej.

W czasie wojny domowej znajdujemy Ossendowskiego w Kraju Urianchajskim. Po klęsce Kolczaka i odcięciu drogi do Władywostoku przez wojska rewolucyjne kilka miesięcy ukrywa się w głuchej tajdze Urianchaju, wreszcie decyduje się iść na wschód, ku górcom Ułan Tajga. Za nimi jest już Mongolia. Przez pewien czas przebywa w pogranicznej, leżącej już w Mongolii osadzie Chatgoł, nad jeziorem Chubsuguł. Jest tam liczna kolonia rosyjska i bezpośrednie połączenie telegraficzne z Irkuckiem linią przeciągniętą wzdłuż traktu tunkijskiego. Oczekuje na dalszy rozwój wydarzeń. Drogę powrotu do Europy ma odciętą.

Czerwona partyzantka i bliskość granicy skłaniają go do opuszczenia Chatgołu. Tym razem celem jest Uliasutaj - miejscowość leżąca w Mongolii zachodniej. Po podbiciu tej części kraju przez Chińczyków, co miało miejsce w drugiej połowie XVIII w., miejscowego dziań-dziunia mianowano chińskim namiestnikiem Chałchy, a także zwierzchnikiem administracyjnym dwóch zachodnich ajmaków. Wschodnimi ajmakami zawiadywali od 1786 roku ambanowie z Urgi, sprawujący rządy przy pomocy mongolskich saitów i dargów - przewodniczących ajmacznych sejmików. Uliasutaj, jako centrum administracyjne Chałchy, odgrywał ważną rolę do 1911 roku. Dziesięć lat później był już tylko rezydencją ambana zarządzającego dwoma zachodnimi ajmakami, lecz pozostającego w zależności od władz w Urdze.

Położony na zachodnich stokach gór Changaj, Uliasutaj składał się niejako z dwu części: twierdzy u zbiegu rzek Czingistu-goł i Bogdyn-goł, otoczonej wysokimi drewniano-ziemnymi fortyfikacjami, oraz odległej o blisko dwa kilometry osady handlowej. Ta dzieliła się na dwie dzielnice; chińską, liczniejszą, zamieszkiwało parę tysięcy obywateli Państwa Środka, od zamożnych kupców i lekarzy poczynając, a na ich sługach i prostych kulisach kończąc. Dzielnica mongolska zajmowała niewielką przestrzeń gęsto zastawioną jurkami, zaludnionymi przez około pół tysiąca przedstawicieli płci pięknej, uprawiających z powodzeniem najstarszy fach świata. Chińczycy do Mongolii przybywali bez żon. Centrum Uliasutaju to zaledwie parę krzyżujących się pod kątem prostym, wybiegających w step uliczek. Najokazalsze budynki zajmowały faktorie różnych firm handlowych oraz koloniści europejscy, głównie Rosjanie.



Rozгромienie Ungerna w 1921 r.

Rosyjskie domy handlowe prowadziły przeważnie operacje hurtowe. Uliasutajskie konie, bydło, barany, a także wełnę, skóry i sierść wielbłądzą odsyłano przez Kobdo i przełęcz Ulan Daba do Bijska lub przez Kiachtę do Irkucka. Niewielką część zakupów kierowano drogą karawanową przez Kałgan do Tiensinu, posiadającego dogodny port nad zatoką Morza Żółtego. Ze szlaku tego korzystały głównie wielkie firmy handlowe chińskie i amerykańskie. Przedstawicielem jednej z tych ostatnich był Polak Stanisław Błoński.

Po upadku Kołczaka Uliasutaj został zalany rzeszą uciekinierów z Rosji, czekających na możliwość powrotu lub zamierzających wyemigrować przez Urgę i Chiny do Europy. Początkowo władze chińskie patrzyły przez palce na nie posiadających paszportów, kłopotliwych cudzoziemców. Ale gdy ci zaczęli się wodzić za łby i cichaczem uzbrajać - przykręcono śrubę. Rychło miejscowe więzienie zapelnili eks-białogwardziści. Reszta europejskich kolonistów, czując się zagrożona, organizuje siły samoobrony, zasilane przez nowych przybyszów. Przez pewien czas zapanował, jakby to powiedzieć, stan chwiejnej równowagi.

Sytuacja w całym kraju na krótko przed ostatecznym wypędzeniem Chińczyków z Urgi była mocno niepewna. Widać to wyraźnie z kart pamiętnika znanego nam Burdukowa. Pożegnał on już kupca Mokina i został pracownikiem „Centrosojuza”, kontrolowanej przez komunistów wielkiej firmy handlowej, której majątek w towarach i surowcu obliczono na setki tysięcy ton srebra. Z rozkazu Ungerna atamana Kazancew niebawem majątek ten znacznie uszczuplił, konfiskując zawartość uliasutajskich składów.

Wróćmy do Ossedowskiego. Oczywiście Burdukow nie tylko słyszał to nazwisko, ale nawet poznał profesora osobiście. Niestety znajomość nie pozostawiła u niego najlepszych wspomnień:

„Doświadczony polityk i zatwardziały przeciwnik Rosji Radzieckiej, urabiając otoczenie, prowadził perfidną grę. Intrygant chełpił się, jakoby po zakończeniu rosyjsko-japońskiej wojny 1904-1905 był razem z wszechwładnym wówczas carskim ministrem Witte przy podpisywaniu zawartego w Portsmouth porozumienia⁵³. Zgrupował wokół siebie polskich bieżenców i aktyw rosyjskich białobandytów. Znalazłszy drogę do chińskich i mongolskich władz w Uliasutaju, wicherzył i grał jednocześnie rolę pośrednika. Ossedowski i jego zausznicy umiejętnie wykorzystali przeciw nam

⁵³ Traktat pokojowy w Portsmouth (USA) podpisano w 1905 r. po wojnie ros.-jap. Rosja oddała pld. część Sachalinu, zrzekła się praw do dzierżawy okręgu Kuantung z portem Port Artur i Dalmij, uznała wpływ Japonii w Korei.

przyjazd irkuckich centrosojużnych instruktorów, przysłanych przez chatgołską komisję w związku ze wzrostem aktywności białych"⁵⁴.

Należy nadmienić, że jeszcze pismem datowanym drugiego czy trzeciego grudnia 1920 roku Ignacy Majski zawiadamiał Burdukowa o mianowaniu go przedstawicielem firmy w Uliasutaju, a zanim list dotarł do adresata, jego nadawca został mianowany przewodniczącym Syberyjskiej Komisji Planu Państwowego w Nowonikołajewsku.

Uliasutaj przypominał beczkę prochu. Żołnierze kilkutyśięcznego garnizonu chińskiego i kulisi tylko czekali na sygnał, aby runąć na składy i magazyny handlowe rosyjskich firm, wyprawiając przy okazji do nieba wszystkich Europejczyków. Wieści napływające z Urgi o krwawej łaźni, jaką sprawił tam Chińczykom Ungern, jeszcze bardziej zaogniły atmosferę. Władze mongolskie z kolei miały dość panoszenia się na swoim terytorium zarówno uciekinierów z ogarniętej wojną domową Rosji, jak i sąsiadów z południa. Tymczasem kontrewolucjoniści zorganizowali oddział wojskowy pod dowództwem pułkownika Michajłowa, z którym współdziałał Ossendowski. Pułkownika z rozkazu Ungerna zlikwidowano zresztą szybko. Zastąpili go podkomendni barona: Domożyłow, a po nim ataman Kazancew. Wyniesienie cało głowy z tego galimatiasu na zasadzie nieangażowania się po czyjejkolwiek bądź stronie praktycznie chyba nie istniało. Nieszczęśnicy usiłujący zachować neutralność rychło gryźli ziemię, zamęczeni przez ungerskich zbirów lub schwytani przez luźne watahy pozostających na służbie chińskiej półdzikich Czaharów⁵⁵. Tu może paść pytanie, dlaczego Ossendowski zadeklarował się właśnie po stronie białych? Zajrzyjmy jeszcze raz do pamiętnika Burdukowa.

„Ponieważ miejscowi Polacy [tzn. znajdujący się w Mongolii - przyp. W. M] wiedzieli o rozpoczętej wojnie polsko-bolszewickiej, w miarę możliwości chcieli oni zostać małymi Lawrence'ami⁵⁶, szczując ludzi przeciwko sobie. Mieli nadzieję, że tą drogą osłabią siły Rosji Radzieckiej. Profesor Ossendowski wniósł też niemały wkład w dzieło organizacji białobandyckich porządków Ungerna, rezultatem których były straszne spustoszenia i liczne ofiary"⁵⁷.

Autor wspomnień niewątpliwie przecenia znaczenie kontaktów Ossendowskiego, bo i bez jego udziału baron usiłowałby „oczyścić” kraj od rewolucjonistów. Dla nas ważne jest wyraźne podkreślenie przez Burdukowa wyjątkowej niejako pozycji Ossendowskiego na tle ówczesnej sytuacji politycznej w Mongolii. Pisarz miał być też współautorem osławionego rozkazu nr 15, skierowanego do „Rosyjskich oddziałów na terytorium Radzieckiej Syberii”. Po wyrzuceniu okupantów chińskich i ustanowieniu władzy Bogdo-gegena Mongolia miała odegrać rolę bazy wyjściowej dla wystąpienia przeciw młodej Republice Rad. Czy w dalszej części rozkazu jest mowa o przekazywaniu władzy, w miarę możliwości, w garnizonach wojskowych i intendenturze w ręce... Polaków, nie bardzo chce się wierzyć, choć tak twierdzi Ossendowski.

Burdukow, pragnąc już zupełnie pogrożyć przeciwnika w oczach radzieckich czytelników napisze na koniec:

„Ossendowski zasugerował także degeneratowi Ungernowi myśl o restauracji domu Romanowych, a sam za otrzymane od niego środki pojechał na wschód za carem Michałem Romanowym, którego miejsce pobytu było znane tylko jemu”.

Pierwsze spotkanie Ungerna z Ossendowskim miało miejsce w czasie podróży z Uliasutaju do Urgi w klasztorze Wan Chure nad brzegiem Orchonu. Nie było to spotkanie przypadkowe. Ossendowskiego chroniła dzara⁵⁸ - list żelazny, jaki otrzymał chyba w Uliasutaju. Dzara uprawniała podróżującego urgą do żądania w każdym łabunie nowego, wypoczętego wierzchowca. Od wieków takim dokumentem dysponowali tylko osobiści wysłańcy chanów, wiozący wyjątkowo ważną pocztę i wiadomości. Po stepach poruszali się błyskawicznie. Z przypiętymi do czapki sokolimi piórami, ciasno owinięci jedwabnym bandażem, co kilkadziesiąt kilometrów przesadzani w biegu z konia na konia przez towarzyszących im na krótkich odcinkach ułazców, przebywali i po pół tysiąca kilometrów na dobę.

W XIII wieku na pola bitew w Europie wieści o decyzjach podejmowanych na kurultajach docierały po 8-10 dniach. Ossendowski tak szybko nie podróżował na pewno, ale posiadając dzarę musiał być rzeczywiście ważną personą. Co ciekawsze, wydały mu ją władze chińskie, pozostające ze zrozumiałych względów na stopie wojennej z „krwawym baronem”, a bardzo jest wątpliwe, aby do nich

⁵⁴ A. W. Burdukow: „W starożytności i nowożytności Mongolii”. Moskwa 1969. str. 172.

⁵⁵ Czaharowie - plemię wschodniomongolskie.

⁵⁶ Thomas Edward Lawrence (1888-1935) - brytyjski orientalista, pisarz, pułkownik w czasie I wojny światowej, później odegrał ważną rolę w realizowaniu polityki brytyjskiej na Bliskim Wschodzie.

⁵⁷ A. W. Burdukow, op. cit., str. 173.

⁵⁸ dzara (mong. dzar) - dosłownie: obwieszczenie, wieść, gwałt pozwalający na przejazd.

przemówił zmyślony lub prawdziwy pretekst podróży Ossendowskiego, tj. poszukiwanie na wschodzie cara Michała Romanowa. Mocno problematyczne jest również, aby ten tylko argument wystarczył Ungernowi do wypuszczenia ze swoich rąk bądź co bądź cennego fachowca, który znał technologię produkcji w warunkach polowych gazów trujących i granatów. Warto wspomnieć, że funkcję kuriera pełnił swego czasu Giżycki, ale jemu glejt wyjednał od namiestnika Dżungarii generał Bakicz. Posiadacz dzary po wypełnieniu misji powinien ją zwrócić. Powinien, ale nie musiał. Ludzie mieli wtedy ważniejsze sprawy na głowach, niż pilnowanie prawidłowego obiegu dokumentów.

W Urdze Ossendowski zatrzymał się zaledwie na parę dni. Tam też spotkał się z Ungernem po raz drugi, najprawdopodobniej pomiędzy 3 a 10 maja 1921 roku. Wtedy właśnie mogła mieć miejsce wspólna wizyta w klasztorze Gandan. U stóp kilkudziesięciometrowej wysokości złoconego posągu Bothisatwy Ariawala (Pana o Niezmierzonym Blasku) stary lama przepowiedział obu datę śmierci.

Ungerna dzieliło od niej zaledwie 130 dni, a jego towarzyszy oświadczono, że nie zamknie oczu zanim Ungern nie przypomni mu, że nadszedł czas rozstania się z życiem. Oczywiście profesor nie zwracał uwagi na takie głupstwa, szczęśliwy, że uchodzi spod ręki Sipajłowa. Sam raczej sceptyk i ateusz wróżyby wysłuchać musiał; bo przesądny jak sto diabłów baron zaciągnął go do klasztoru. Czas naglił. Miał zdążyć do Władywostoku, odległego o przeszło 2500 kilometrów pustyń i bezdroży, przed przygotowywanym tam od dawna przewrotem, skierowanym przeciwko rządowi Republiki Dalekowschodniej. Baron wiedział o tym. Dlatego wręczając mu woreczek złotych pięcio- i dziesięciorublowek dla żony mieszkającej w Pekinie, jednocześnie oddaje do dyspozycji własnego sześciuosobowego Fiata. Ossendowski nie pojedzie jednak na południe do Pekinu. Skręci na wschód. Do Bargi. W Hajlarze wsiądzie do pociągu i po kilkunastu godzinach jazdy koleją transsyberyjską dotrze do Władywostoku. Cała podróż zajmie mu maksimum tydzień.

26 maja we Władywostoku wybucha powstanie i tworzy się „rząd” braci Merkułowych, bogatych kupców i przemysłowców. Ossendowski był ich technicznym konsultantem jeszcze za czasów carskich. Przebywającego we Władywostoku profesora już w początkach czerwca 1921 roku wybrano sekretarzem Oddziału Wschodniego Towarzystwa Geograficznego.

Pod koniec tegoż roku kontrrewolucyjne wojska gen. Mołczanowa zajmują Chabarowsk. Był to ostatni sukces sił kontrrewolucyjnych, popieranych bardzo silnie przez konkurujące z sobą kapitały amerykańskie i japońskie. Amerykanie przygotowują międzynarodową konferencję w Waszyngtonie, na której ma zostać rozwiązany „syberyjski problem”, ale oczywiście bez udziału Rosji Radzieckiej i władz Republiki Dalekowschodniej. Do Czyty przyjechał nieoficjalny przedstawiciel dyplomatyczny USA. Japonia zaniepokojona rozwojem wypadków szybko zdecydowała się rozpocząć rozmowy z rządem DRW na temat ostatecznej ewakuacji swych wojsk.

Nasilająca się działalność partyzantów Przymorza, doprowadza do oswobodzenia stolicy radzieckiego Dalekiego Wschodu jeszcze przed wkroczeniem doń Armii Czerwonej. Nie jest już potrzebne istnienie Republiki Dalekowschodniej. 15 grudnia 1922 roku włączono ją do RFSRR.

Na temat udziału A. F. Ossendowskiego w rozgrywających się wówczas wydarzeniach wiemy niewiele. W wydanej w 1969 roku w Ułan Bator pracy prof. B. Szirendyba⁵⁹ na temat rewolucji mongolskiej 1921 roku, autor określa naszego rodaka, niestety, jednoznacznie jako awanturnika. Sam Ossendowski raczej niechętnie wspomina o mongolskich wojażach, choć pamięć mu dopisuje wyśmienicie. Wiele lat później bawi słuchaczy opowieściami o polowaniach nad Ussuri, gdzie na raz zabijał po 5 tygrysów lub łapał ręką pełzające od jeziora do jeziora metrowej długości szczupaki.

Mieszkając we Władywostoku kilka razy odwiedza Japonię. Tam spotyka wydawcę brukowych kryminałów z Chicago i otrzymuje propozycję opisaną przygód, jakie przeżył w Mongolii. Poszukując środków utrzymania, przyjmuje ją. I tak, dosłownie na kolanie, w ciągu paru tygodni pobytu w jednym z hoteli, powstaje maszynopis *Beasts, Men and Gods*. Sama książka ukaże się w Nowym Jorku zaledwie kilkanaście miesięcy później, w połowie 1922 roku. Cykl wydawniczy trwał, jak na owe czasy, krótko.

Autor wziął zapewne całkiem przyzwoite honorarium i zaczął rozglądać się za innym zajęciem. Bomba wybuchła niespodziewanie. Uznane autorytety i głośni podróżnicy, jak Sven Hedin i dr Montandon, publicznie zarzucili Ossendowskiemu, że w opisach geograficznych i przyrodniczych, delikatnie mówiąc, rozmija się z prawdą. To samo dotyczyło obyczajów ludności, wierzeń, a nawet dziejów walk Azjatyckiej Dywizji Konnej. Ten ostatni zarzut pochodził już odbytych ungernowców. Kilka lat później, już w kraju, niektórzy antagoniści, zarzucali pisarzowi, że większość opowieści wyssał po prostu z palca, a w Mongolii nigdy nie był. Ci poszli trochę za daleko. Cała ta wrzawa wokół nikomu nie znanego Polaka stanowiła, jak na amerykańskie stosunki, świetną reklamę dla książki. W krótkim

⁵⁹ Prof. B. Szirendyb jest prezesem Mongolskiej Akademii Nauk, przewodniczącym Towarzystwa Przyjaźni Mongolsko-Polskiej.

czasie przełożono ją na 17 czy 18 języków, włącznie z fińskim, holenderskim i słowackim. Absolutny bestseller. Autor z zarzutami upora się dość łatwo, określając przeciwników jako „bolszewickich agentów”. A to, że Sven Heddin pod koniec życia stał się sympatykiem faszyzmu i usiłował Szwedów przekonać do Hitlera, dla części tzw. opinii publicznej na Zachodzie stanowiło dodatkowy argument na rzecz Ossendowskiego.

Niemniej jednak polski przekład „Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów”, jaki ukazał się rok później, zawiera znacznie mniej błędów geograficznych i historycznych. Jest to raczej zupełnie nowa, od początku przepracowana książka.

Niektórzy twierdzą, że w pracy nad wspomnianym bestsellerem pomagała Ossendowskiemu żona Anna, pochodząca z zamożnej rosyjskiej rodziny kupieckiej i znająca doskonale angielski.

Polacy zesłani na długoletnią katorgę i dożywotnie osiedlenie czuli się bardziej oddaleni od stron ojczyźnych niż emigranci za Oceanem. Często zakładali rodziny biorąc za żony miejscowe kobiety. Prawa natury są silne. Dzieci musieli chrzczyć w cerkwi. Ci, których los i wyroki carskich sądów rzuciły za Bajkał na mongolskie pogranicze, w większości reprezentowali poziom intelektualny znacznie wyższy niż przedstawiciele administracji rosyjskiej, sfer kupieckich i wojskowych. Śmiano się w Petersburgu, że na Syberii można otrzymać lepsze wykształcenie niż na europejskich uniwersytetach, a zesłańcy, dopóki ukaz carski im tego nie zabronił, uzyskiwali wcale ładne dochody z prowadzenia szkół prywatnych. Pierwszą szkołę na Zabajkalu w początku XVIII wieku zorganizował profesor filozofii w słowiańsko-grecko-łacińskiej moskiewskiej akademii teologicznej Innocenty Kulczycki, archierej (biskup) irkucki. W kilkadziesiąt lat po śmierci zaliczony został w poczet prawosławnych świętych i ogłoszony patronem Syberii. W ukraińskich województwach Rzeczypospolitej szlacheckiej ród Kulczyckich miał wielu przedstawicieli, tak katolików, jak i unitów.

Założona przez Polaków biblioteka więzienna w Nercyńsku przez wiele lat była jedną z największych we wschodniej Syberii. Powstawała z darów przesyłanych przez rodziny z kraju. Niektórzy zesłańcy po odbyciu kar mogli kontynuować rozpoczęte prace naukowe, prowadzić badania nie tylko w Rosji, ale i w Mongolii i Mandżurii oraz na Sachalinie.

Dziś jeszcze może odnalazłoby się wśród Ajnów potomków Bronisława Piłsudskiego, brata późniejszego Marszałka. Zamieszany w przygotowania do zamachu na cara, którymi kierował Aleksander Ulianow, brat Włodzimierza Iljicza Lenina, został zesłany na Sachalin.

Wacław Sieroszewski, szwagier Ludwika Waryńskiego, autor fundamentalnej pracy o Jakutach, nagrodzony złotym medalem Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego, zostawił wśród Jakutów córkę. Po powrocie do Kraju, żarliwy Polak i patriota spotkał się z zarzutami rodaków „[...] że właściwie mówi po polsku spolszczonymi rosyjskimi wyrazami”⁶⁰.

Do Ossendowskiego pretensji o pisanie książek po rosyjsku nikt nie wnosił. Co innego, kiedy dla sobie wiadomych celów rozmija się z prawdą lub bierze udział w podejrzanych aferach o zasięgu międzynarodowym.

W Ameryce Północnej bawi raczej krótko, skoro jeszcze w 1922 roku rozpoczyna wykłady w Wyższej Szkole Handlowej w Warszawie. Za granicą zdąży jeszcze napisać i dobrze sprzedać następną książkę „From President to Prison”, z której treści wynika, że w 1905 roku car Mikołaj dzielił władzę na Syberii właśnie z nim...

Czytelnikowi amerykańskiemu to nie przeszkadzało, ale mocno irytowało emigrantów z Rosji, zarzucających redakcję „New York Times'a” listami protestacyjnymi.

Sieroszewski wspomina, że w wyniku rewolucji 1905 roku powstała na krótko „Rzeczpospolita Sybirka”, a jej prezydentem został Grzegorz Potanin, sławny uczonek i podróżnik, którego imieniem nazwano największy lodowiec Ałtaju, leżący już w Mongolii, w górach Tabun Bogdo.

Ossendowski, znając wielu profesorów Uniwersytetu w Tomsku, na którym zresztą sam - podobnie jak Potanin - przez pewien czas wykladał, postanowił wzbogacić własny życiorys. Zapewne wykorzystał też fragmenty mniej lub bardziej autentycznych przygód, jakie mieli oficerowie Ungerna, do budowania fabuły wspomnianego już bestselleru.

Wystarczy porównanie ze wspomnieniami Giżyckiego. Wprawdzie te ostatnie wyszły drukiem później, ale to o niczym nie świadczy.

Fragmenty książki Ossendowskiego najmocniej krytykowane przez podróżników, którzy na własnych nogach wędrowali z Petersburga do Pekinu, przemierzali konno piaski Dżungarii, Kaszgarie i docierali do Lhasy, dotyczą podróży do Tybetu. Niektóre zarzuty ogólnie określane jako „chwyty poniżej pasa”, były powodowane zawiścią, bo książka zdobyła rozgłos, a jej autor sławę i niemałe

⁶⁰ Ludwik Krzywicki: Wspomnienia, t. II, Warszawa 1958, str. 451.

zapewne honorarium, podczas gdy pisane bez polotu sprawozdania krytykantów ugrzęzły gdzieś w archiwach. Nad innymi zarzutami warto się zastanowić. Można wierzyć bądź nie w metafizyczne talenty lamów, lewitację, przepowiednie przyszłości, czy w końcu legendy o władcy królestwa podziemi Agharty, ale potknięcia, i to poważne, przy opisie fizjografii terenu, flory i fauny, obyczajów ludności - dają wiele do myślenia. Mapki zamieszczone w niektórych obcojęzycznych wydaniach pokazują trasy podróży autora przez Azję Centralną. Przerwane linie prowadzą hen, daleko na południe za jezioro Kuku-nor do źródeł Huang-ho. Czy wszystkie te podróże odbył - trudno powiedzieć. Jeśli rzeczywiście był tajnym emisariuszem białych - to jest wysoce prawdopodobne.

Z całą pewnością dalekie podróże odbywał natomiast podporucznik Giżycki. Baron darzył go, zdaje się, większym zaufaniem niż pozostałych oficerów.

W zdobyciu Urgi Kamil Giżycki udziału nie wziął. Być może, był jeszcze za Altajem, spełniając kolejną, delikatną misję. Według niego, baron chciał wysłać profesora Ossendowskiego do Tybetu z poselstwem do Dalaj-lamy, lecz „[...] rodak nasz nie zgodził się i wyjechał do Chin, pozostawiając po sobie jak najlepsze wspomnienie”. Czyżby więc później na własną rękę wybrał się ot, tak sobie, na 3000-kilometrową wycieczkę przez Gobi, góry Ałtaj i Nań Szań prawie do podnóża Himalajów. I to bez wiedzy Ungerna? Trzeba mieć dużo dobrej woli i raczej mętne pojęcie o geografii Azji Centralnej, aby, nawet uwzględniając wyjątkową wagę misji politycznej, jaką miał do spełnienia, w jego tybetańskie peregrynacje uwierzyć. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można natomiast przypuścić, że o podróży do granic Tybetu opowiedział Ossendowskiemu Giżycki. Musieli się więc obaj spotkać jeszcze w Mongolii.

SKARB BARONA.

W okresie poprzedzającym wybuch I wojny światowej wielkimi mieszczącymi się w kilkunastu miejscach zakładami przemysłowymi należącymi do Banku Wschodniochińskiego kierował inżynier Kazimierz Grochowski.

Od lat zamieszkiwał w Mandżurii, doskonale poznał ten kraj, ludzi, stosunki. Cieszył się również dobrą reputacją u władz chińskich, skoro pozwolono mu w 1916 roku nabyć koncesję w południowej Bardze na poszukiwanie minerałów i złota.

Koncesja obejmowała obszar 40 000 km² od linii kolejowej pomiędzy stacjami Mandżuria i Hajlar do wzgórz Wielkiego Chinganu i jeziora Buir nur. Późniejszy rząd „cesarstwa” Mandżukuo potwierdził akt własności z terminem aż do 1966 roku „z prawem pierwszeństwa na lata dalsze”.

Z początkiem lat dwudziestych Grochowski pełni funkcję dyrektora Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza w Harbinie. Jednym z jego uczniów jest Teodor Parnicki. Przedziwną pasją inżyniera była jednak nie geologia czy pedagogika, lecz archeologia. Badając dzieje Mandżurii i Mongolii przemierzył te kraje wielokrotnie.

Odkrył ruiny jednej ze stolic Czingiz-chana w pobliżu miejsca, gdzie Amur przecina wał ziemny, który do dziś nosi nazwę Wału Czingiz-chana. Był również inicjatorem powołania pierwszego Towarzystwa do Badań Mandżurii, a zebrane przez niego eksponaty etnograficzne, przyrodnicze i pamiątki historii stanowiły załączek kilku działów państwowego muzeum Mongolskiej Republiki Ludowej.

Na zachowanym zdjęciu widzimy starszego pana w cwikerach, maciejówce i surducie z kamizelką, stojącego obok tunguskiego szamana i mongolskiego lamy. Centralną postacią jest oczywiście obwieszony metalowymi płytkami, szmatami i sznurkami szaman. Inżynier jest wyraźnie dumny, że udało mu się namówić indywiduum dzierżące w dłoni bęben przywołujący duchy, do pozowania przed obiektywem aparatu fotograficznego. Sukces rzeczywiście duży. Grochowski musiał być w doskonałej komitywie z autochtonami, znać ich język, obyczaje, zyskać przychyłność i zaufanie. Niewielu Europejczykom to się udało. Azjaci długo pamiętali wyczyny angielskich, rosyjskich i niemieckich żołdaków, tłumiących powstanie „bokserów”⁶¹.

⁶¹ powstanie „bokserów” - chińskie powst. ludowe przeciw mandżurskiej dynastii Tsing i obcym imperialistom (1898-1901)



Inżynier K. Grochowski z szamanem i lamą w Bardze.



Prezydent miasta Harbina F. E. Dynowski



Bothisattwa Ariawal. Skarb z lamajskiego klasztoru.

Na temat działalności zawodowej inżyniera wiemy niewiele. Wiadomo tylko, że w 1916 roku założył w rejonie Starych Jezior na wschód od Buir nur osadę przemysłową - Fort Grochowski.

Z władzami oświatowymi jakoś nie mógł dojść do porozumienia.

W „tajnym raporcie dykcji gimnazjum w Harbinie” z dnia 10 lutego 1929 roku znalazło się zdanie: „Najwięcej kłopotu Delegacji Rzeczypospolitej Polskiej, jak i nam, przyczynia nauczyciel przyrody i geografii p. Grochowski, który zajmuje się wszystkim innym poza swoją specjalnością”.

Na starość gromadzi najróżniejsze materiały z dziejów Polonii dalekowschodniej, której był wieloletnim prezesem. Protokoły rad parafialnych, sprawozdania z uroczystości powitania wysłannika Stolicy Apostolskiej, aktualne wydarzenia i plotki, listy absolwentów gimnazjum i życiorysy rodaków, z którymi się zetknął. Wszystko to, zebrane razem, wydał drukiem w 1928 roku w Harbinie. Egzemplarz z własnoręczną dedykacją przesłał, jako dar, do Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. Jest tam do dziś.

Niepozorna książeczka Polacy na Dalekim Wschodzie, zarejestrowana pod sygnaturą 05886, ma żółtą okładkę, na której zgodnie koegzystują dwa papierowe tygrysy, żelazny smok i orzeł z koroną. W tytule pod literami łacińskimi krzaczki chińskich hieroglifów.

Wracając do kraju przywiózł kilkanaście skrzyń eksponatów, dużej wartości posąg bogini, wykopany w czingizchanowym grodzie, kilkanaście tysięcy stron sprawozdań z podróży i badań naukowych oraz zapiski dotyczące Polaków żyjących w Mandżurii i Mongolii. Materiały te złożył w Bibliotece Narodowej, gdzie prawdopodobnie spoczywają do dziś.

O pobycie Ossendowskiego w 1920 roku w Harbinie nie znajdujemy w książce Grochowskiego najmniejszej nawet wzmianki. Być może, profesor nawet się nie zatrzymał w tym mieście, pragnąc jak najszybciej dotrzeć do Władywostoku. Są natomiast informacje na temat zagadkowego wydarzenia, które przez wiele lat pasjonowało mieszkańców nie tylko Dalekiego Wschodu. Otóż po zajęciu Urgi przez oddziały rewolucyjne w mieście nie znaleziono głównej kasy Azjatyckiej Dywizji Konnej, a było powszechnie wiadomo, że spoczywały w niej znaczne ilości srebrnych i złotych monet, pakietów akcji różnych towarzystw handlowo-przemysłowych i drogocенności, pochodzących z grabieży przebogatych klasztorów i buriackich dacanów. Jak pamiętamy, baron zarekwirował również ściągniętą przez Chińczyków kontrybucję.

Co się stało z kasą dywizji, nie wiadomo do dziś, choć podejmowano wiele prób odnalezienia „skarbu krwawego barona”, a w tamtych czasach całe tuziny różnych szarlatanów, awanturników i niby to dobrze poinformowanych oficerów bylelej armii ugerskiej obiecywało za bardzo umiarkowane wynagrodzenie wskazać, gdzie zostały ukryte.

Grochowski zna następującą wersję wypadków:

„Kiedy ten śmiały i rycerski wojownik zobaczył, że rosyjscy oficerowie i żołnierze na każdym kroku go zdradzają i że jego ekspedycja mongolska musi zakończyć się klęską, zaczął obmyślać środki ratunku. Zdaje się, że miał zamiar przedostać się do Chin Środkowych, a później przez Japonię jechać do Europy, by tutaj wstąpić do armii swego rodaka barona Wrangla. Pierwszym krokiem, jaki przedsięwziął, było odesłanie kasy polowej z terenu wojennego do miejsc bezpiecznych na wschodzie. Wykonał to w tajemnicy przed swoimi własnymi Rosjanami, którym nigdy nie ufał. Do przewiezienia kasy przeznaczył oddział 16 zaufanych Mongołów i Tatarów. Złoto zapakowane w dwudziestu czterech skrzyniach, każdej ważącej po 4 pudy załadowane było na arby, to jest mongolskie dwukółki. W każdej skrzyni znajdowało się po 3,5 puda monet złotych netto. Oddział zaopatrzony obficie w konie rezerwowe wyruszył z obozu barona i szybkimi marszami dążył na wschód, ażeby możliwie jak najprędzej dotrzeć do Hajłaru, Skąd skrzynie ze złotem miały być wysłane koleją do Harbina i dalej za granicę. Po kilku dniach marszu ekspedycja natrafiła na kilkakrotnie liczniejszy oddział czerwonych. Zawiązała się strzelanina. Wierni żołnierze zrozumieli, że cała nadzieja wypełnienia polecenia barona zawisa jest tylko od szybkości ich koni. Parokrotnie dobijali rannych w potyczkach. W odległości mniej więcej 160 km na południe od Hajłaru, po naradzie, postanowili złoto zakopać. W lekko falistej okolicy, pokrytej rzadko krzakami, znaleziono małe zagłębienie, w którym złożono 24 skrzynie i obity cynową blachą kufer barona, 7 pudów wagi”.

Człowiek od lat zamieszkały w Mandżurii i znający Bargę jak własną kieszeń z kronikarskiego niejako obowiązku wspomina kursujące wśród sąsiadów plotki, będące zresztą - jak sam przyznaje - publiczną tajemnicą. Gdyby pisał książki przygodowe, miałby wspaniały temat do sensacyjnej, awanturniczej opowieści. Są jednak dwaj ludzie, na pewno lepiej znający całą sprawę, którzy do końca życia zarabiają piórem, a fabułę do licznych powieści podróżniczo-przygodowych czerpią z osobistych, jakże bogatych doświadczeń. Mowa tu oczywiście o A. F. Ossendowskim i K. Giżyckim.

Nie ulega wątpliwości, że musieli być w Urdze, bądź też w jej okolicach, w czasie gdy rozgrywały się opisane przez Grochowskiego wydarzenia. Na temat „skarbow barona Ungerna” żaden z nich nie napisał jednak ani słowa. Czyżby o niczym nie wiedzieli? I to kto? Były członek sztabu barona i jego dobry znajomy, ba powiernik cennego depozytu przeznaczonego dla żony. Wędrując kilka lat później po Afryce musieli zapewne wspominać dramatyczne przeżycia w Mongolii. Zupełne milczenie. Afera

Sissona wyjaśniła się dopiero po 40 przeszło latach. A może w tym przypadku należy poczekać jeszcze dłużej?

W to, że baron von Ungern-Sternberg mógł zebrać, a raczej zagrabić bardzo poważny majątek, nikt chyba nie wątpi. Czy przywłaszczył sobie akurat 1477,5 kg złotych monet, jak to skrupulatnie wylicza inżynier Grochowski, oczywiście w żaden sposób sprawdzić nie można. Zorganizowano już osiem ekspedycji, aby odnaleźć ów „ungernowski skarb”. Wszystkie te przedsięwzięcia zakończyły się niepowodzeniem. Szukającym chodziło zresztą nie tyle o skrzynię ze złotem, ile o wykazy imienne konfidentów i szpiegów Siemionowa, pozostałych na terenie ZSRR, które najprawdopodobniej musiały być w baranowskim kufrze.

Grochowski podaje przybliżoną odległość od Hajłaru, w jakiej nastąpiło rozbicie konwoju i zakopanie lub tylko ukrycie, a to nie to samo, ładunku. Postawiwszy nóżkę cyrkla w miejscu, gdzie na mapie figuruje miasto Hajłar (Hailaer według pisowni przyjętej w Atlasie Świata PWN) i odmierzywszy odległość 160-180 kilometrów w kierunku południowym i południowo-wschodnim, stwierdzimy, że w obrębie zatoczonego kręgu są brzegi jeziora Buir nur, 13 razy większego niż Śniardwy. Tu wpada odnoga górnego biegu Chałchin-goł, rzeki wypływającej z -zachodnich stoków Wielkiego Chinganu. Pomiędzy Huihe - jednym z dopływów rzeki Arguń a Chałchin-goł rozciąga się duży obszar lotnych piasków naniesionych przez wiatr.

Rzeka Orszun łączy Buir nur z dwukrotnie większym jeziorem Dałaj nur. Orszun płynie głęboką i wąską doliną, obrzeżoną wysokimi urwiskami, w których znajdują się liczne szczeliny, jaskinie i grotty.

Zakopać w piaskach, czy schować w rozpadlinach skalnych ścian można nie tylko ładunek konwoju, ale cały pociąg pancerny, czy dywizję wojska. Tam właśnie toczyły się niezwykle zacięte walki z japońską Armią Kwantuńską w przededniu II wojny światowej.

W początkach lat trzydziestych, podczas reakcyjnego powstania wspomaganego przez Japończyków lamów, wydobyto ze schowków znaczne ilości świetnie zakonserwowanej poungernowskiej broni. Ukrywano ją głównie w górskich jaskiniach i grotach. A góry w Mongolii - Poddaszu Świata - są wszędzie. W ten sam sposób lamowie chronili również klasztorne biblioteki i sprzęt liturgiczny, na który można jeszcze i dziś natrafić w załomach górskich grot Changaju, Chanteju czy Ałtaju.

Ossendowski długo zachowywał dyskrecję. Pod koniec życia jednak, w 1942 roku, a więc już w czasie hitlerowskiej okupacji, bawiąc u przyjaciół, których często odwiedzał, na ulicy Żurawiej w Warszawie, pół żartem, pół serio rzucił uwagę, że na 104 stronie I wydania jego książki „Puszcze Polskie” jest fotografia miejsca, gdzie prawdziwe klejnoty ważone na funty czekają na właściciela. Zdjęcie zupełnie nie wiążące się z treścią rozdziału, podpisane „Na szlaku wielkiej wojny”, zrobił sam, jak mówił, gdzieś „za Bajkałem, u źródeł Amuru”. Zaskakujące wynurzenie pisarza podano do wiadomości publicznej już po jego śmierci, bagatelizując je zresztą.

Atmosfera przygnębienia towarzysząca nadchodzącym z frontu wieściom o niemieckich zwycięstwach na wschodzie, strata najbliższych, kiepski stan zdrowia uczyniły go może bardziej skłonny do zwierzeń. Przypuszczał, że za Bajkał już nigdy nie będzie mógł jechać.

Choć wiadano, że w czasie najbardziej burzliwych lat rewolucji przeżył we wschodniej Syberii i na Dalekim Wschodzie serię niezwykle, dramatycznych przygód, opowieści te traktowano z lekkim przymrużeniem oka. Niewątpliwie na takie stanowisko wpłynęła m.in. krytyczna ocena jego książek, dokonana przez Svena Hedina.

Jako kolejną anegdotę fantazjującego „Mzura” traktowano relację o tym, jak to baron Ungern właśnie w jego obecności powierzył starszyźnie jednego z klasztorów na terenie Mongolii testament, na którego wykonawcę wyznaczył chutuchtu - przeora. O ile w ciągu 50 lat nie zgłoszą się spadkobiercy, złożony wraz z testamentem „depozyt” miano przeznaczyć na cele „żółtej wiary” - lamaizmu. Śmiejąc się, pisarz nie omieszkał zwykle wspomnieć o owej wróżbie lamy z klasztoru Gandan, wg której o nadejściu czasu żegnania się z życiem miał mu przypomnieć Ungern. Wiedząc o tym, że „krwawego barona” z wyroku sądu rewolucyjnego rozstrzelano w Nowonikołajewsku, spokojnie oczekiwał długiej starości.

Na temat bogactw zgromadzonych i ukrytych przez barona krążyły legendy nie tylko w Polsce. Przebąkiwano też o testamencie, z którym jakiś związek miała mieć osoba Ossendowskiego. Sprawa była bardzo głośna, toteż odnalezienie przez osoby niepowołane skarbu, przedostałoby się do wiadomości ogółu, tym bardziej że chodziło o sumy rzędu dziesiątków milionów dolarów, do których mogłyby rościć sobie prawa rządy co najmniej dwóch, jeśli nie trzech wielkich państw azjatyckich.

Zdjęcie na 104 stronie Puszczy Polskiej przedstawia piramidalny kopczyk. Nie jest to usypany z luźnych kamieni wzgórek kultowy „owo”, często spotykany na przełęczach gór Azji Centralnej i Tybetu, ale rodzaj drogowskazu, wznoszonego na pustym stepie tak, aby z wysokości konia jeździec mógł

dostrzec następny, ukryty w powodzi traw i w ten sposób odnaleźć kierunek. Określenie „źródła Amuru” można interpretować rozmaicie. Największa rzeka Dalekiego Wschodu, wpadająca do Morza Ochockiego, posiada dorzecze sześciokrotnie większe od powierzchni Polski. W dolnym biegu zasilają go dwa potężne dopływy: Ussuri i Sungari, natomiast w górnym mamy: Onon, Kerulen, Chałchyn-goł, Szyłka i Arguń. Dopiero od połączenia dwóch ostatnich rzeka nosi nazwę Amur. Ossendowski mógł zrobić zdjęcie tylko na trasie przejazdu z Urgi do Hajłaru. Ktoś, kto przemierzał ten szlak, miał do wyboru dwie drogi: północną - na Bajan Uli, Erencaw i następnie „tranzytem” przez radzieckie terytorium do pogranicznej stacyjki Mandżuria; południową - na Tamsagbułag i Amunulang, przecinającą górny bieg Chałchyn-goł. Ossendowski mógł wybrać tylko tę drugą. Na Syberii panowała już bowiem władza radziecka. Wspomniany kopczyk znajduje się więc wewnątrz obszaru zakreślonego nóżką cyrkla.

ODWIEDZINY W ŻÓŁWINIE.

Podczas okupacji Antoni Ferdynand Ossendowski często gościł w podwarszawskim Żółwinie, w pałacyku państwa W. Po śmierci żony zamieszkał tam na stałe. Podobnych przymusowych rezydentów, głównie ze środowisk literackich stolicy, otaczano serdeczną opieką i staropolską gościnnością. Pan W. był dyrektorem Centralnej Doświadczalnej Stacji Jedwabniczej w Milanówku i, mimo że wyznaczono treuhändera⁶² zakładów, jakoś utrzymał się na tym stanowisku. Niemcy nie zaglądali do Żółwina zbyt często, a do stacji elektrycznej kolejki dojazdowej w Podkowie Leśnej jest dobre dwa kilometry.

Pewnego zimowego wieczoru na początku stycznia 1945 roku, gdy zebrani w saloniku uciekinierzy z płonącej stolicy ze ściśniętymi sercami obserwowali łunę nad miastem, nasłuchując kanonady radzieckiej artylerii, pokojówka zameldowała niespodziewanego gościa. Z pomalowanego na kolor ochronny wojskowego Opla, którego reflektory wyławiały z mroku pokryte śniegiem krzewy i drzewa parku, wysiadł oficer w mundurze Wehrmachtu. Przybyły przedstawił się jako leutnant baron von Ungern-Sternberg i zażądał widzenia z Ossendowskim. Mimo późnej godziny został przyjęty. Rozmowa prowadzona bez świadków trwała długo. Zachodzono w głowę co spowodowało tę wizytę, a nie wszyscy mieli czyste sumienie wobec władz niemieckich. Oficer, opuszczając nocą Żółwin, miał w rękę rzekomo ofiarowany mu przez Ossendowskiego egzemplarz książki „Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów”. Nazajutrz pełen sił witalnych, mimo powtarzających się od pewnego czasu dolegliwości żołądkowych, pisarz zasnął. Odwieziono go rychło do szpitala w Grodzisku, gdzie 3 stycznia 1945 roku życie zakończył.

Dobiegał siedemdziesiątki, przeżył niemało. To, że do końca pisał książki i utrzymywał ożywione kontakty towarzyskie o niczym nie świadczy. Ungern nie musiał mu przypominać, że nadszedł już jego czas. Zdaniem jednak osób obecnych wtedy w Żółwinie, wieczorna wizyta jeśli nie spowodowała, to na pewno przyspieszyła śmierć. O to, czy w ceremonii na cmentarzu wziął udział pluton Armii Krajowej w pełnym umundurowaniu - jak głosi wieść gminna - i czy ów leutnant nosił mundur Wehrmachtu, ukraińskiej formacji „SS Hałyczyna” lub którejś z dywizji Własowa, kruszyć kopii nie ma sensu.

Blisko dwa lata po opisanych wypadkach pewien młody lekarz podał je do wiadomości publicznej na łamach „Przekroju”. Informację zaczerpnął z drugiej ręki, od teścia, który, podobnie jak Ossendowski, był gościem państwa W. Poza chęcią podzielenia się z czytelnikami materiałem o posmaku niewątpliwej sensacji liczył na coś więcej.

* * *

Odszukanie adresu znanego dziś kardiologa i kierownika jednej z przychodni na Mokotowie nie było znów takie trudne.

Długi, lśniący czystością wykładany kafelkami korytarz. Pod ścianami na biało pomalowane krzeselka, spluwaczki. Napisy o szkodliwości palenia tytoniu, niebezpieczeństwie zarażenia się chorobami wenerycznymi i apele „myj ręce przed jedzeniem”.

⁶² treuhänder (niem.) - zarządca

- Pan doktor już nie przyjmuje. Proszę przyjść jutro z rana po numerek.

Cerber w białym kitlu, nie czekając aż ochłoneę, zamknął okienko przed nosem. Ma rutynę w odprawianiu pacjentów z kwitkiem. Nie ma co z taką zadzierać. Próbuję więc na własną rękę, ścigany dochodzącymi zza szklanego przepierzenia okrzykami.

- Gdzie pan tam lezie, przecież mówiłam, że jutro.

Puściła się za mną w pogoń. Na szczęście w ostatniej chwili zauważyłem tabliczkę z nazwiskiem doktora J. Pukam. - Aha, to pan dzwonił dzisiaj, proszę, proszę.

Zza biurka wstaje lekko szpakowaty olbrzym o bujnej, ongiś kruczoczarnej czuprynie. Memu prześladowcy nagle zabrakło głosu, rejteruje w pośpiechu. Wymieniamy grzecznościowe zdania. Tuż po wojnie doktor usiłował wszelkimi możliwymi sposobami ustalić miejsce pobytu leutnanta von Ungern-Sternberga. Temu celowi miały służyć przekrojowe artykuły. Bo było ich dwa. Ten drugi o „skarbie”, jaki „krwawy baron” ukrył przy pomocy Ossendowskiego w Mongolii.

- Bo widzi pan - mówi - wówczas nie tyle chodziło mi o informację na temat skarbu, ile o odzyskanie książki, którą wyniósł z Żółwina wieczorny gość. Była moją własnością i znalazła się na półce w pokoju pisarza przypadkowo, na prośbę autora, który stracił swój księgozbiór we wrześniu 1939 roku. W grzbiecie ukryte były mikrofilmy z rewelacyjnym wynalazkiem preparatu przeciw korozji metali.

Przyjaciel mój z konspiracji - ciągnął dalej doktor - utalentowany chemik, w pierwszych latach wojny ukończył badania nad wspomnianym preparatem, których doniosłość szybko ocenili Niemcy, nie wiadomo jakimi drogami poinformowani o wynalazku. Gdy gestapo deptało mu już po piętach, sfotografował zaszyfowaną recepturę, oryginały spalił, a mikrofilmy razem wkleiliśmy do grzbietu nieszczęsnej książki. On zginął w powstaniu warszawskim, ja utknąłem za drutami obozów.

Pukanie przerwało rozmowę. Doktor zapalił papierosa. Poczekawszy aż umilkły kroki korpulentnej siostry, która wyraźnie nie darzyła mnie sympatią, a przyszła po dyspozycje, kontynuował:

- Z pomocą kilku zapaleńców, do których grona wciągnąłem też dwóch Austriaków - moich towarzyszy z „Konzentrationslager Gross Rosen” szukaliśmy coraz to urywających się śladów Dollerta vel Sternberga. W tym czasie otrzymałem również list z Niemiec od byłego hitlerowskiego oficera, który, wspominając akcję ratunkową po nalocie amerykańskich superfortec na pociąg w pobliżu Hersbrück, donosił, że w jednym z rozbitych wagonów znajdował się Dollert, i że nawet rozmawiał wtedy z nim nie wiedząc „z kim miał przyjemność”. Trop wiódł do Austrii, do siostry Dollerta. Wiadomo już było, że w Wiedniu przebywał on na rekonwalescencji po odniesionej kontuzji i u niej mieszkał. Ta jednak rychło wyszła za Amerykanina i wyjechała na stałe do USA. Wreszcie nieoczekiwana, ale pewna wiadomość: Dollerta widziano w habicie franciszkanina. Na tym trop się urwał.

- Przepraszam, mówił pan Dollerta, a chyba chodzi o Ungerna?

- Oh! Zapomniałem panu powiedzieć, że ów oficer nazywał się właściwie Dollert, a nie von Ungern-Sternberg. Dlaczego zależało mu, aby Ossendowski uważał go za bratanka „mongolskiego” generała, mówiąc szczerze, nie wiem.

Wkrótce po ukazaniu się mojego artykułu poczta przyniosła pakiet listów do redakcji od czytelników „Przekroju”. W większości nic nowego do sprawy nie wniosły. Niewarte zachowania od razu poszły do pieca.

- Więc były także i takie, które coś wniosły? Książka się znalazła?

- Niestety. Po latach machnąłem na całą tę historię ręką. Ale kosztowała mnie jeszcze dużo nerwów i przykrości.

Jesienią 1956 roku doktor, załatwiwszy dość szybko konieczne formalności, wybrał się skuterem przez Austrię do Włoch. W Asyżu, gdzie znajduje się centrala zakonu św. Franciszka, skierowano go do jednego z klasztorów zgromadzenia. Podążając niepewnym śladem trzeciego już wcielenia rzekomego ungerskiego bratanka, ląduje w Taorminie na Sycylii. Niestety, nie zastał tam „frate Andrea”, bo takie imię przyjął Dollert wstępując do zakonu. Brat Andrzej resztę życia postanowił spędzić w hiszpańskim leprozorium, opiekując się trędowatymi. Tytułem ekspiacji za czyny rodaków w okupowanej Polsce?

Generał Franco nie udzielał wówczas wiz „komunistycznym agentom”, za jakich uważano wszystkich przybyszów zza żelaznej kurtyny. A szkoda, mimo że w odzyskanie książki raczej należało wątpić, mając na uwadze burzliwe koleje losów jej nowego posiadacza. Miała dla niego tylko dość iluzoryczną wartość grzecznościowego upominku.

Doktora J. zegnałem późnym popołudniem. Zostaliśmy już prawie sami w przychodni. Prawie, bo gdy mijalem szklane przepierzenie koło drzwi wejściowych, usłyszałem głuchy bulgot. Więcej mnie tu

nie wpuszczają. Postanowiliśmy na przyszłość porozumiewać się telefonicznie, jeśli zajdzie tego potrzeba, choć przypuszczam, że doktor J. ze swej strony machnął już ręką na wszystko.

Jeden z warszawskich dziennikarzy zaledwie parę lat temu trzymał w ręku nekrolog przeora klasztoru franciszkanów w Kadyksie, zamieszczony w hiszpańskim piśmie „ABC”. Otrzymał go od anonimowego nadawcy z terytorium Niemieckiej Republiki Federalnej. Nekrolog jak nekrolog. „Życie Warszawy” potrafi nimi zapełnić całe kolumny. Komuś jednak zależało na tym, aby informacja o śmierci przeora trafiła właśnie do rąk byłego korespondenta prasy polskiej w Ulan Bator, który przez pewien czas interesował się losami ungerskiego skarbu i coś na ten temat pisał. Nieżyjący przeor nosił nazwisko von Ungern-Sternberg.

Sami zatem musimy szukać odpowiedzi na pytanie, co naprawdę było celem wizyty leutnanta Dollerta w Żółwinie. Nadawca jednego z listów otrzymanych w 1947 roku przez doktora J. spotkał Dollerta na placówce niemieckiego kontrwywiadu w Błoniu pod Warszawą, przeniesionej następnie do wsi Chełmy koło Łodzi. Rzekomy bratanek mongolskiego chana godnie kontynuował rodzinne tradycje.

Sam list miał treść następującą:

Szanowny Panie Doktorze!

W 102 numerze „Przekroju” przeczytałem ciekawe wspomnienia Pana, dotyczące okoliczności śmierci F. A. Ossendowskiego w związku z tajemniczą wizytą u pisarza barona Ungerna von Sternberg, będącego w myśl przepowiedni w Narabanczi Kure zwiastunem śmierci Ossendowskiego. Pragnąłbym w pewnym stopniu przyczynić się do wyjaśnienia tej niezwyklej zagadki. Proszę o odpowiedź, kiedy mógłby Pan spotkać się ze mną dla uzgodnienia pewnych szczegółów i okoliczności tej historii.

*Łączę (wyrazy poważania
X. Y. Podpułkownik WP*

Nazwisko pułkownika nic doktorowi nie mówiło, ostatnie lata okupacji przesiedział za drutami obozu i nie miał kontaktu z ludźmi należącymi do konspiracji. Autor listu był jedną z wybitniejszych postaci ruchu oporu.

Przyjmuje mnie w tym samym gabinecie co doktora przed dwudziestu trzema laty. Oczywiście pamięta o czym wtedy rozmawiali. Wyciąga jakąś teczkę z systematycznie posegregowanymi dokumentami, wycinkami prasowymi, notatkami. Każda opatrzona oddzielnym numerem i symbolem literowym.

Nie będziemy próbowali szukać wytłumaczenia dlaczego skontaktował się wtedy z doktorem J. Być może podpułkownik sam kiedyś zechce to uczynić? Nas interesuje osoba Dollerta vel Ungern-Sternberga, czy też odwrotnie.

Po klęsce powstania, unikając niewoli, posługiwał się kennkartą wystawioną na nazwisko Oskar Romer. W dramatycznych okolicznościach z grupą przyjaciół udało mu się wymknąć ze zrujnowanego miasta i, cudem unikając aresztowania, dotrzeć do Milanówka. Tam rozpoznała go jakaś Niemka i zadenuncjowała. W gestapo, na podstawie nie wiadomo jakich przesłanek, uznano, że jest bratankiem hr. Romera, byłego ministra spraw zagranicznych. A może też wiedziano coś niecoś o zarzutach skierowanych pod jego adresem przez AK. Sprawa była zbyt głośna, aby nie przedostała się do wiadomości władz niemieckich.

Na odpowiednio wysokim szczeblu zdecydowano, aby aresztowanego przekazać organom kontrwywiadu sztabu IX Armii von den Bacha Żelewskiego.

Osobą fałszywego Oskara Romera zajął się sam szef placówki kontrwywiadu, młody oficer, „bardzo wysoki, przystojny blondyn”, sonderführer... Dollert.

Ten darzył więźnia szczególną estymą, tytułował hrabią, zapewnił zupełnie znośne warunki egzystencji. Jednym słowem, zależało mu na nawiązaniu bliższego kontaktu, a może po prostu takie miał instrukcje. W przystępie szczerości w trakcie jednej z rozmów X wyznał, że sam też pochodzi z arystokratycznej rodziny baronów kurlandzkich, osiadłej następnie w Rosji. Językiem rosyjskim władał biegle i w nim też wydawał rozkazy pełniącym straż własowcom. Pewnego razu podczas przesłuchania zapytał wprost:

- Przypuszczam, że podziela pan poglądy swojego stryja na politykę zagraniczną.

Nie otrzymawszy wyraźnej odpowiedzi wyjaśniał:

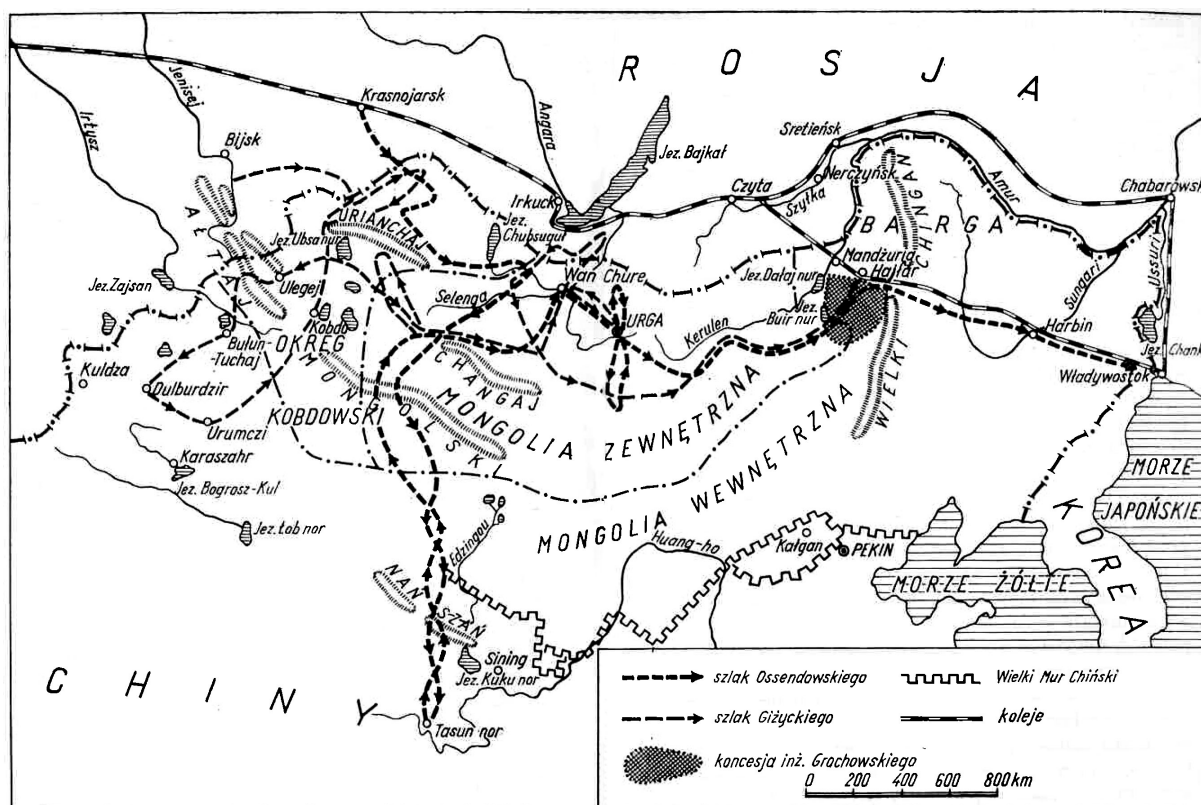
- Chodzi o zagadnienie walki z Rosją Sowiecką. Stryj pański, hrabia Romer, był zwolennikiem „krucjaty na wschód”.

Monolog trwał dalej.

- Proszę, niech pan obliczy wszystkie szanse. Rozumiem i dobrze oceniam pańskie skrupuły ewentualnej współpracy z Niemcami, ale niechże pan również pojmie, że jedynie u boku Niemców wy, Polacy, możecie odwrócić od siebie niebezpieczeństwo sowieckie. Konkretnie: w Berlinie tworzymy polski rząd do walki z Rosją Sowiecką i panu proponujemy udział w tym rządzie.

Po chwili milczenia sonderführer nalegał dalej:

- Do mnie może pan mieć zaufanie. Rozmawiałem ostatnio z wielu wybitnymi przedstawicielami waszego społeczeństwa. Zapewne słyszał pan o Ossendowskim. Znany jest również za granicą. Wczoraj byłem u niego, nieurzędowo zresztą, i w rozmowie ze mną na ogół zgadzał się z koncepcją, którą przedstawiłem.



Trasy podróży A. F. Ossendowskiego i K. Giżyckiego

Sięgnął do teczki i wy dostał egzemplarz książki „W kraju ludzi, zwierząt i bogów”. Na pierwszej stronie, pod świeżą datą widniała odręczna dedykacja. Sonderführer zasłonił jej górną część dłonią. Być może nie chciał ujawnić nazwiska pod jakim przedstawił się Ossendowskiemu, licząc na to, że ułatwi mu ono spełnienie misji zleconej przez berlińskich przełożonych.

- Jak pan widzi, autor jest usposobiony do mnie nad wyraz życzliwie.

Dalszy ciąg rozmowy miał miejsce następnego dnia.

- Niech pan sobie wyobrazi, że Ossendowski nie żyje.

Wyglądał na mocno poruszonego tą wiadomością.

Jeśli przyjmujemy bez zastrzeżeń relację podpułkownika, cel wizyty leutnanta w Żółwinie jest wiadomy. Niemcy uznali, że Ossendowski, podobnie jak rzekomy Oskar Romer, mogą być kandydatami do „tworzonego w Berlinie rządu polskiego”. Przypuszczali zapewne, że w momencie wejścia do Warszawy Armii Czerwonej pisarz mógłby ponieść konsekwencję swojej antyradzieckiej postawy w latach międzywojennych.

„Zapomnieli” o zdecydowanie antyniemieckiej postawie Ossendowskiego w czasie okupacji. Postawa ta przyczyniła mu zresztą niemało kłopotów. Parę razy przeprowadzano rewizję w jego

domu, szukając obciążających dowodów współpracy z podziemiem. Mało brakowało a dowody te by znaleziono. Pisarza uratowała przyjaźń z księciem von Hohenlohe, towarzyszem polowań w Afryce i na Dolnym Śląsku, a raczej list, jaki tamten wystosował do gubernatora Franka, prosząc o odszukanie Ossendowskiego i udzielenie mu pomocy, jeśli będzie jej potrzebował. Frank zareagował po jakimś czasie i przysłał swojego sekretarza. Osoba, która często bywała w ostatnim warszawskim mieszkaniu Ossendowskiego przy ulicy Grójeckiej 27, doskonale pamięta odpowiedź, jaką wysłannikowi pana gubernatora udzielono:

„Mojego życzenia nawet Frank nie jest w stanie spełnić. Proszę zrozumieć, jestem. Polakiem”.

Sekretarz pożegnał się, wyszedł, ale list księcia z osobistą adnotacją gubernatora pozostał. Podsunęty, niby niechcący, prowadzącemu rewizję, zrobił swoje. Podpis wystarczył. Kilka godzin funkcjonariusze policji politycznej III Rzeszy układali z powrotem na półkach zwalone na stos książki. Bibliotekę Ossendowski miał obszerną.

Wątpić należy, aby pisarz aprobował projekty utworzenia „polskiego rządu w Berlinie”. Wprawdzie wystąpił kiedyś przeciw Rosji Radzieckiej i zasłynął jako, autor książki uważanej za paszkwil na Lenina, ale wydaje się jednak, że bliższy był kręgom wyznającym, teorię dwóch wrogów. Do czego mogła doprowadzić - dziś w pełni zdajemy sobie sprawę. Naiwnością byłoby przecież pozwolić zasugerować się Dollertowi. A jeśli oficerem kontrwywiadu był rzeczywiście von Ungern-Sternberg? Znajomość rosyjskiego, miejsce urodzenia i koneksje rodzinne z białą emigracją mogły mu być wielce pomocne w realizowaniu najrozmaitszych zadań na froncie wschodnim. Podobnie jak większość oficerów służb wywiadowczych, zataił prawdziwe nazwisko i personalia, używając pseudonimu Dollert.

Co go skłoniło do odszukania Ossendowskiego? Bo chyba nie tajemnicza siła z lamajskiego klasztoru. Po co włożył mnóstwo zachodu w ustalenie miejsca pobytu pisarza? Aby przy kawie pogwarzyć o nigdy nie widzianym stryjkę?

Zaledwie dwa tygodnie później wyzwolona została Warszawa. A w chwili, gdy radzieckie czołgi i katusze siedziały dosłownie na karku, panowie w mundurach „feldgrau” mieli z pewnością uwagę zaprzątniętą znacznie poważniejszymi sprawami. Świadkowie zgodnie stwierdzają, że leutnant był u Ossendowskiego kilka godzin. To daje do myślenia. No i ta dedykacja! Spotkanie obu panów było na pewno ostatnie. Ale czy pierwsze? A może wizyta pożegnalna? Znaków zapytania coraz więcej. Może leutnant, mając w ręku testament barona Romana, usiłował odnaleźć brakujące ogniwa, aby wejść w posiadanie depozytu?

W KRAJU BOGÓW, ZWIERZĄT I LUDZI.

Samolot schodził do lądowania. W dole Irkuck. Lot z Moskwy trwał zaledwie siedem godzin. Lśniące cygara potężnych odrzutowców, z wysokości podobne są dziecinny zabawkom. Dużo ich. Kołują na start. Odpoczywają w szeregach przed hangarami, krążą w powietrzu, czekając aż otrzymają zgodę na lądowanie. Starsi bracia Tu 104, który taką sensację wzbudził przecież nie tak dawno w Warszawie. Wycieczki z zakładów pracy jeździły oglądać olbrzyma. Niestety, do Ułan Bator mogą na razie latać tylko mniejsze samoloty. Mam kilkugodzinną przerwę w podróży. Warto zwiedzić miasto.

Pod koniec ubiegłego wieku zaczął się dynamiczny rozwój założonego w 1652 roku na „diaczej wyspie” miasta. Siedzibą generalnego gubernatora ustanowiono je już w 1805 roku.

Obserwując ożywiony ruch na ulicach blisko milionowego Irukucka, położonego prawie na tym samym południku co Lanczou, Sajgon i Singapur, trudno sobie uświadomić, że to już prawie Daleki Wschód. Czasem tylko w płowłosym tłumie potężnie zbudowanych sybiraków i przybyszów z odległych rejonów Związku Radzieckiego mignie sylwetką odzianego w krótki przepasany chałat i wysokie buty z miękkiej wyprawionej skóry, odwiecznego gospodarza tajgi Tunguza. A tajga, odepchnięta przez człowieka daleko od miasta, daje o sobie znać, przynosząc za każdym silniejszym powiewem wiatru żywiczne tchnienie docierające aż pomiędzy wysokie secesyjne domy śródmieścia.

Niektórzy historycy japońscy głosili skwapliwie podchwyconą przez soldateskę tezę, że poddani mikada pochodzą od starożytnych Tunguzów, którzy przed wiekami skolonizowali wyspy Honsiu i Hokkaido. Stąd już tylko krok do zgłoszenia pretensji o zwrot ziemi ojców. Pretensji zresztą dość natarczywie, przy każdej nadarzającej się okazji ponawianych. Japońskie apetyty na opanowanie

bogactw wschodniej Syberii, chyba na zawsze ostudziła miazdząca klęska, jaką w przededniu zakończenia II wojny światowej poniosła tak zwana Armia Kwantuńska w Mandżurii.

- Pan z Polski?

Pytanie zatrzymało mnie na krawędzi chodnika. Śpiewny lwowski akcent nie pozwalał mieć wątpliwości, z kim mam do czynienia. Spod czapki uczanki, obszytej szarym, nieco już wytartym futerkiem, spoglądały przychylnie uśmiechnięte oczy. Od paru minut usiłowałem bezskutecznie złapać taksówkę. Termin odlotu zbliżał się niepokojąco. Nie tracąc czasu powiadamiam rodaka o swojej sytuacji.

- To pan do Mongolii? Ta, ja tu spotkał już wielu takich - przeważnie geologi lub weterynarze. I wszystkim też się spieszyło. Czekaj pan, ta ja go swoim samochodem gdzie trzeba zawiozę.

Korzystam z zaproszenia. Przebrnąwszy zatłoczone i dość wąskie ulice, wyskakujemy na szosę wylotową. Tu ruch mniejszy i choć mocno zdezcelowany silnik Wołgi hałasował nieznośnie, można było wznowić rozmowę. Niebacznie zadaję pytanie: czy ma rodzinę w kraju i kiedy przyjedzie ją odwiedzić. Czuję, jak się najeża wewnętrznie i sztywnieje. Niepotrzebnie dotknąłem bolesnych widać urazów w tym sympatycznym i z postury do niedźwiedzia podobnym człowieku. Jest Ukraińcem. Po wojnie w Polsce nie był, a rodzinę wymordowali w Stanisławowie funkcjonariusze banderowskiej „Służby Bezpieczeństwa”. Przez długie syberyjskie zimy po skutych mrozem rzekach, które zamieniają się na ten czas w wspaniałe, szerokie autostrady, prowadzi ciężarówki załadowane ciężkim sprzętem, przeznaczonym dla budowanych na dalekiej północy fabryk i kopalń. Do Magadanu, Kołomy, Ambarcziku. Zarabia dobrze, 600-800 rubli na miesiąc. Jesienią, kiedy drogi lądowe zamieniają się w rozmiękle grzęzawiska, a lód nie jest jeszcze odpowiednio wytrzymały, poluje. Głównie na popielice - „biełki”. Są bardzo ciekawe. Pies, ot taka zwykła łajka, zwęszy zwierzątko gdzieś wśród gałęzi świerków i głośnym ujadaniem daje o tym znać myśliwemu. „Bielka” schodzi wówczas po pniu aż do samej ziemi, aby lepiej obejrzeć dziwnego jaszczurki stworza tak poiryowanego jej widokiem. Celny strzał z małokalibrowki w łepkę, aby nie uszkodzić cennego futerka, kładzie kres życiu zwierzątko. W rekordowym 1929 roku skupiono od myśliwych prawie szesnaście milionów skórek popielic. Teraz skupuje się znacznie mniej, ale długo jeszcze „pusznina” będzie wielkim bogactwem tajgi.

W ostatniej chwili wskakuję do samolotu mongolskich linii lotniczych. Poczciwy Ił-14 poszedłszy bojową świecą w górę, zatoczył krąg i przyjął kierunek na południe. Miasto gdzieś znikło. Staram się ogarnąć wzrokiem niezmiernie przestrzenie zielonego oceanu, pokrywającego większą część północnych krain naszej półkuli. Usiłuję dostrzec ślad działalności ludzkiej. Nie widać nic. Rosjanie przejęli od Jakutów określenie „tajga” dla prastarego, iglastego lasu, gdzie rzadko rosnące drzewa otulone są kożuchem mchów i paproci. Wyrażają się o niej z respektem i uszanowaniem. Tajga to żywioł groźny i bliski zarazem; może mu dać radę tylko drugi żywioł - ogień. Lecąc wysoko nad Ziemią, dostrzegam hen daleko wielki tuman dymu i mgły, zlewający się na horyzoncie z chmurami. W dole cienka wijąca się srebrem wstążka wypływająca spod Sajanów Irkutu. To nad nim, około 200 kilometrów bliżej źródeł, leżała maleńka buriacka osada Tunka, miejsce zesłania księży katolickich po Powstaniu Styczniowym. Mojemu pokoleniu ta nazwa nic nie mówi, ale ktoś kto zna życiorys marszałka Piłsudskiego wie o co chodzi. Piłsudski, aresztowany jako młody student w Wilnie w 1887 roku, został zesłany najpierw do Kireńska, a później nad mongolską granicę właśnie do Tunki.

Monotonny warkot 300-konnych silników i lekka wibracja kadłuba działają usypiająco. Milknie gwar rozmów. Dusząco i gorąco. Siedzący obok mnie pasażer, ubrany w jedwabną ciemnobrązową deli, chrapie przeraźliwie. Sam nie wiem, kiedy zapadam w drzemkę. Budzę się, raczej czując niż słysząc jakby ożywienie wśród podróżnych. Jesteśmy nad Bajkałem. Widać statki, łodzie. Chińczycy na starych mapach nanosili nazwę Pe Choj - Morze Północne. Mongołowie i Buriaci nazwali go Bogatym Jeziorem - Baj kul. Ładne jezioro o powierzchni równej blisko jednej dziesiątej obszaru Polski i głębsze od Bałtyku. Latem wzdłuż zachodnich brzegów jeziora, a zimą na przełaj, po lodzie, prowadził trakt handlowy z Irkucka na południe do leżącej tuż przy granicy Kiachty. Już po stronie mongolskiej leżał Majmaczen, osada powstała wokół wielkiego składu towarów, przemianowana dziś na Ałtan Bułak (Złote Źródło), jedno z główniejszych miast w MRL. Dalej szlak karawanowy, bo kolej zbudowano tu dopiero kilkanaście lat temu, wiodł do Urgi i, przez pustynię Gobi, do znajdującego się już za Wielkim Murem Kałganu. Mało znany jest fakt, że ostatnie w XIX wieku polskie powstanie, podnieśli zesłańcy skazani na długoletnią katorgę i zatrudnieni przy budowie „Krugobajkalskiej drogi” w 1865 roku. Blisko półtora tysiąca spiskowców, opanowawszy posterunki i arsenały w Kułtuku i Wierchnieudyńsku, z bronią w ręku usiłowało przedrzeć się na południe przez łańcuch gór Chamar Daban, aby dalej przez Mongolię i Chiny dotrzeć do Europy. Niestety, tylko nieliczni zrealizowali to fantastyczne w swej zuchwałości zamierzenie. Odcięci od źródeł wszelkich wiadomości liczyli, że powstanie w kraju trwa jeszcze i przez wzniesienia dywersji na tyłach wroga chcieli również pomóc Ojczyźnie.

Pochowany jako zgrzybiały starzec w Warce nad Pilicą bohater Nocy Listopadowej, Piotr Wysocki, większą część życia spędził na katordze i zesłaniu w guberni irkuckiej. Mieszkając pomiędzy bezlitośnie wyzyskiwanymi i ciemiężonymi przez carat plemionami myśliwych i rybaków marzył o zbuntowaniu ludów Syberii przeciw władzy carskiej Rosji i oddaniu ich pod opieką przyszłej niepodległej Polski.

Parę tysięcy metrów pode mną - Zabajkale, ojczyzna największego zdobywcy w dziejach ludzkości - Czyngiza. Miał się on urodzić nad Ononem, w miejscu zwanym Deli'ün Bołdak. Przyszedł na świat ściskając w prawej dłoni skrzep krwi, a ponieważ w tym czasie jego ojciec Jesiigej wrócił do domu z pojmanym do niewoli tatarskim wodzem Temudżynem Uge, starym zwyczajem noworodkowi nadano imię Temudżyn.

Sześć stuleci później, gdańszczanin G. I. Radde, prowadząc razem z Antonim Waleckim badania naukowe w południowej części Kraju Zabajkalskiego, z trudem dotarł do kozackiego posterunku na chińskiej granicy. Trzy wiorsty dalej wznosił się kurhan Selezienka. Autochtoni nazywali go Deli'ün Boldak. W te właśnie okolice mieli przybyć w 1246 roku dwaj posłowie papieża Innocentego IV, franciszkanie Jan Piano di Carpini i Benedykt z Wrocławia, wysłani przez sobór lionński do Mongolii. Byli chyba Polakami.

W XIX stuleciu Zabajkale stało się miejscem katorgi i zesłania dla tysięcy naszych rodaków.

Wśród krnąbrnych carskich poddanych z „Priwislanskogo Kraja” o Deli'ün Bołdak nie słyszał nikt. Wiele natomiast matek, żon, siostr i kochanek opłakiwało najbliższych, gnijących za życia w kopalniach nerczyńskich.

Najbogatsze w imperium żyły złota, pokłady rudy srebra, ołowiu i żelaza znane były już w starożytności. Przed wiekami nadzieja zdobycia cennego kruszcu ściągnęła w te strony Kozaków z Jakucka i Jenisejska. Przybysze obłowili się obficie. Nie znali jednak sztuki dobywania rud i obróbki metali, a tubylców tym się trudniących przegnali, odmawiając im nawet miana człowieka. Pierwszych górników sprowadzono dopiero na początku XVIII wieku z... Górnego Śląska.

Buriaci, znając starą legendę lokalizującą raj ziemski nad Amurem, święcie wierzyli, że tu była kolebka rodu ludzkiego, a od mongolskich władców mieli pochodzić wszyscy monarchowie świata, moskiewski car w pierwszej kolejności. Nie był obcym, pochodzącym z innego plemienia, „ale kość z kości chanów i następcą w prostej linii od nich idącym”. Ucisk, zdzierstwo i bezprawie rosyjskich czynowników znosili ze stoickim spokojem, wiedząc, że w Chinach ich współplemieńcom dzieje się jeszcze gorzej i że kiedyś, być może, car położy temu kres. Sławnego powiedzenia Mikołaja I o tym, że „nieprawdą jest jakoby on rządził Rosją, bo Rosją rządzą kierownicy biur” nie znali na pewno. Spełniali przeto wszystkie polecenia legalnej władzy bez szemrania, służyli w wojsku, płacili podatki, przyjmowali prawosławie, wyłapywali zbiegów z katorgi, przekraczających nielegalnie granice. Ba, jak im kazano, to poszukiwali nawet śladów sir Johna Franklina, angielskiego badacza Arktyki, który zginął podczas wyprawy krótszą drogą z Zatoki Baffina do Cieśniny Beringa. Poszukiwali oczywiście za Bajkałem, kilka tysięcy kilometrów na południe od brzegów Oceanu Północnego. Carski ukaz obowiązywał jednak na całej Syberii.

Koniec XIX wieku przyniósł radykalne zmiany w tej części Azji. Należy zapamiętać datę 31 maja 1892 roku. Wówczas następca tronu, przyszły car Mikołaj II „raczył uczynić pierwsze poruszenie rydłem pod budowę Wielkiej Kolei Syberyjskiej”. Kolej, budowana jednocześnie z dwu stron, mimo ogromnych trudności, jakie napotymano przy przekraczaniu setek strumieni, rzek, bagien i gór Syberii, dociera sześć lat później do Irkucka. Astronomiczne koszty przedsięwzięcia, jak to się dziś mówi preliminowane na sumę 350 210 482 rubli poważnie przekroczone. Generał major armii niemieckiej G. Kraemer, opracowując na zlecenie rządu carskiego monografię Syberii, mającą zachęcić kapitały zachodnioeuropejskie do inwestycji, podaje, że niejako przy okazji, podczas prac przygotowawczych i sporządzania dokumentacji geologicznej terenów, przez które przebiegać miała kolej, odkryto 20 rejonów złotonośnych oraz niezwykle bogate złoża różnych innych minerałów i surowców. Zbudowano tam 54 kopalnie węgla kamiennego, 40 kopalń miedzi, 15 kopalń żelaza, 2 kopalnie ołowiu, 2 kopalnie grafitu, 2 kopalnie srebra. Znaczenie wybudowania kolei transsyberyjskiej można śmiało porównać do skutków, jakie przyniosło na Bliskim Wschodzie przekopanie Kanału Sueskiego.

Powstały stacje, osady, wsie, miasteczka. Obok znanych od dawien dawna traktów bito drogi. W krainie bujnych, soczystych traw, pokrywających łagodne stołki gór i sięgających południowych krańców syberyjskich tajg, roli dotąd nie uprawiano. Plemiona Buriatów, Mongołów, Oroczenów od prawieków koczowały, hodowały konie, reny, owce, zajmowały się myślistwem. Uprawa ziemi była zajęciem godnym tylko niewolnika. Dumny pan stepów pracę taką uważał za hańbę. W przekonaniu tym utwierdzało go rozpowszechnienie lamaizmu, a trzeba pamiętać, że w dacanie⁶³ nad Jeziorem

⁶³ dacan - świątynia buriacka.

Gęsim rezydował czwarty w hierarchii, po tybetańskim Dalaj-lamie, dostojnik tej wiary. Ziemię uważano za świętą. Kopać i kaleczyć jej nie wolno. Nawet buty noszono z zadartymi do góry nosami, aby przypadkiem nie złamać świętego przykazania. Za pług, aby jakoś przeżyć, chwycili dopiero Szwedzi i Finowie, zesłani tu jeszcze w XVIII wieku. Pierwszą gramatykę języka buriackiego „Versuch einer buriatischen Sprachlehre” napisał Kastren, Szwed z Finlandii. Sporządzone na sposób europejski masło mieszkańcy Czyty i Ułan Ude do dziś nazywają „czuchońskim”⁶⁴. Po latach Skandynawów zaliczono w stan kozaczy. Tak samo, jak osiedleńców z Ukrainy, Buriatów, rosyjskich sekciarzy no i oczywiście Polaków. Tych na Zabajkale trafiało coraz więcej. Niektórych wcielano do pułków kozackich utrzymujących straż na granicy z Mongolią w dolinie Dżidy. Buntownicy mieli wierną służbą odplacić carowi darowanie im życia, wcześniejsze rozkucie od taczek, zmniejszenie ilości pałek, jaką by do śmierci musieli jeszcze otrzymać. Służyli do czasu, a raczej do pierwszej okazji. Nie tracili bowiem świadomości swego pochodzenia. Wzięci do niewoli konfederaci barscy ongiś poparli Pugaczowa. Im pozostało tylko oczekiwanie. Na razie dorabiali się, pracując w pocie czoła. Z Europy sprowadzali nasiona nieznanych przedtem w tej części Syberii roślin, narzędzia rolnicze, lepsze odmiany zbóż, szczepy drzew owocowych. Ziemia rodziła hojnie.

Wzdłuż kolei transsyberyjskiej usytuowano liczne zakłady przemysłowe, huty, fabryki. Rozrosła się klasa robotnicza. Jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać grupy i kółka rosyjskiej socjaldemokracji. Narastało wrzenie chłopstwa i Kozaków.

W 1905 roku przyszedł wybuch. Fala strajków sparaliżowała życie gospodarcze. Nad Dżidą, Selengą, Bajkałem i Ononem zbuntowali się chłopci. W Czyście powstała Rada Delegatów Żołnierskich i Kozacych, a rewolucjoniści z tego miasta ruszyli na Irkuck.

W styczniu i lutym 1906 roku wkroczyły na Zabajkale ekspedycje karne. Z północy oddziały generała Mellera, od południa i z Mandżurii - generała Rennenkampfa. Obaj, Niemcy z pochodzenia, tłumiąc zarzewie buntu zachowywali się jak w kraju nieprzyjacielskim. Wojskowe sądy specjalne działały bez przerwy. Plutony egzekucyjne nie odpoczywały. Wyrósł las szubienic. Ze szczególną ostrością byli karani rewolucjoniści polscy i rosyjscy, zbiegli z katongi. Oczekiwać mogli tylko jednego, śmierci. Przychodziła szybko.

* * *

Po dwóch godzinach lotu, pilot sprowadza maszynę w dół. Betonowe pasy wybiegają daleko i giną gdzieś w pofałdowanym stepie. Seria gwałtownych podskoków, szarpnięć i przechyłów, krótkie kołowanie przed budynek portu lotniczego i tumult w oczekiwaniu na schodki.

Gorzka woń spalonych słońcem traw, piołunu i jakby zjełczanego masła wtargnęła do wnętrza maszyny. Jeszcze chwila i po raz pierwszy stawiam nogę na ziemi mongolskiej. Do Ułan Bator jest kilkanaście kilometrów krętą, asfaltową szosą, prowadzącą wśród bezleśnych, pokrytych soczystą zielonością wzgórz. Śródmieście stolicy pięciokrotnie większego od Polski kraju do złudzenia przypomina fragmenty Nowej Huty, Warszawy lub Kijowa budowane w latach pięćdziesiątych. Rozległe, wybiegające daleko w step przedmieścia, tj. dzielnice jurty otoczonych uklepanymi z gliny prawie kwadratowymi ogrodzeniami, zobaczę dopiero z okien dziewiątego piętra hotelu „Bajango”. Hotel, podobnie jak wiele innych reprezentacyjnych budynków, ukończonych, bądź będących jeszcze w stanie surowym, wznosili sąsiedzi z południa. Przed kilku laty, zorganizowawszy parę krzykliwych manifestacji połączonych z chóralnymi recytacjami przykazań Wielkiego Sternika, przerwali w połowie rozpoczęte prace i wrócili do siebie. Kiedy skończą budowę - na razie nie wiadomo.

Bezpowrotnie minął okres wiekowego zastoju, martwoty i zacofania. Zmiany następują jedna po drugiej, zaskakując przybyszów z Europy rewolucyjnym tempem. Stojąc pod pomnikiem Suche Batora na dużym placu zamkniętym z przeciwnej strony kolumnadą gmachu siedziby Najwyższego Churału Ludowego, nie mogę poznać miejsca, z którego jesienią 1956 roku zrobiono zdjęcie zatytułowane „Na rynku w Ułan Bator Mongoł w stroju tradycyjnym z jego żoną już zeuropeizowaną”⁶⁵. Autor zdjęcia, zaczynający wtedy karierę dziennikarską, zbierając wszelkie dostępne informacje o kraju, do którego go wysłano, przeczytał zapewne „Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów”. Zrozumiałe, że nie mogąc się uskarżać na nadmiar tematów, postanowił przypomnieć bądź co bądź sensacyjną sprawę „tajemnicy Ossendowskiego” i skarbu barona Ungerna. Uszłoby mu to może na sucho, gdyby do reportażu nie wprowadził postaci starego Mongoła, który jakoby miał osobiście znać Polaka - adiutanta samego „krwawego barona”. Pewnego razu w towarzystwie owego Mongoła dziennikarz zwiadał

⁶⁴ Czuchońcy (ros.) - pogardliwa nazwa Finów.

⁶⁵ Reportaż Jerzego Kasprzyckiego pt. „Tajemnica (chyba) rozwiązana”, Przekrój nr 643/1957.

ułanbatorskie „Ulagin Muzei”. W sali poświęconej wydarzeniom rewolucyjnym, obok powiększeń autentycznych fotografii zatytułowanych „Suche Bator u Lenina” i „Armia Czerwona wkracza do Urgi”, wisiało zdjęcie barona Romana von Ungern-Sternberga w otoczeniu sztabu. Zwracała uwagę podobizna oficera w futrzanej czapie, z wąsami, z ręką na głowicy wielkiego szablisty, siedzącego na koniu z prawej strony Ungerna. Dlaczego autor reportażu chciał zasugerować czytelnikom, że jedynym Polakiem w otoczeniu barona był Ossendowski i że to właśnie on figurował na zdjęciu - nie wiemy. Oczywiście ów stary Mongoł nie omieszkał opowiedzieć dziennikarzowi jakie to baron zrabował bogactwa. I że samego złota i wyrobów jubilerskich było tam za miliony rubli „tych starych, carskich”. Cały ten skarb miał zostać ukryty „w górach otaczających jezioro Bajkał”. To sformułowanie w korespondencji wydrukowano dużymi literami. Z dalszej części reportażu wynika, że po schwytaniu i straceniu barona wieść o skarbie szybko rozeszła się po całym Dalekim Wschodzie i wielu „dobrze poinformowanych” bezskutecznie przeszukiwało góry nad Bajkałem.

Należy przypuszczać - dodajmy - że tylko te, które otaczają południowy kraniec ogromnego jeziora, tam bowiem toczyła boje Azjatycka Dywizja Konna chana Romana. Poszukiwacze skarbu mieli zadanie rzeczywiście wyjątkowo trudne. Od brzegów Bajkału do granic Mongolii jest około 110 kilometrów w linii prostej.

Początkowo sądzono, że miejsce ukrycia skarbu znał tylko sam baron. Stary Mongoł twierdził, że było inaczej. Przed wykonaniem wyroku Trybunału Rewolucyjnego w Nowonikołajewsku Ungern zdołał rzekomo wręczyć jednemu ze swych żołnierzy list, który przeszedł w ręce lamów z gór Changaj i leżał u nich aż do rebelii w 1930 roku. Mniej więcej w tym okresie niemieccy inżynierowie z firmy AEG budowali w Ułan Bator pierwszą elektrownię. Ponieważ list adresowany był do Niemiec, lamowie usiłowali przekazać go owym inżynierom. Gdy się to nie udało a powstanie upadło, list przeleżał następne kilka lat u jednego z mieszkańców stolicy Mongolii. Wysłano go dopiero podczas konfliktu z Japonią w przeddzień wybuchu II wojny światowej via Tokio. Tu dziennikarz dodaje komentarz od siebie, wyjaśniający zawiłe losy kawałka papieru zupełną izolacją porewolucyjnej Mongolii od reszty świata. Liniję kolejową przeciągnięto do magistrali transsyberyjskiej na początku lat pięćdziesiątych. Stary Mongoł miał nawet - o dziwo - znać treść owego listu. Brzmiał on mniej więcej tak: „Jedynym człowiekiem, który po mojej śmierci znać będzie miejsce ukrycia skarbu, jest mój przyjaciel Polak (tu Ungern wymienia nazwisko owego Polaka zapomniane, niestety, przez informatora dziennikarza). Polecam każdemu z członków naszej rodziny, do którego dotrze ten list, aby za wszelką cenę odszukał Polaka i na podstawie mojego podpisu uzyskał od niego informacje o schowku”. Zacytowanie mongolskiego przysłowia „zając wyobraźni jest zawsze szybszy niż arba prawdy” stanowi efektowne zakończenie reportażu.

Zgrabnie skonstruowawszy „story” autor asekuje się, dając do zrozumienia, że w autentyczność wszystkich przytoczonych danych tak za bardzo wierzyć nie można. Niemalże przeto musiało być jego zdziwienie, kiedy w „Nowych Sygnałach”⁶⁶, dwutygodniku literackim wydawanym na Śląsku, ktoś podpisujący się Cagan Tołogoi zamieścił list otwarty - delikatnie mówiąc - podważający informacje zawarte w reportażu, wykazując przy tym doskonałą znajomość Mongolii, obyczajów jej mieszkańców i dziejów Azjatyckiej Dywizji Konnej. Najbardziej go poruszyły wąsy osobnika, który na fotografii w ułanbatorskim muzeum stoi obok krwawego barona. Wąsy te miały należeć nie do Ossendowskiego, ale do jakiegoś pułkownika. W dalszej części listu Cagan Tołogoi wyjaśnia, że oryginalną wklęsłą czaszkę miał pułkownik Lwow, szef sztabu barona, a nie sadysta i zwyrodnialec Sipajłow, jak to ongiś podawał Ossendowski. Najciekawsze fragmenty utrzymanej w dość uszczypliwym tonie polemiki dotyczyły legend związanych z ukryciem przez barona kasy i archiwum dywizji. Anonimowy czytelnik podawał, że ungerowcy aż czterokrotnie zakopywali znaczne ilości zbytecznej amunicji, broni i łusek artyleryjskich, i być może właśnie wtedy, niejako przy okazji, ukrywano również i złoto. Miało to się dziać w pobliżu Modoń Kul (niedaleko przeprawy przez Dżidę), przy przeprawach przez Selengę i Orchon oraz nad jakimś jeziorem. Na koniec zdawkowa uwaga, jakby podsumowanie: „[...] zrabowane złoto i srebro ukryto gdzieś na terenie Mongolii Zewnętrznej. Odnaleźć miejsce gdzie to uczyniono jest niemożliwością, gdyby nawet dysponować oryginalną mapą barona. Używane przez niego rosyjskie sztabówki zawierały w tamtych latach bardzo poważne błędy”.

Kilka miesięcy później sprowokowany kolejnym reportażem z Mongolii innego już autora, zamieszczonym tym razem na łamach „Dookoła Świata” Cagan Tołogoi odezwał się po raz trzeci i ostatni. Krótki, rzeczowy artykuł we wrocławskim tygodniku „Odra”⁶⁷. Skarby są, ale ukryte gdzieś w rejonie jeziora Buir nur we wschodniej Mongolii. Mulaste, pokryte zaroślami derisu⁶⁸ brzegi jeziora

⁶⁶ „Nowe Sygnały”. R. 1957, nr, nr 35, 45.

⁶⁷ „Odra”. R. 1958, nr 34.

⁶⁸ deris - trawa rosnąca na pustynnych stepach Mongolii

obfitują w wiele naturalnych grząskich zagłębień i kotlinek, znanych pod nazwą „łagów”. Ukryć tam można na wieki nie tylko kasę dywizji.

Kim był Cagan Tołogoi? Zapytany o to dwanaście lat później dziennikarz przypuszczał, że to jakiś naturalizowany w Polsce Mongoł, być może były student wysłany przed II wojną światową do Niemiec, który zamieszkał w Polsce. W każdym razie podany w redakcji „Nowych Sygnałów” adres w Ząbkowicach okazał się fałszywy, a list wrócił bez odpowiedzi. Każdy kto odszuka archiwalne egzemplarze „Nowych Sygnałów” i „Odry” zwróci zapewne uwagę na świetny polski język listów Cagan Tołogoi i prezentowaną w nich dokładną, rzec by można drobiazgową, znajomość już nie tylko dziejów Azjatyckiej Dywizji Konnej, ale takich szczegółów, jak kolor noszonych przez kozaków poszczególnych pułków baszyków⁶⁹, rodzaje białej broni czy wygląd i charakterystyka oficerów. Mógł to więc być tylko jeden z nich. W zapadłym kącie Mongolii, wciśniętym klinem pomiędzy chińską prowincję Sinkiang i Tuwińską ASSR spotkałem czabanów⁷⁰, którzy w latach II wojny światowej gnali do Bijska tabuny koni, przeznaczone dla armii radzieckiej. Latem pędzono je starą drogą karawanową przez Ułan Daba - Przełęcz Czerwoną, leżącą w grzbiecie Sajlugenu, odchodzącym od masywu Tabun Bogdo - Pięciu Bogów. Zimą przekraczano granicę w rejonie miejscowości Cagan Tołogoi, leżącej nad rzeką Teś. Po drugiej stronie rzeki leżał już Kraj Urianchajski. Cagan Tołogoi w dowolnym przekładzie można tłumaczyć jako białą głowę, wierzchołek lub szczyt.

Załatwiwszy najważniejsze sprawy w ułanbatorskich urzędach, miałem czas dla siebie. Miasto już jako tako poznałem, „barachołkę” - takie miejscowe wydanie bazaru Różyckiego także. Pozostałe parę dni oczekiwania na wyjazd w głąb kraju postanowiłem poświęcić na rozmowy z ludźmi, kontynuowanie poszukiwań ostatecznego wyjaśnienia zagadki „ungernowskich skarbów” i zwiedzanie muzeów. W stolicy Mongolii jest ich niemało: Miejskie, Sztuki, Przyrodnicze, Historyczne. Od tego ostatniego zacząłem. Zdjęcia sztabu Ungerna już nie ma. Widocznie nastąpiła zmiana ekspozycji. Jest za to szereg niezwykle interesujących dokumentów z pierwszych lat rozbudowy kraju, walk z Japończykami. Zostałem aż do zamknięcia.

Następnego dnia odwiedziłem dawny klasztor lamajski Tencyling Chure, stojący na wprost hotelu, w którym zamieszkałem. Obecnie w klasztorze tym mieści się Muzeum Religii i Ateizmu. W końcu pozostał mi już tylko położony za Tołą Zielony Pałac. Pałac, a raczej banalny jednopiętrowy budynek z biało tynkowanymi ścianami, nakryty prostym blaszanym dachem, przycupnął w cieniu wielkiego kombinatu przemysłu tekstylnego i płataniny przewodów linii wysokiego napięcia. Była siedzibę Bogdo-gegena otaczają charakterystyczne dla świątyni lamajskich bajeczne kolorowe bramy triumfalne i niewielkie pawilony. Opłaciwszy pięć tugrików za wstęp, przekraczam wrota, na których wymalowane są monstrualnej wielkości maskary. To strażnicy religii - dogsziny. Powyginane ciała bogów i demonów, często w czasie stosunku płciowego, układają się w pełną zawilej symboliki mozaikę. Panteon lamajski liczył tysiące bóstw. Drewniane pawilony z wzorowanymi na starej architekturze ty-betańsko-chińskiej wygiętymi w górę na narożach dachami nie mają więcej niż 50-60 lat.

Świątynia lamajska. Bajecznie kolorowy półmrok przesycony nieokreślonym zapachem zeschniętych kwiatów, ziół, starych ksiąg, brudnych szmat. Nieduże wnętrza bez okien. Na ścianach, na stopniach ołtarzy wiszą, leżą i stoją setki posągów i obrazów. To burchany - wyobrażenia bóstw z panteonu lamajskiego, malowane na jedwabiu i papierze, rzeźbione w drewnie, kamieniu i glinie, odlewane w metalu metodą traconego wosku i kute ze złotej blachy. Pierwsze wyobrażenia żyjącego w latach 560-480 p.n.e. Siddharty Gautamy - Buddy nosiły wyraźnie piętno wpływów hellenistycznych. Wyobrażenia te powstały dopiero siedem wieków po jego śmierci. Religia a raczej system filozoficzny propagowany przez Buddę nie posiadał określonego boga stwórcy, dającego początek wszechświatu. W długim ciągu przemian i modyfikacji samemu Buddzie Oświeconemu przyznano wszystkie atrybuty boskości. W 108-tomowym zbiorze pism świętych, Kandzurze, zawarta jest nauka o życiu i pochodzeniu kilku tysięcy wymienionych z imienia buddów i bodhisattwów⁷¹ czasu teraźniejszego, przeszłego i przyszłego, których należy otaczać należną im czcią. Boskie istoty pomagają w wejściu na drogę zbawienia. Jednocześnie uosabiają cierpienie, prowadzące do wyzwolenia ducha, do nirwany.

Wiele burchanów, to dość prymitywne kopie starych wzorów sztuki chińskiej, indyjskiej i tybetańskiej. Można spotkać i wykonane w Częstochowie przez przedsiębiorczych producentów przeważnie wyznania mojżeszowego, zamówione jako votum na rzecz przywrócenia do zdrowia ostatniego Bogdo-gegena. Stracił je rzekomo wskutek nadużywania napojów wysokokowych.

⁶⁹ baszyk (tur.) - kaptur z filcu z wydłużonymi końcami

⁷⁰ czaban (tur.) - pasterz bydła lub owiec

⁷¹ bodhisattwa - ten, kto w drodze do najwyższej doskonałości osiągnie ostatnie stadium poprzedzające nirwanę i stan Buddy

Przyłączam się do grupy amerykańskich turystów. Po dokładnym spisaniu naszych personaliów otrzymujemy przewodnika uczesanego a la Yul Brynner; nawiasem mówiąc aktor ten jest pół Mongołem pół Rosjaninem.

W kolejce przed wejściem do pałacu małe zamieszanie. Ktoś oparł się za mocno o spiżowego smoka strzegącego drzwi i odwalił mu łeb. Pusty w środku, z łoskotem spadł na wybrukowany kocimi łbami dziedziniec. Amerykanie mają używanie. Każdy obowiązkowo musi zrobić sobie zdjęcie przymierzając do twarzy, a częściej do nóg oryginalny szyszak. Koniec igraszkom położył eks-lama umieściwszy łeb smoka na poprzednim miejscu. Wreszcie wchodzimy.

Na parterze najdziwniejsze panopticum, jakie kiedykolwiek oglądałem. Wypchane i zasuszone egzotyczne zwierzęta: strusie, żyrafy, nosorożce, krokodyle, skamieniałe jaja dinozaurów, kości mamutów. Do niedawna był tu nawet sprytnie przez jakichś oszustów spreparowany jednoróżec. Zoologiczne hobby władcy. W sąsiednim pomieszczeniu szafa z paradnymi przebogatymi strojami Bogdo-gegena i jego szanownej małżonki, podarunki otrzymane z Petersburga i Pekinu. Jest i grająca szafa. Autentyczna. Poruszany przez sprężynę walec z nabitymi nań kołeczkami wprawia w harmoniczne drgania systemy metalowych płytek. Zlewające się dźwięki dają razem... wiązanek walców Straussa, przebój naszych dziadków.

Sale audiencjonalne. Wspaniały tron. Zawieszona na nim uroczyste przybrania głowy, wachlarze, chorągwie. W gablotach klejnoty, biżuteria, sprzęty tajemnych obrządków i liturgii. Nefryt, złoto, perły, jedwab, kość słoniowa czy mamucia, jaspis, jadeit, agat. Dzieła rąk rzemieślników Indii, Chin, Japonii, Nepalu. Nieprzenikniony świat martwych już symboli, magicznych reguł i talizmanów. Wyrafinowanej starej sztuki. W komnacie na pierwszym piętrze wiszą na ścianie dwa portrety - chyba pary małżeńskiej. Poobłukiwane ramy i pęknięte upstrzone przez muchy szkło. W dłoniach mężczyzny oczir (rodzaj berła) i dzwonek - symbole, rekwizyty najwyższego wtajemniczenia. Oczy portretowanego dostojnika przedziwnie kontrastują z nieciekawą, obrzękłą twarzą, na której pycha, rozwiąłość i okrucieństwo odcisnęły niezatarte piętno. Bije z nich niepospolita inteligencja i przebiegłość.

To Żywy Bóg - Bogdo-gegen, ósme z kolei wcielenie świętego Dżebdzunaranty⁷². Przyszedł na świat w małej wiosce położonej u stóp Mount Everestu i zgodnie z zasadą następstwa chubiłgańskiego jako pięcioletni malec został przeistoczony w bóstwo. W 1875 roku przewieziono go z Tybetu do Urgi.

Bogdo-gegen, sprawujący władzę kościelną od Czaharu do Dżungarii, musiał we wszystkim ulegać namiestnikom mandżurskim, lawirując tak, aby jednocześnie nie narazić się kolegium najwyższych kapłanów rezydujących w górskich klasztorach Tybetu. Ci z jego poprzedników, którzy nie bardzo dokładnie wypełniali przesyłane z Lhasy dyrektywy lub zaczynali dochodzić do porozumienia z arystokracją mongolską w celu uwolnienia kraju spod obcego jarzma, prawie natychmiast byli przenoszeni do nirwany.

Na dworze każdego chutuchtu przebywali turdzy-lamowie - mistrzowie czarnej magii, lekarze i truciele zarazem, a jednocześnie funkcjonariusze takiego lamajsko-tybetańskiego gestapo. Obawiano się ich jak ognia.

Dla prostych aratów władza i autorytet Bogdo-gegena były przeogromne. Jednym słowem mógł pchnąć do walki milionowe rzesze nomadów lub uśmierzyć ich niepokoje. Dlatego też dopiero po jego śmierci, trzy lata po definitywnym zwycięstwie rewolucji w Mongolii, kraj ten mógł stać się republiką. Jeszcze w latach dwudziestych tłumy dzień i noc cisnęły się, aby dotknąć sznura otaczającego pałac. Drugi koniec sznura trzymał, albo i nie trzymał, Bóg. Dotknięcie sznura dawało łaskę i błogosławieństwo. Niespełna pół wieku temu. Dziś młoda generacja otwarcie drzwi z przesądów i zabobonów ojców i dziadów. Spotkanie lamy na ulicach Ułan Bator jest wydarzeniem. Proces rewolucyjnych przeobrażeń całego społeczeństwa, zmiany jego mentalności, wyrwanie z wiekowego zacofania, gnuśności i bezruchu nie przebiegał gładko. Na głównego przeciwnika natrafiono w hierarchii kościoła lamajskiego, wśród rzesz gelungów, geszów, gotulów - mnichów wielu rang i stopni. Przed rewolucją każdy mieszkaniec stepów musiał mieć swego lamę, który prowadził go po „ścieżce cnoty”. Rozprawiając się z kontrewolucją i likwidując gniazda rebelii, rozpędzono raz na zawsze mieszkańców klasztorów. Byli szabinari (sługi klasztorne) zrobili to z ochotą i gorliwością. Czasem nawet zbyt gorliwie, niszcząc przy okazji bezcenne dzieła sztuki i pomniki architektury. Rozbito dziesiątki tysięcy burchanów, spalono stare księgi zawierające formuły zaklęć i modlitwy. Z zawieruchy ocalało zaledwie kilka klasztorów w Ułan Bator, Uliasutaju oraz w Charchorinie, jak obecnie nazywa się Karakorum.

⁷² Dżebdzunaranta - wybitny tybetański historyk żyjący w latach 1575-1655.

Wyznawcy tybetańskiej odmiany buddyzmu, nazywani od koloru nakryć głowy sektą „czerwonych czapek”, posiadali świątynie w Mongolii już za życia Czingiz-chana. Kroniki odnotowały, że kiedy nad rozległymi obszarami stepów ciągnących się nieprzerwanym pasem od Huang-ho do Dunaju panowały związki plemienne różnych ludów tiurkskich - Hunów, Kirgizów czy Ujgurów, lamowie bywali częstymi gośćmi na dworach ich władców. Czingiz natomiast, jak większość jego ludu, był wyznawcą szamanizmu⁷³.

Przez wiele wieków nic nie wskazywało na to, że wśród wyjątkowo tolerancyjnych, wręcz indyferentnych religijnie koczowników buddyzm stanie się religią panującą. Dopiero garstce lamów-misjonarzy z sekty „czerwonych czapek”, zreformowanej przez Tsong-kha-pę (1356-1416), udało się zaszczepić nowe wyznanie. Pokolenia odwiecznych nomadów, dla których wojna i grabież stanowiły nie tylko żywioł, ale kategorię imperatyw istnienia, poczęły kierować się moralnością opartą na „Panczaszila” - pięciu przykazaniach nakazujących nie zabijać, nie kraść, nie kłamać, nie dopuszczać się niedozwolonych stosunków z kobietami i nie używać napojów odurzających. Apostołowie nowej religii zachowywali zupełną czystość, jadal tylko to, co uzebrali do południa, a poza odzieżą posiadali jedynie miseczkę żebraczą, brzytwę do golenia ciała, igłę i sitko, aby pijąc wodę nie połączyć przypadkiem żywego stworzenia. Warunkiem osiągnięcia nirwany i najwyższego stopnia wtajemniczenia, tj. stanu Buddy, było uwolnienie się od nienawiści, żądzy i błędnych mniemań. Naród, który od wieków stanowił bezustanne, śmiertelne zagrożenie dla sąsiadów, oddał się kontemplacji. Przesłał być potrzebny liczący cztery tysiące kilometrów Wielki Mur, mający zabezpieczyć Chiny przed ciągłymi inwazjami okrutnych rabusiów. Niemałą rolę w tej swoistej pacyfikacji mongolskich plemion odegrała perfidna dyplomacja cesarzy mandżurskich, zmierzających do opanowania całej Mongolii. Zastanawiająca zbieżność dat. Zaledwie kilkadziesiąt lat dzieli koniec okresu lamaizacji czterech ajmaków Chałchy od ostatecznej utraty przez nie niepodległości. Chińczycy zadbali również, aby jeden z Dalaj-lamów - następców Tsong-kha-py, ogłosił w 1692 roku, że nigdy nie opuści Tybetu. Mongołowie sami wybrali sobie wówczas głowę kościoła. Został nim syn Tuszetu-chana Gambodordzi⁷⁴, zaliczony po śmierci w poczet badhisattwów. Najwyższy autorytet duchowny i religijny chałchaskich plemion, spokrewniony z miejscową arystokracją, przedstawiał zbyt wielkie niebezpieczeństwo, jako nosiciel panmongolskich idei. Jego następcą został przeto już tylko pół-Mongoł, wnuk cesarza mandżurskiego Kansi. Dalsi byli wyłącznie Tybetańczykami, przywożonymi do Chałchy jako mali kilkuletni chłopcy. Historia odnotowała przypadek, że na tronie Dalaj-lamy zasiadł potomek Czingizydów, co stworzyło przesłanki do powstania ściślejszej więzi politycznej między Mongolią i Tybetem. Władcy Chin zrobili wszystko, aby podobna sytuacja nigdy więcej nie miała miejsca.

Późnym popołudniem opuszczałem Zielony Pałac. Słońce nie prażyło już tak niemiłosiernie i kusiło mnie, aby obejrzeć miasto z lotu ptaka. Łagodne, przylegające do pałacowego ogrodzenia zbocza Bogdo Uł - Góry Bogów, takiego miejscowego Olimpu, zachęcały do spaceru.

W latach pięćdziesiątych nosiła imię marszałka Czobjalsana, głównego pogromcy lamów, ale obecnie przywrócono górze dawną nazwę. Na mapie szczyt zaznaczony jest krzyżykiem i wysokością 2257 m.

Wydawało się, że osiągnięcie wierzchołka nie powinno być trudne, jako że leży zaledwie siedemset metrów wyżej niż miasto. Droga, ścieżka raczej, co rusz ginąca w rumowisku kamieni i głazów, w płątaniu korzeni drzew, mchów i skał, przypominała do złudzenia tatrzańskie Wantule. Zupełne bezludzie. Ongiś nie wolno tu było ułamać nawet patyka. Wejście na stoki Góry Bogów karane było bardzo surowo, jeżeli ze świętokradcą sami bogowie już sobie wcześniej nie poradzili. W polu widzenia Bogdo Uł nie wolno było wykonywać wyroków śmierci. Zakaz ten złamał dopiero Ungern. Zbocza góry od dawna były przeto azylem dla dzikiej zwierzyny. Rozpowszechnienie broni palnej wśród ludów Azji Centralnej, gdzie każdy koczujący pasterz był jednocześnie myśliwym, raptownie zmniejszyło pogłowie dzikich czworonogów, przynosząc zagładę i śmierć całych gatunków.

Prastary rezerwat zajmuje znaczny obszar, toteż po paru godzinach zrezygnowałem z osiągnięcia szczytu. Majaczył gdzieś na horyzoncie jako mały kopczyk kamieni usypany na bezleśnym już, nierównym stepie. Takim samym, jaki widziałem z okien samolotu. Las został nieco niżej. Dookoła ciągnęły się w nieskończoność spłaszczone garby północno-zachodnich odgałęzień Chenteju. Ponury, monotony krajobraz Poddasza Świata. Zawiedziony, zbiegam przypadkowo napotkaną ścieżyną w dół. Być może nią właśnie, pod osłoną ciemności i śnieżnej zamieci, przekradała się pół wieku temu garstka Tybetańczyków Sajdzi-lamy. Byli chyba pierwszymi, którzy bezkarnie złamali tabu Świętej Góry. Bitni, podobnie jak ich najbliżsi himalajscy sąsiedzi, Gurkowie, błyskawicznie wycięli

⁷³ W cesarstwie Mandżukuo - religia ta, jako oficjalne wyznanie, przetrwała do 1945 roku.

⁷⁴ pierwszy Bogdo-gegen (1635-1724), noszący imię Dżeb-dzun-Daranata Gunga-Ninbo

strzegących Zielonego Pałacu gaminów, uwolnili Żywego Boga i dostarczyli go do kwatery generała Romana von Ungern-Sternberga.

* * *

Półmrok rozjaśnia snop światła wpadający przez otwór w dachu. Wystaje przezeń rura blaszanego piecyka. Ciepło, przytulnie, choć na dworze wieje wściekły wichur, niosący tumany ostrych jak szpilki ziarenek piasku. Gospodarze jurty posadzili nas na honorowym miejscu, naprzeciw wejścia zasłoniętego grubym wołokiem. Za plecami rodzinny ołtarzyk. Posążki bogów - straszliwego demona Czojdzala, łagodnej i dobrotliwej Darieki - patronki ciężarnych kobiet, trociczki, miseczki ofiarne. Nie. Tego już nie ma. Ołtarzyk, ongiś najokazalszy mebel w jurcie, zastąpiło kilka ułożonych jedna na drugiej walizek Made in DDR, przykrytych jedwabnym chadakiem⁷⁵. Burchany stara babka chowa pod wyrkiem, na którym sypia. Ich miejsce zajęła duża, chyba od urzędowego portretu rama, z pękniętym przez pół szkłem. Za szkłem fotografie członków męskiej linii rodu, przy szabli, na koniach. Bez wąsów. Wąsów Mongołowie nie noszą. Zarost mają zbyt nikły. Ich zdaniem, dalej niż my posunęli się w łańcuchu ewolucji, owłosienie bowiem nie jest dominującą cechą gatunku homo sapiens. Na fotografiach dostrzegam partyzantów, żołnierzy rewolucji. Między nimi dwóch byłych lamów. Ojcowie należeli do stanu szabinarich - sług klasztornych. O, bo klasztor opodal był wielki, potężny Wan Chure. Teraz na jego miejscu zbudowano miasto Bułgan, Do stolicy ciężarówką jedzie się stąd tylko dwa dni. Porą deszczową znacznie dłużej. Rzeki wylewają i trzeba czekać aż woda opadnie. Mostów na razie nie wybudowali. Resztę miejsca za szkłem wypełniają kolorowe podobizny radzieckich gwiazd ekranu z lat pięćdziesiątych i zdjęcie jakiegoś przywódcy uruchamiającego nową elektrownię wodną. Jest oczywiście radio, japoński tranzystor. Nadaje bez przerwy ten sam program słowno-muzyczny, przerywany dość często apelami o słuchanie przykazań Wielkiego Sternika i zbiorowym skandowaniem myśli Mao. Innych stacji nie można odbierać? Można, ale tamtych jest znacznie więcej i są silniejsze, tak że zagłuszają. Radzieccy specjaliści mają uruchomić w Ułan Bator nowy nadajnik, wówczas odbiór się poprawi.

Czekamy aż woda w kociołku zacznie wrzeć. Gospodyni wstaje z ulubionej pozycji kucznej, sięga do wiszącego przy niskiej ścianie jurty woreczka, wyjmując zeń kilkukilogramową cegłę sprasowanej herbaty. Oddziabane tasakiem okruchy i drobne kawałki wrzuca do kociołka. Zapach mają trochę dziwny, herbaty nie przypomina. Raczej już argał. Wiem co dalej nastąpi. Przyrządzanie sutecaju to obrządek i tradycja. W czasie upałów można go wypić i kilkadziesiąt czarek dziennie. Takich porcelanowych, jakie u nas czasem sprzedają w warszawskiej „Chince”. Trzymasz w obu rękach, bo tak ci podali i tak wzięłeś - inaczej wykażesz, że jesteś nieobyty. Siorbiesz wolno, z namysłem. Sutecaj, herbata z mlekiem, rzecz by można bawarka, tylko że mleko kobyłe; zamiast cukru nieźle posolone i omaszczone. Autentycznym masłem, choć nieco zjełczałym. Znać, że chcą nas tu ugościć z całego serca. Byle kto masła nie dostanie. Czekamy. Godzinę, dwie. Ma przyjechać syn gospodarzy, który jest dargą - przewodniczącym spółdzielni produkcyjnej i partkomem - sekretarzem partii. W końcu jest. Z fasonem, piskiem opon i strumieniem wyrzuconego żwiru, zarzuca przed jurtą Jawa. Na niej starszy siwy Mongoł w brązowej, jedwabnej deli⁷⁶ i baterią długopisów za pazuchą. Studiował w Irkucku. Zwiedził Moskwę, Berlin. Warszawy nie zdążył. Przywiózł jakiegoś wielkoluda. Potężnego, pochylonego wiekiem. Na pewno mistrz barildanu - narodowych zapasów. Nie myłę się. Zdobył nawet tytuł Tytana i przez wiele lat nie dał go sobie odebrać. W młodości był u Ungerna. Patrzę z niedowierzaniem. Tak, tak, dziadek ma już pod osiemdziesiątkę. Trzyma się krzepko. No, nareszcie naoczny świadek. Niestety, nie zna rosyjskiego. Tłumaczenie ciężko idzie. Eks-tytan nie ma zbyt dobrej pamięci. O byłym wodzu wspomina z nienawiścią. Wymordowano wszystkich jego krewnych, bo dali schronienie „czerwonym” kuzynom z sąsiedniego choszunu. On dostał dwieście bambusów. Mocny chłop. Przeżył. Ale ślady blizn na grzbiecie nosi do dziś. Zmobilizowano go pod przymusem do saperów. Silny był jak chajnak⁷⁷. Barona widział. Tak, na własne oczy. Tylko raz, już jak go związanego przekazali oddziałowi radzieckiemu. Bali się go. Lamowie mówili, że jest nieśmiertelny i kule go nie brały. A poza tym chanem był, żółtą chańską chorągiew przed jurtą miał. No i sam Bogdogegen dał mu ozdobiony swastyką rubinowy pierścień Czingiza. Jakże takiego się nie bać. Lamowie byli śmiertelni. Sam się o tym przekonał. Wtedy już pod Czojbałsanem służył. Likwidowali klasztory.

⁷⁵ chadak (mong.) - szarfa, płat jedwabiu o długości od 30 cm do kilku metrów. Chadaki tkano w różnych kolorach, przeważnie błękitnym. Przy ich wręczaniu przestrzegano specjalnego ceremoniału. Przechowywano je, jako dowód okazanej przyjaźni, szacunku i serdecznych uczuć.

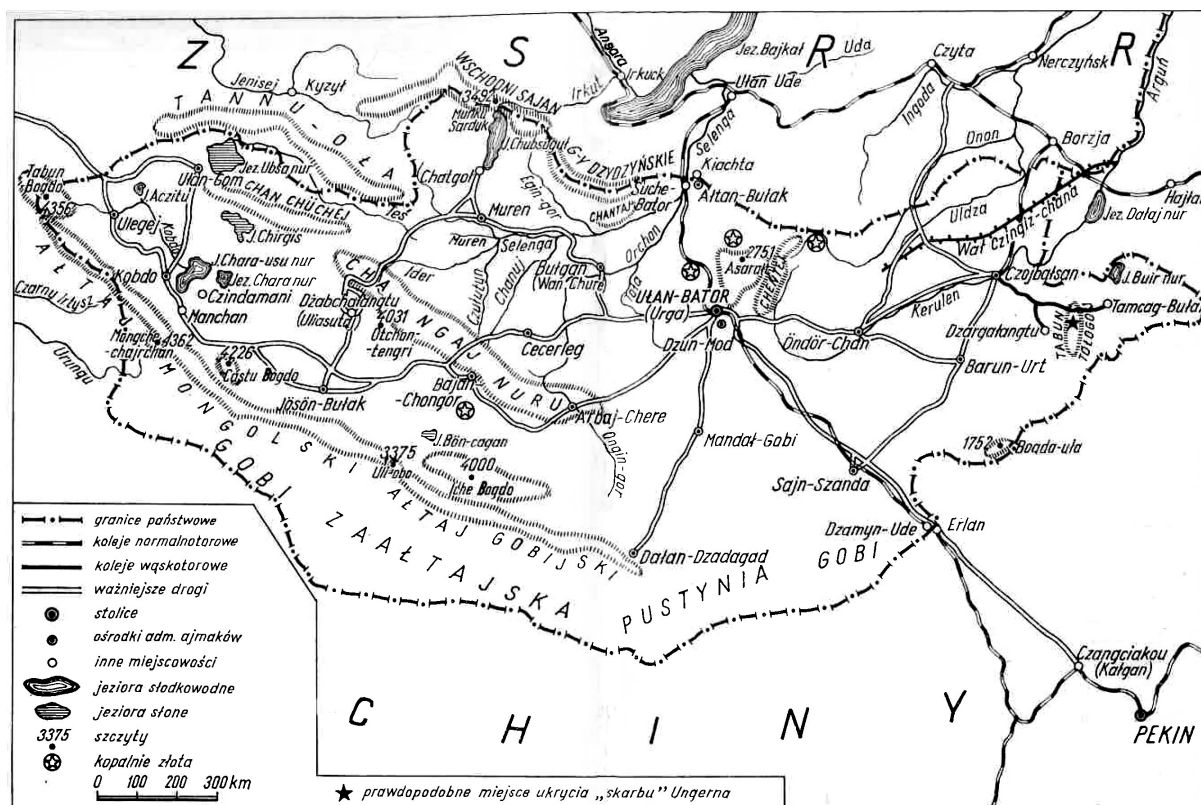
⁷⁶ dela (mong.) - rodzaj chałata zapinanego z boku, uszytego najczęściej z grubego jedwabiu lub płótna gładkiego albo zdobnego w różne ornamenty ludowe. Dela zimowa podbita jest futrem.

⁷⁷ chajnak - mieszaniec byka z jakiem, wołem tybetańskim, sprowadzonym do Mongolii (przez lamów z Kaszgarii)

Wan Chure też. Dwa tysiące mnichów w nim mieszkało. Dobrą broń mieli. Japońską. Gryźli jak szerszenie. Łby im poukręcał.

Łapy wielkoluda budzą i dziś respekt. A może to tylko wina tłumacza. „Łby im poukręcał”... dziwnymi drogami chadzała rewolucja w tym kraju. Przeskoczono kilka etapów rozwoju społecznego. Nie znano w zasadzie kapitalizmu. Teraz są wzorem dla wielu państw Trzeciego Świata, przykładem- Drogo ich to kosztowało. O chanie Romanie pamiętają dobrze. Nigdy nie zapomną. Tak jak my o „naszym” gauleiterze Franku.

Zwalili się goście. Poszła w ruch archi⁵²⁷⁸ i koniak o nazwie Chan Chucej. Morderczy bimber z kobyłego mleka. Nie wiem jak trafiłem do siebie.



Mongolia współczesna i domniemane miejsce ukrycia skarbu.

Pobyt mój w Mongolii dobiegł końca. Niewielu tylko osobom przyznałem się, co mnie tu sprowadziło. Uwierzyli bez słowa. Ba, są przekonani, że na skarb barona nikt jeszcze nie natrafił. Czy go poszukiwano? O tak. Wiele razy. Nie bardzo jednak wiedzą, kto i kiedy. Słyszeli, że z pierwszej ekspedycji amerykańskiej poszukującej dinozaurów w pustyni Gobi w połowie lat dwudziestych, zniknęło w tajemniczy sposób dwóch ludzi. Niemców. Kręcili się kilkaset kilometrów od terenu wykopali paleontologicznych. Po co? Czort wie. Chyba ich sprzątnęli lamowie. Jeszcze byli w Mongolii, bo powstanie zaczęli organizować później. Z Mandżurii przyjeżdżał też pewien inżynier, również Niemiec. Podawał, że nazywa się Konstantin. Inżynier Konstantin. Rzekomo był bratem barona. Kiedy go poznano, musiał wyjechać. I to szybko, bo ludzie chcieli go rozszarpać. Z lamami się spotykał. Może też, jak tamten, chciał zostać buddystą.

PORTRETY PRZODKÓW

⁷⁸ archi (mong.) - wódka

Pójdźmy inną drogą niż dotychczasowi poszukiwacze kasy Azjatyckiej Dywizji Konnej. Oni zresztą posiadali gorzej i ub lepiej podrobioną mapę, na której w jakimś miejscu postawiono kropkę czy krzyżyk. Rzucali posady szoferów taksówek, kelnerów, zamiataczy ulic, jakie przypadły w udziale byłym białogwardzistom w Paryżu, Harbinie lub Szanghaju, i ruszali w ściep. Tam zadźgali ich kompani, zginęli z pragnienia i głodu lub od kul mongolskiej straży granicznej, o ile, oczywiście, wcześniej nie powędrowali do japońskiego, chińskiego czy mandżurskiego więzienia. Potem była wojna, Hiroszima. W Chinach trwał Długi Marsz, a obecnie od paru lat mamy „rewolucję kulturalną”. Nie, z tej strony dostępu do wschodnich, rubieży Mongolii nie ma. Związek Radziecki też nie zwykł pierwszych lepszych cudzoziemców wpuszczać do Władywostoku, Chabarowska, Nachodki, szczególnie jeżeli są Rosjanami legitymującymi się obcym paszportem.

Turyści z Zachodu, głównie Amerykanie, odwiedzają Mongolię dość regularnie. Przeważnie są to wycieczki na Naadom, taką lokalną olimpiadę z okazji święta zwycięstwa rewolucji, obchodzonego 11 lipca. W czasie czternastodniowej ekskursji za jedne 3564 dolary mogą poznać serce i duszę Azji. W kraju błękitnego nieba turyści bawią tylko parę dni. Mają do dyspozycji luksusowy autokar, mały tabunik specjalnie dobranych, łagodnych koni. Piją higienicznie przyrządzony kumys i śpią w klimatyzowanych jurtach. W programie pobytu nie przewiduje się samodzielnych wypadów w chudon⁷⁹. Wątpliwe zresztą, aby któryś z von Ungern-Sternbergów, zachowując incognito, chciał tą drogą wchodzić w prawa spadkobiercy. O testamencie „krwawego barona” powinni jednak coś wiedzieć; ród wykazujący się iluś tam pokoleniami przodków nie wygaśł przecież bezpowrotnie na naszym mongolskim „bohaterze”.

W położonej nie opodal Monachium, słynnej z zimowych olimpiad miejscowości Garmisch-Partenkirchen mieszka prof. Bolko von Richthofen, pochodzący z tej samej rodziny, która wydała asa niemieckiego lotnictwa z I wojny światowej i sławnego badacza Chin. Profesor ów jest niewątpliwie wybitnym znawcą dziejów rodów bałtyckich baronów. Zdobycie jego adresu nie było trudne, jako że jeszcze stosunkowo niedawno polemizowała z nim „Polityka”.

Nadspodziewanie szybko otrzymuję uprzejmą odpowiedź. Wynika z niej, że obecny ambasador rządu bońskiego w Brukseli nosi nazwisko von Ungern-Sternberg i jest żonaty z... rodzoną bratanicą „mongolskiego barona” Zofią.

Ten ostatni musiał się dobrze zapisać w pamięci obywateli ZSRR, skoro kilkanaście lat temu Chruszczow zdecydowanie odmówił wyrażenia zgody na mianowanie przedstawicielem dyplomatycznym w Moskwie osoby o tym samym nazwisku. „Mieliśmy jednego Ungerna - to nam wystarczy”.

Wprawdzie urodzony w 1885 roku Roman Maksymilian, podobnie jak młodszy od niego o trzy lata brat Konstantin, przyszedł na świat w Gratzu (Austria), ale gniazdo rodzinne od wieków znajdowało się w Parnell nie opodal Rewla. Rewel (Tallinn) wyzwoliły wojska radzieckie dopiero w 1944 roku, jest więc wysoce prawdopodobne, że do tego czasu Ungernowie tam zamieszkiwali. Gdzie są teraz?

W zamku Kronberg koło Kopenhagi wisi obraz przedstawiający oblężenie Visby, hanzeatyckiego miasta na Gotlandii. Siedemnastowieczny malarz skandynawski wśród napastniczych wojsk przedstawił jakichś konnych łuczników o nieco skośnych oczach.

Nie byli to Tatarzy, lecz Finowie. Artysta chciał, być może, w ten właśnie sposób podkreślić znany mu zapewne fakt odrębności etnicznej mieszkańców „krajów bagien” Suomi. Przeciętny Polonus wie o Finlandii tylko tyle, że jest to posiadający tysiące jezior, bogaty w drzewo kraj sauny, Sibeliusa, sisu i pomników carów Wszechrosji, cieszących się tam, podobnie jak w Bułgarii, dużą estymą.

Zawsze byłem entuzjastą sauny. Na tematy muzyczne wolałbym nie wypowiadać się. Sisu zaś to piękna cecha charakteru potomków dawnych mieszkańców europejskich tajg. Połączenie ambicji, wytrwałości, odwagi i uporu w dążeniu do celu. A carowie? No cóż. Fin mógłby równie szczerze oburzać się widząc na cokole kolumny, którą już wiele razy sprzedawali cwaniacy z Czerniakowa, przedstawiciela szwedzkiej dynastii Wazów.

W początkach naszego wieku, podczas obowiązującej w Wielkim Księstwie Finlandzkim prohibicji, po lodzie zamrożonej zatoki z Rewla do Helsinek przemycano przytroczone do juków końskich baryłeczki z wódką. Kontakty z mieszkańcami dzisiejszej Estonii były poniekąd ułatwione, ponieważ Estończycy są jedynym w Europie narodem posiadającym język niewiele różniący się od fińskiego. Rewel od Helsinek dzieli odległość nie większa niż 80 kilometrów. Dzień jazdy saniami. Poszukajmy Ungernów w Helsinkach.

Pierwszą czynnością, jaką wykonałem po znalezieniu się w imponującej architekturą dworca kolejowego stolicy bałtyckiego sąsiada, było przewertowanie książki telefonicznej. Obok cmentarza

⁷⁹ chudon (mong.) - prowincja

jest to podstawowe źródło informacji o mieszkańcach nieznanymi miast. Nie trzeba było długo czekać. Są. Aż dwóch. Obaj architekci. Być może ojciec i syn, choć mieszkają w odległych dzielnicach. Liczę bardzo na pomoc uroczej znajomej dziennikarki Anu, zakochanej również w architekcie, tyle że polskim. Trzeba przecież przygotować teren, bo może to tylko przypadkowa zbieżność nazwisk. Zarówno jeden jak i drugi telefon na razie milczą. Nikt nie podnosi słuchawki. Wyjeżdżam więc na pewien czas do położonego o przeszło sto kilometrów na północ od Helsinek Lahti.

Miasto to przypomina nieco Gdynię i jest od niej tylko kilkanaście lat starsze. Rzędy nowoczesnych punktowców, rozrzucone na morenowych wzgórzach, pomiędzy malowniczymi jeziorami Vesijärvi i Joutjärvi, na pozór niewiele się różnią od budowanych obecnie u nas.

Centrum, to Kaupattori i Plac Targowy, położony w obniżeniu terenu pomiędzy ceglany ratuszem, projektu Saarinen (późniejszego budowniczego nowojorskich drapaczy), a drewnianym zbojem luteranckim i przylegającymi doń grobami żołnierskimi z ostatniej wojny. Dużo szkła, neonów, handlowych pasażów. Jakby żywcem przeniesione fragmenty warszawskiej Ściany Wschodniej. Dominujące akcenty panoramy stanowią dwa 150-metrowe stalowe maszty jednej z najpotężniejszych w Skandynawii radiostacji i dość obskurna konstrukcja z drewnianych bali. Salpausselka - skocznia narciarska, słynna z rozgrywanych na niej mistrzostw świata i zimowych olimpiad. Reprezentacyjna ulica - Aleksanderinkatu, została nazwana na cześć cara Aleksandra I, który w 1808 roku zwołał po raz pierwszy fiński parlament - Eduskuntę. W Bibliotece Miejskiej odnajduję książkę Ossendowskiego Elamia ihmisia ja jumalia, bo i po fińsku wydano ów bestseller, i to jeszcze w 1924 roku.

Po tygodniu do Lahti dzwoni Anu. Erich von Ungern-Sternberg wrócił z odwiedzin u córki w Londynie i w najbliższą niedzielę oczekuje o wpół do trzeciej.

Ekskluzywna dzielnica parkowa Kaivopuisto; w pobliżu luksusowy dom czynszowy, w którym mieszka prezydent Urho Kekkonen, i ambasada radziecka. Trafiam pod właściwy adres. Parter zajmuje biuro architektoniczne. Na czwartym piętrze poselstwo meksykańskie i mieszkanie prywatne. Zjawiam się punktualnie, przewidując, że wizyta nie może potrwać dłużej niż pół godziny, no trzy kwadransy. Bo to przecież autentyczna arystokracja. Bon-tony itd. Otwiera starszy, siwy pan w złotych okularach, o ujmującej powierzchowności. Pani domu zna świetnie język Gogoła i Dostojewskiego. Zagrzebani w rodzinnych papierach, fotografiach, genealogiach, listach barona Romana, nie zauważyliśmy jak minęła północ.

Początek znajomości nie wypadł najlepiej. Ossendowski ma tu raczej kiepską opinię. Co zaś do leutnanta, który go odwiedził w przeddzień śmierci, to wręcz oświadczono, że „mongolski baron” bratanka nie posiadał, a pseudonimu Dollert nikt w rodzinie nie używał i cała sprawa wygląda na mistyfikację. Zrobiło mi się niewyraźnie. Właściciel pałacu w Żółwinie doskonale pamięta, że przybysz przedstawił się jako leutnant von Ungern-Sternberg. Rzekomy Oskar Romer twierdzi z całą stanowczością, że Ossendowskiego odwiedził Artur Dollert. Dżentelmeni o faktach nie dyskutują, wypada zatem zmienić temat rozmowy. Tematów dostarczyła osoba marszałka Finlandii Karola Gustawa Mannerheima, spokrewnionego przez żonę, córkę moskiewskiego policmajstra Arapowa, z Aleksandrem Puszkinem.

Baron Mannerheim piastował honorową funkcję podczas koronacji Mikołaja II. Później przemierzał konno stepy i pustynie Kaszgarii, Tybetu i Turkiestanu Wschodniego. W 1909 roku dowodził stacjonującym w Polsce 13 pułkiem ułanów włodzimierskich, a w pięć lat później gwardyjską brygadą kawalerii w Warszawie. Pozostawał w zażyłych stosunkach z polską arystokracją, szczególnie płci odmiennej. Jedną z Lubomirskich do końca życia była jego Wielką Miłością, choć miał ich zdaje się dość dużo. W konflikcie ze Związkiem Radzieckim kompleks antybolszewicki pchnął go w objęcia Hitlera. Do dziś w zamienionym na muzeum dość skromnym drewnianym domu Mannerheima, położonym tuż nad brzegiem Zatoki Fińskiej, wiszą w gablotach najwyższe odznaczenia faszystowskich Niemiec.

Pan Erich odziedziczył po przodkach pokaźnych rozmiarów bibliotekę zawierającą głównie pozycje dotyczące blisko dziewięciowiekowych dziejów rodu i niewątpliwie jest autorytetem w sprawach koligacji rodzinnych. Autorytet autorytetem, ale nie szkodzi sprawdzić, czy rzeczywiście Roman nie posiadał bratanka. Nie daję za wygraną i wracam do tej sprawy w czasie następnej wizyty. Mój rozmówca jest lekko zmieszany. Odszukał w papierach swego ojca list, jaki ten otrzymał w lutym 1953 roku od Arnedo von Ungern-Sternberga, wuja... Artura Doellerta (nie Dollerta). A więc jednak. Z czasem wejść w posiadanie kopii. Nadawca pisze, że Artur Doellert, biegle mówiący po rosyjsku, był w czasie wojny „czymś w rodzaju tłumacza”. Podczas odwiedzin w lecie 1953 roku opowiadał o „głupim traktowaniu Ukraińców”, bo przecież można było z nimi i z ludźmi Własowa przepędzić „całych tych bolszewików”.

Po partii biadoleń nad losem jakichś bliższych i dalszych krewnych (z dywagacji tych wynika, że autor listu dawno już przekroczył wiek emerytalny), czytamy, że siostrzeniec mieszka w małej miejscowości w Wirtembergii i ma przedstawicielstwo handlu dywanami. „Powodzi mu się dobrze, jest wdowcem, niespokojnym duchem. Szybko jeździ samochodem. Był niedawno w Hiszpanii, zaproszony przez żyjącego tam Cyryla Władimirowicza, który prawnie powinien być teraz carem i który wręczył mu swój manifest”.

Siostra Cyryla Władimirowicza jest żoną Ludwika Ferdynanda, obecnej głowy Hohenzollernów, a więc „[...] według tomu 7 naszej księgi rodzinnej on sam jest naszym kuzynem” etc. Uff, chyba starczy. Zapewne fakt silnego zaatakowania przez sklerozę szarych komórek wiekowego arystokraty spowodował, że pomylił on imię „Naszego przyszłego cesarza”. W rzeczywistości chodziło o pięćdziesięcioletniego dziś (ur. 30 VIII 1917 r.) Włodzimierza Romanowa, syna stryjecznego brata ostatniego cara, Wielkiego Księcia Cyryla.

Pan Erich, żywiąc szczerą antypatią do sprusaczonych gałęzi rodziny, uśmiecha się z politowaniem. Na moją prośbę, bo coraz trudniej przychodziło połączyć się w tym, kto, kogo i kiedy rodził, wyrysowuje drzewo genealogiczne. Jego ojciec Ernest von Ungern-Sternberg był stryjecznym bratem „krwawego barona” i dalekim kuzynem zmarłej przed kilkunastu laty Elizabeth von Ungern-Sternberg, która w 1921 roku rozwiodła się z pastorem Alfredem Doellert. A więc mamy rodziców ostatniego gościa Ossendowskiego. No dobrze, ale co z tego. Postanawiam zagrać w otwarte karty. Co wiadomo o testamencie „przyszywanego” stryjka i pozostawionym przezeń w Mongolii skarbie. Uderzenie jest mocne. Odpowiedź przychodzi z dużym opóźnieniem. Tym razem pani domu nie może powstrzymać się od komentarza, że „Costi i Leonia” ilekroć przyjeżdżali z Szanghaju i zaczynało się mówić na temat barona Romana, zawsze stawali się oschli i tajemniczy.

„Costi” - to Konstantin, rodzony i jedyny brat mongolskiego chana, z zawodu inżynier, który w okresie międzywojennym aż do 1940 roku mieszkał w Hsingkingu, stolicy cesarstwa Mandżukuo.

W Ułan Bator któryś ze znajomych Mongołów wspomniał to nazwisko w związku z nieudanymi próbami odszukania „skarbu Ungerna”. Czyżby jedna i ta sama osoba? A więc jednak dotarli do niego wieści o testamencie. A może już wszedł w jego posiadanie?

Treścią pisanych z Chin korespondencji są relacje o chorobach, dzieciach, podróżach, pozdrowienia. Raz na kilka lat. Tak, jak to bywa pomiędzy dość sobie obcymi krewnymi. Zrezygnowany chcę już machnąć ręką, kiedy wpada mi w oczy nowy adres. Już nie z Chin. Bo to rok 1942. Feldpostnummer 33 739, Ukraina. Pułkownik Konstantin von Ungern-Sternberg służył brunatnej ojczyźnie, walcząc przeciw tym samym co kiedyś braciszek wrogom. W tym też czasie mógł poznać leutnanta Artura Doellerta.

Czy coś mu wspomniał o „należącym” do ich rodziny, zrabowanym skarbie i podał nazwisko Ossendowskiego - nie wiadomo, ale jest to wysoce prawdopodobne. Okoliczności śmierci Konstantina nie są dziś wyjaśnione. Zginął w Wiedniu w przeddzień wkroczenia Armii Czerwonej. Został zastrzelony, wraz z żoną, w jednym z hoteli naddunajskiej stolicy. Zabójcą był niezidentyfikowany oficer SS, a z zajmowanego przez pułkownika pokoju zginęła tylko teczka z jakimiś papierami. Co zawierała, trudno powiedzieć. Baron Erich twierdzi, że nic na ten temat nie wie. Radzi zwrócić się do córki zamordowanej pary, wspomnianej już ambasadorowej. Wizyta dobiega końca. Otrzymuję zaproszenie na kolejne spotkanie.

W następną niedzielę wystawny obiad. Prawdziwy burgund. Atmosfera znacznie cieplejsza niż poprzednim razem. Po przejściu do gabinetu rozpromieniony Erich pokazuje jakąś starą księgę, wydaną w 1877 roku w Rewlu. Zawiera zbiór dokumentów wystawionych przez kancelarie panujących biskupów, sądy i klasztory, a dotyczących rodu bałtyckich baronów. Jeden z dokumentów, opatrzony kolejnym numerem 77, posiada mniej więcej następującą treść:

Zygmunt III, król Polski, rozkazuje Gertrudzie Wolde, wdowie po Fabianie von Ungern, zjawić się w ciągu sześciu tygodni w Warszawie na prośbę szlachetnego Filipa Orges von Ruttenberg, który ją pozywa, ponieważ nie zapłaciła należnej mu sumy i posiada bezprawnie jego dwór Ekenanger, przez co poniósł on straty w wysokości 4000 polskich talarów. Ma ona przedstawić swoje prawo i przywileje, w przeciwnym razie zostanie zmuszona do zanlacenienia wymienionej sumy i straty swojego zajętego dobra.

Warszawa w poniedziałek po niedzieli palmowej A.D. 1597.

Ot, jedna z tysięcy podobnych spraw, jakie musiały toczyć się przed sądami Rzeczypospolitej. Ciągłe nie rozumiem, dlaczego ona właśnie ma być przedmiotem szczególnego zainteresowania. Okazuje się, że chodzi tylko o podpis. Podpis sekretarza królewskiego, który nazywał się tak samo, jak piszący te słowa. Kacper Michałowski, chorąży czerski, zapewne nie przypuszczał, jak wielką oddał mi przysługę swoim istnieniem przed blisko czterystu laty. Niepotrzebne już były inne rekomendacje. Znalazło się jeszcze kilka listów, w których znani i nieznani korespondenci piszą na temat „mongolskiego barona” i Ossendowskiego. Coraz więcej faktów, dokumentów, nazwisk, dat. Co z tego, kiedy ani o cal nie zbliżyliśmy się do wyjaśnienia zagadki „tajemnicy Ossendowskiego”.

Przy okazji muszę wysłuchać skróconej wersji sagi rodzinnej gospodarza. „Wielka Encyklopedia Szlachecka” Żychlińskiego podaje, że osiadła w Inflantach gałąź rodu została przyjęta na sejmie w 1526 roku w poczet szlachty polskiej i otrzymała herb „Rola”. Encyklopedyczny Słownik wydany w Petersburgu w roku 1902, w tomie XXXIV informuje, że jest to ród hrabiowski i baronowski wywodzący się od Hansa Ungerna, żyjącego około 1269 roku wasala arcybiskupa ryskiego. Potomków owego Hansa spotykamy w szeregach krzyżackich pod Grunwaldem, a kroniki zakonu notują rzekomo nawet Wielkiego Mistrza o tym nazwisku, sprawującego tę funkcję kilkanaście lat po Konradzie Wallenrodzie. Von Ungernowie pod pretekstem wypełniania bogobojnej misji niesienia chrześcijaństwa tępią z zapalem plemiona Estów i Łotyszów. Jak pospolici zbójce napadają pod Rygą na kupców, trudnią się alchemią i korsarstwem. Tym ostatnim parały się z powodzeniem całe pokolenia zacnego rodu. Baron Piotr, właściciel zamku i latarni morskiej na wyspie Dago, jak pająk czyhał na ofiary, które znęcone światłem latarni skierowywały statki do brzegu podczas często panujących w tej części morza sztormów. Marynarze, kupcy, właściciele okrętów zawijających do bałtyckich portów ze zgrozą opowiadali o coraz to nowych zuchwałych wyczynach rozbójniczych karaweli Ungernów. Jeden z nich pochowany został nawet w Gdańsku. W początkach XVIII stulecia znany był Wilhelm Ungern alchemik i czarownik. Spłonął na stosie jako „brat szatana”.

Roman nie był pierwszym przedstawicielem rodu przemierzającym dalekowschodnie stepy i tajgi. Rodzony dziadek generała też trafił na Zabajkale, tylko nieco inną drogą. Kontynuując niejako rodzinny proceder łupił do czasu kupieckie statki na Oceanie Indyjskim. Bałtyk był już za ciasny. W końcu noga mu się powinęła. Kompani powędrowali na reje, a szlachetnie urodzonego wydano władzom rosyjskim, licząc widać, że poniesie zasłużoną karę. Pirata uratowała słabość cara Piotra III do bałtyckich Niemców i być może wstawienictwo jego adiutanta generała Karola Karolowicza również von Ungern-Sternberga. Skończyło się na zesłaniu. Przed śmiercią miał przyjąć buddyzm.

Drzewo genealogiczne mongolskiego chana przedstawia się imponująco. On sam podczas procesu przed trybunałem rewolucyjnym w Nowonikołajewsku wspomina o osiemnastu pokoleniach przodków, poczynając od księcia Rusi Halickiej Jarosława Ośmiomysta. W 1188 roku dwóch wnuków księcia, Wasylko i Iwan, wyparty przez krewniaków z rodzinnego Przemyśla, ratując życie zbiegło na Węgry. Od jednego z nich wziąć miał początek ród panów „de Ungaria”. Wprawdzie niektórzy twierdzą, że przeprowadzenie dowodu na pochodzenie większości mieszkańców PRL od króla Kazimierza Jagiellończyka nie stanowiłoby dla nich zbyt skomplikowanego problemu, ale to już inna sprawa. Pozostaje jeszcze drugi człon rodowego nazwiska. Sternberg - to nazwa herbu. K. Niesiecki w Herbarzu Polskim tak o nim pisze:

„Gwiazda w błękitnym polu złota o ośmiu rogach, w hełmie pawi ogon. Nadany został w czasie najazdu Tatarów, po bitwie pod Legnicą w 1241 roku. Wódz tatarski Pera doszedł aż pod mury miasta Ołomuniec na Morawach. Jeden z rycerzy kawalerii czeskiej, Jarosław, rozgromił jego oddział, a samego wziął do niewoli. Za czyn ten król Wacław dał mu zamek Sternberg oraz herb od zamku”.

Na początku sagi pojawia się zatem legendarny protoplasta, wnuk czy może prawnuk przemyskiego Wasylka, Jarosław (Rosław, Rolf), który wraz z poczem zbrojnym przywędrował do Inflant, ale herb Sternberg przyjmują Ungernowie dopiero w XVII wieku.

Wcześniejszy, najstarszy herb „panów de Ungaria” zdobią złote lilie i gwiazdy na błękitnym tle. Ma to być jeszcze jeden dowód na pochodzenie od książęcego rodu Rusi Halickiej. Te same bowiem heraldyczne lilie i gwiazdy występują na majestatycznej pieczęci króla Jurija (1252-1308), rodzzonego szwagra Władysława Łokietka i na... płaszczu Matki Boskiej Częstochowskiej.

Obraz ten rzekomo miał być własnością galicyjskiej linii Rurykowiczów. Razem ze wspomnianymi wnukami Jarosława Ośmiomysta znalazł się na Węgrzech i dopiero stąd trafił do Polski. Ciekawe, co by powiedzieli oo. paulini z Jasnej Góry, gdyby któryś z von Ungern-Sternbergów usiłował dochodzić

swych praw do najświetniejszego w Polsce wyobrażenia Matki Boskiej, ofiarowanego im jeszcze w 1382 roku przez Władysława Opolczyka, fundatora klasztoru. Piast śląski Władysław Opolczyk, słynny ze zdzierstw i rabunków namiestnik króla Węgier na Rusi Halickiej, zanim został zbrojnie wyparty z tych ziem przez wojska Władysława Jagiełły i Jadwigi, zdołał sobie tylko wiadomymi sposobami wejść w posiadanie sławnej już wówczas ikony. Czyją była przed tym własnością - nie ustalono do dziś. Uwierzyć w prezentowaną wyżej wersję można. Opolczyk, otrzymawszy od Ludwika Węgierskiego ziemię wieluńską, osadził w Częstochowie szesnastu mnichów z Budy, gdzie zakon pod wezwaniem św. Pawła Pierwszego Pustelnika istniał od XII w. Generał zakonu jeszcze przez pięć wieków rezydował na Węgrzech.

Przesiedliwszy się na wybrzeża Bałtyku, Ungernowie z nawiązką wynagrodzili sobie poniesione przez legendarnych przodków rzeczywiste czy urojone straty. Obok wojny, a raczej równoległe z nią, uprawiali „rzemiosło” polegające na pospolicym rozboju i grabieży karawan kupieckich i statków handlowych. Jakże mogło być inaczej, skoro wojna, handel i rozbój zawsze były - jak pisał Goethe - nierozłącznymi siostrzycami. Czasem obierali karierę polityczną, osiągając wysokie godności na dworach władców państw ościennych. Nie tylko oni zresztą. Ród kurlandzkich baronów Wrangli wydał wybitnych mężów stanu Szwecji, żeglarzy i odkrywców carskiej Rosji i... deputowanych do Bundestagu Anno Domini 1970.

Mathias Aleksander von Ungern-Sternberg oddawszy jakieś przysługi „partii kapeluszy”, został marszałkiem Szwecji. Walcząc przeciw Prusom, poniósł gdzieś na Pomorzu klęskę i zmarł w niesławie. Nie miałbyśmy powodów, aby pamiętać o niefortunnym marszałku, gdyby nie fakt, że jego portret znajduje się w tej chwili gdzieś w NRD lub Polsce, razem z podobiznami czterech innych antenatów mego gospodarza. W Polsce? Początkowo przyjmuję tę informację sceptycznie. Gdzie? Czyżby w jakimś muzeum? Nie. Po prostu zamurowano go na strychu domu w małym miasteczku Naumburg am Bober. Pan Erich dysponuje jedynie przedwojennym atlasem, ale bliskość Zielonej Góry nie pozwala mieć wątpliwości, że chodzi o miejscowość na naszych Ziemiach Odzyskanych.

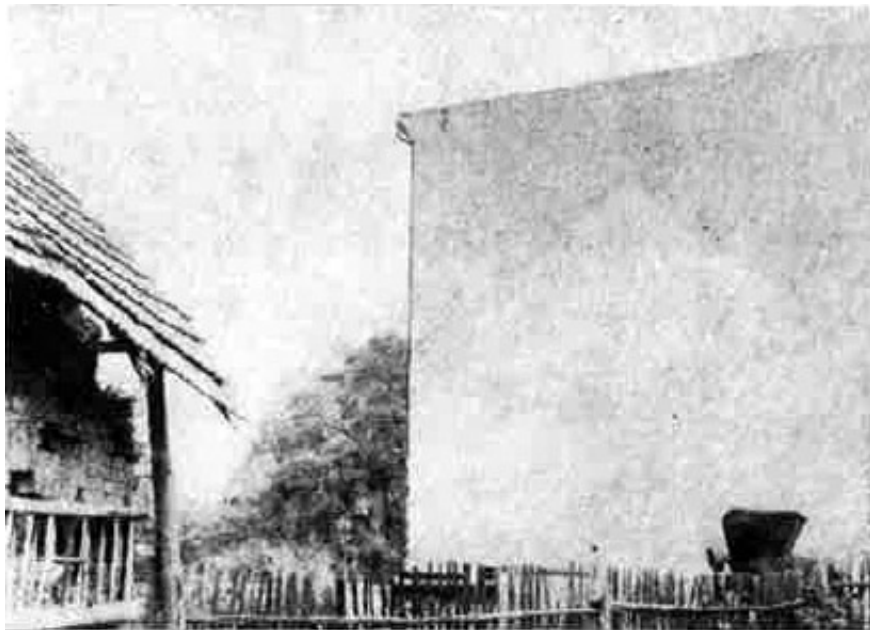
Tu czytelnikom należy się parę słów wyjaśnienia. Ojciec pana Ericha materiałami dotyczącymi stryjecznego brata zapełnił pokaźnych rozmiarów teczkę. Założmy, że zbierał je tak sobie. Po prostu dla pamięci potomnych o najświetniejszym w jego pokoleniu nosicielu rodowego nazwiska. Dziwnym trafem do owej teczki trafiły listy kuzyna z Wuppertal Barmen, zarówno ten z roku 1932, jak i ten z 1953, o Doellercie. Krytyczne wypowiedzi i opinie różnych osób o prawdomówności Ossendowskiego, listy z Mandżurii pisane przez Konstantina i jego żonę, zdjęcia grobów jakichś Ungernów pochowanych w Tokio i, ni stąd, ni ząd, ni zowąd, krótka notatka o ekspedycji naukowej z 1932 roku, w której wziął udział profesor geografii z Królewca doktor Ploetsche. Ekspedycja działała w południowo-zachodniej Bardze w okolicach jeziora Buir nur, a kierował nią... inżynier Grochowski. Już pobieżne zapoznanie się z zawartością teczki wskazuje, że jej założyciela interesował nie tyle chan Roman, ile krąg osób, z którymi utrzymywał kontakt w ostatnich latach przed śmiercią, i losy jakichś papierów, które komuś przekazał. Część z nich do II wojny światowej znajdowała się w posiadaniu ciotki pana Ericha, a więc również stryjecznej siostry Romana, baronowej Annelise von Harpe.

Baronowa do ostatka wytrwała na posterunku w rodowej posiadłości Parnell w Estonii. Na wieść o ofensywie Armii Czerwonej spakowała w kufry najcenniejsze pamiątki rodzinne, stare srebra, broń, portrety, dokumenty i uciekła w głąb Rzeszy. Najprawdopodobniej testament mongolskiego chana był wówczas w jej posiadaniu, o ile nie trafił już wcześniej do rąk inżyniera Konstantina. Trasa podróży baronowej w pierwszym etapie wiodła do Poznania. Tam mieszkali spolszczeni już zupełnie potomkowie brabanckiego pułkownika Karola von Ungern-Sternberga, którzy przyjęli w XVII wieku nazwisko P. Być może liczyła na gościnność i współczucie. Tej pierwszej zapewne jej udzielono. Prawdopodobnie u poznańskich krewnych nie czuła się jednak dobrze. Przecież Jan P. był więziony wówczas w Oświęcimiu, a Bogdan P. walczył w powstaniu warszawskim. A może zamieszkała u skoliżonych z Ungernami von Essenów.

Księgi genealogiczne Ungernów odnotowały i ukraińską gałąź tej rodziny. Dziad pana Ericha korespondował z Izabellą Ungern, panią na Stajenkach i Podbereziu w guberni mohilowskiej, spowinowaconą z książętami Czetwertyńskimi. Na dawnych kresach Rzeczypospolitej zamieszkiwali Taubowie, również dość bliscy krewni. Profesor doktor Michał baron von Taube jest autorem wydanej w 1940 roku w Tartu „Ungern-Sternberg Ursprung und Anfänge des geschlechts in Liwland”. Chyba z tej samej rodziny pochodzili naczelnik sztabu bolszewickiego „czerwony generał” i były rotmistrz Pułku Ułanów Jazłowieckich, zmarły w 1971 roku w Warszawie.



Reinhold von Ungern-Sternberg (1658-1713)



Tu stal dom Elise Kuske



Ten człowiek walczył z Ungernem



Skalne rozpadliska kryją jeszcze niejedną tajemnicę.

„Genealogisches Handbuch” wymienia również jakiegoś Romana Eugeniusza von Ungern-Sternberga, który zginął w Poznaniu w lutym 1945 roku, zapewne w mundurze feldgrau. Baronowa von Harpe niewiele później musiała opuścić miasto. Wiosną tegoż roku, a więc w marcu lub kwietniu, pojawia się w Naumburg am Bober, gdzie zatrzymała się w domu niejakiej Elise Kuske przy ulicy Samtrig 60. Taki przynajmniej adres nosiła ostatnia kartka, jaką przysłała do Finlandii. W miasteczku pozostawiła rodowe dokumenty i pięć portretów przodków. Co dalej się z nią stało - nie bardzo wiadomo. Elise Kuske po wojnie wyjechała do Niemiec, bo Naumburg am Bober to znana jeszcze w czasach pierwszych Piastów osada Nove Castro i gród kasztelański na Ziemi Lubuskiej. Dziś nosi nazwę Nowogród Bobrzyński.

Portrety, z wyjątkiem jednego, malowali nieznanymi artystami. Autorem ostatniego jest znany i modny malarz drezdeński z końca XVIII wieku T. Pochman. Wątpliwe, aby bliżej nieznanymi turystom poszukującym wiosną 1970 roku tych właśnie portretów, a przejeżdżających przez Nowogród samochodami z rejestracją zachodnioniemiecką, chodziło o odnalezienie dzieł sztuki. Może komuś zależy na odzyskaniu pamiątek rodzinnych? To już bardziej prawdopodobne. Prawdziwą przyczyną rozpytywania mieszkańców miasteczka i wyznaczenia pokaźnej nagrody w dewizach za wskazanie miejsca, gdzie są ukryte malowidła jest chyba coś innego. Istnieją poważne podstawy, aby przypuszczać, że Annelise von Harpe razem z portretami pozostawiła dokumenty rodzinne i... testament mongolskiego chana. Ale czy w Nowogrodzie Bobrzyńskim? - jak to twierdzi część żyjących dziś von Ungern-Sternbergów. Razem z portretami? Wojewódzcy konserwatorzy zabytków i dyrekcje placówek muzealnych w całym kraju nic o nich nie wiedzą. Znajdują się więc w dalszym ciągu gdzieś w Polsce, chyba że uległy zniszczeniu lub via DESA wywędrowały za granicę. Dwa z nich odnalazły się już. We wrześniu 1970 roku były w posiadaniu pana Krzysztofa P., młodego historyka sztuki, który już nie używa pierwszego członu nazwiska von Ungern-Sternberg, ale czy są to oryginały, czy też tylko kopie?

Od pewnego czasu Krzysztof P. koresponduje z - jak sam to żartobliwie określa - „dalekim kuzynem” Jurgenem von Ungern-Sternbergiem, niemieckim przemysłowcem. Spotkali się nawet na Targach Poznańskich. Pan Jurgen zna Polskę dość dobrze, jeszcze z lat młodości. Zwiedził wtedy Warszawę, Lublin, Lwów i inne miasta, ale chętnie przyjeżdża i dziś, bo wtedy przełożeni nie zawsze dawali mu przepustki. Krajem naszym jest zachwycony, zwiedza muzea, zabytkowe kościoły, pałace. Zachowuje się kulturalnie, dyskretnie. Za wszystko płaci dewizami. Postępuje zawsze zgodnie z obowiązującymi przepisami. Przez Nowogród przejeżdża, jadąc samochodem od punktu granicznego w Świecku do Poznania. Miasteczko leży prawie po drodze. Nie zatrzymuje się w nim, nie ma po co. Żadnych dzieł sztuki nie poszukuje. Jest przecież przemysłowcem.

* * *

Późny listopadowy wieczór. Wjeżdżając do miasteczka w strumieniach deszczu nawet nie zauważyłem, kiedy stanąłem na rynku. Miasteczko - to chyba powiedziane trochę na wyrost. Każda ulica prowadzi w pole, kończąc się w kartoflach. Ale rynek imponujący. Kwadratowy. Solidny. Wybrukowany kocimi łbami. U kogo by tu zasięgnąć języka.

Zacznijmy od księdza proboszcza. Może posiada stare księgi parafialne. Nic z tego. Proboszcz nastąpił stosunkowo niedawno i ani mu w głowie zajmować się jakimiś głupstwami.

Trafiam do najstarszych mieszkańców. Pod czujnym konwojem pomocników i konsultantów, nie zważających na ciemności i jesienną szarugę, po kolei odnajduję poszczególne adresy. Większość indagowanych pochodzi z Bugu. Przypominając sobie pierwsze dni w Nowogrodzie, zwykle twierdzą, że przed nimi już tu ktoś był. I że może to on właśnie znał Elisę Kuske. Krąg z wolna zacieśnia się. W końcu wszyscy zgodnie stwierdzają, że najwięcej mógłby mieć do powiedzenia Pracuta. Mieszka w Nowogrodzie od 1914 roku. Służąc w armii carskiej dostał się do niewoli niemieckiej i został stangretem w pobliskim majątku jakiegoś junkra. Przeżył tu całe swoje życie. Niektórzy wprawdzie twierdzą, że tkwiła w tym jakaś romantyczna historia, ale tego dociekać nie zamierzam.

Zdobycie zaufania dziadka nie przychodzi łatwo. Ależ oczywiście, znał nie tylko Elisę Kuske, ale pamięta i tę starą zwariowaną baronową, która zatrzymała się u niej na parę dni. Żeby nie reumatyzm, to by był gotów nawet pokazać miejsce, gdzie stał ten dom. Spłonął od radzieckiego pocisku. Drewniany był. Ale wszyscy przenieśli się wówczas do sąsiedniego murowanego budynku i ten ocalał. Tuż po wyzwoleniu odniósł na posterunek parę sztuk ozdobnej jakimiś dziwnymi herbami broni, której już nawet na japońskiej wojnie nie używano. Przywiozła ją chyba baronowa. Dawna ulica Samtrig to zaledwie parę domów przy małym placu, położonym na tyłach trzynastowiecznego kościoła św. Bartłomieja. Miejsce, gdzie stał dom Elise Kuske, zajmuje dziś kuźnia i warsztat naprawczy miejscowego POM. Na sąsiednim budynku znać tylko zarys dachu niższej odeń budowli.

Nowogród stracił prawa miejskie. Nie ma minimum mieszkańców, które by mu je przywróciły. Życie płynie sennie, spokojnie, cicho. Ostatnio jednak zakłócają je lokalne sensacje. Na strychu plebanii odnaleziono księgę pamiątkową obrońców poczty polskiej w Gdańsku. Jakimi drogami tu zawędrowała, nikt nie jest w stanie powiedzieć. Dlatego gospodarz powiatu, w którym leży Nowogród, a więc przewodniczący Prezydium PRN w Zielonej Górze, nie jest zdziwiony, gdy mu komunikują, że w Nowogrodzie mogą być również jakieś portrety, dokumenty i... pisany gdzieś nad Selengą testament.

Wozacy niwelujący teren po domu Elise Kuske nic nie znaleźli, ale do piwnic nie zaglądali, zasypując je po prostu kupą gruzu. W najbliższym sąsiedztwie ulicy Samtrig jest stary cmentarz z okazałymi ongiś nagrobnymi kaplicami miejscowych notabli. Piekarzy, rzeźników, młynarzy. Może w którejś z nich ukryto kufry baronowej von Harpe. Czy dziadek Pracuta aby się nie myli. Może baronowa tylko odwiedziła swoją pokojówkę, bo, na miły Bóg, chyba nie znajomą, przyjaciółkę. Von Ungernowie nie zwykli bratać się z pospólstwem, domek frau Elise Kuske do najokazalszych nie należał, a ona była córką miejscowego restauratora i zarazem właściciela niedużego zajazdu, no powiedzmy hoteliku. Baronowa mogła w nim zatrzymać się na jedną noc. Dlaczego zatem podała ten adres, wysyłając kartkę do rodziny. Zagadka wyjaśnia się po rozmowie z jednym z nielicznych autochtonów, prowadzących kuźnię w leżącej o sześć kilometrów wsi Drągowina.

- U Kuske na pięterku mieszkał listonosz.

Sprawa jest prosta. Leciwa dama, nie czując się najlepiej i mając nerwy nadwężone trudami ucieczki, informuje rodzinę, w jaki sposób mogą najprędzej ją odnaleźć. Zapewne nie była jeszcze w pełni zdecydowana, gdzie się uda. Należy sądzić, że wszystkie dwory okolicznych junkrów stały przed nią otworem. Zaledwie pół setki kilometrów na północ od Nowogrodu już w XIII wieku arcybiskup Konrad ze Sternbergu założył gród (dziś Torzym) i wybudował zamek. Cała ziemia nosiła odtąd nazwę sternberskiej. Od 1450 roku władała nim rodzina von Winningów, trudniąca się systematycznie rozbojem i napadami na kupców brandenburskich, śląskich, polskich. W roku 1506 król polski Zygmunt i elektor brandenburski Joachim zrównali z ziemią zbójckie gniazdo. Panem pobliskiego pałacu Talleyrandów w Żaganiu był Peter Fiirst von Sagan und Kurland, książę kurlandzki. Annelise von Harpe nie musiała szukać schronienia i opieki u jakiejś tam córki restauratora, noszącej na dodatek tak brzydko ze słowiańska brzmiące nazwisko Kuske. Mylnym tropem podążają ci, którzy zamierzają przekopać piwnice przy dawnej Samtrig 60. Wątpliwe, aby odnaleźli tam testament i wskazówka co do ukrycia zrabowanych podczas mongolskiej awantury bogactw.

Przewodniczący jako młody chłopak służył w szeregach organów bezpieczeństwa, ochraniając początki naszej administracji na odzyskanym po wiekach terytorium. Pamięta z tamtych lat dość dziwne wydarzenie. W Zatoniu w oficynie pałacu należącego do jakichś von... spalonego w czasie działań wojennych, znaleziono na barłogu ze słomy dogorywającą starszą kobietę. Była to ranna od zabłąkanej kuli Niemka, która nie uciekła razem z właścicielami majątku. Zaopiekowali się nią pierwsi osadnicy. Twierdziła, że jest baronową. Nie chciała wyjechać z pierwszym transportem do Niemiec. Po prawdzie, to ciągle było z nią kiepsko. Władze miały przez to nawet nieco kłopotu. Po paru miesiącach zmarła. Przed śmiercią powiedziała gospodarzowi, opiekującemu się nią z prostej ludzkiej litości, gdzie schowała złoto, srebrne naczynia, biżuterię, jakieś obrazy i dokumenty. Kiedy zamknęła oczy, chłopina natychmiast to odnalazł, zniósł do własnej stodoły i ukrył pod słomą. Może nikt by się nie dowiedział, ale następnego dnia przyjechało jakichś dwóch, którzy, podając się za funkcjonariuszy UB, wsypali mu zdrowo i zabrali wszystko. Sprawa wydała się rychło po interwencji u komendanta Urzędu Bezpieczeństwa w Zielonej Górze, aby pouczył podwładnych, że bić nie wolno. Ten oczywiście o niczym nie wiedział. Zarządzone śledztwo utknęło w miejscu. A o rzekomych funkcjonariuszach i ukrytych pod słomą rzeczach słuch zaginał. Żadnych papierów nie zabierali. Niepotrzebne były nikomu. Wiatr je rozniósł po okolicznych polach, gdy rozwalili wypełniony nimi kufer, wściekli, że nic innego tam nie było.

Zatoń leży w odległości niespełna 20 kilometrów od Nowogrodu. Za czasów niemieckich wieś nosiła nazwę Guntersdorf, a do jej właścicieli należało parę innych majątków w najbliższej okolicy. Nazwiska owej Niemki dziś nikt już nie pamięta. Mogła to być Annelise von Harpe.

Baron Erich twierdzi z całą stanowczością, że portrety pozostały w Naumburg am Bober. Przez różne stowarzyszenia i ziemstwa powoli odnajduje na terenie Niemieckiej Republiki Federalnej ludzi, którzy mogli się spotkać z jego ciotką. Elise Kuske na razie nie odnalazł, dowiedział się tylko tyle, że jej dom spłonął już po przejściu frontu i że na jego podwórku stacjonowały „organy Stalina” - tak przegrywający wojnę żołnierze niemieccy nazwali „katusze”.

Z poszukiwań portretów antenatów nie rezygnuje. Choć minęło już parę lat od mojej wizyty w Helsinkach, korespondujemy w dalszym ciągu. Dość rzadko, ale systematycznie. Opracowując na zlecenie telewizji scenariusz filmu o krwawym watażce znad Bałtyku, zwróciłem się do barona Ericha z prośbą o przesłanie kopii oryginalnych dokumentów i zdjęć. Mówiąc szczerze, nie bardzo wierzyłem, aby zechciał je udostępnić, wiedząc do jakiego celu je wykorzystam. Starszy pan sprawił mi jednak niezwykle miłą niespodziankę, o czym zresztą mogli się przekonać telewidzowie, oglądając na srebrnym ekranie nie tylko listy generała Ungerna, ale również jego samego jako rozkosznego chłoptysia w wieku lat siedmiu. Żarty na bok. Po emisji wspomnianego filmu, wyświetlanego w serii „Znaki zapytania”, okazało się, że w Polsce żyje jeszcze parę osób, które oglądały na własne oczy ostatniego chana mongolskiego, bądź też zetknęły się z nosicielami tego nazwiska. Informacje, jakie

zawierały przesłane przez nich pod adresem Telewizji Polskiej korespondencje, nie wnosily w zasadzie nic nowego do znanej już opowieści. Chociaż? Ale oceńcie je drodzy czytelnicy sami.

Pierwsze napisała mieszkanka Olsztyna, wdowa po lekarzu kozackiego pułku stacjonującego w Jekatierinonikolsku nad Amurem. Znała barona Romana osobiście jeszcze przed 1918 rokiem. Bywał nawet częstym gościem w jej domu. Na moją prośbę próbuje naszkicować jego sylwetkę, zainteresowania, sposób bycia. Udaje się jej to nawet całkiem nieźle. Staruszka nie orientuje się wprawdzie zbyt dobrze w politycznych zawiłościach lat jej młodości, ale za to zapamiętała doskonale, jak to pewnego razu śmiała się z przyszłego chana, który wybierał się właśnie do Mongolii, że czeka tam na niego mandżurska księżniczka. Miał pani doktorowej wtedy odpowiedzieć, że ożeni się tylko z nią, „ponieważ wypieka wspaniałe mazurki, ale i jakaś pani Z. też bardzo by mu się przydała, bo to mistrzyni od zakusoków”. Reszta wspomnień ma podobny charakter.

Drugi list, od pana S. z Gdyni, również nie zawierał rewelacji. Najciekawszy jego fragment wart jest jednak zacytowania.

[...] bo ja właściwie byłem osobiście na sądzie barona Ungerna, wówczas 21-letni obywatel. W rozprawie sądowej nie były poruszane sprawy skarbu i tej tajemnicy, jedynie mówiło się i udowadniało okrucieństwo generała za co został przez trybunał wojskowy skazany na rozstrzelanie w wyroku zapadniętym o godzinie 3 po moskiewskim czasie.

Natomiast kolejna korespondencja zasługuje już na większą uwagę. Nadesłał ją mgr G. z Poznania. Z nieznacznymi skrótami brzmiała jak następująco:

W ukazanym migawkowo [na ekranie TV przyp. W.M.] publikacjach prasowych odczytałem nazwisko „v. Petzold”. W związku z tym pozwałam sobie przesłać pod adresem redakcji krótką informację na temat nazwisk „von Petzold” i „Ungern-Sternberg”, z którymi spotkałem się w czasie wojny.

W latach 1938-39 pracowałem w biurze zarządu gminy Bytoń z siedzibą w Nowym Dworze, powiat Radziejów Kujawski w woj. bydgoskim. W czasie wojny zatrudniony byłem również w tym Urzędzie, jako jeden z trzech Polaków, w charakterze pomocniczej siły biurowej. Miałem więc dostęp do niektórych dokumentów, np. dowodów meldunkowych ludności. W tym czasie spotkałem się z wymienionymi nazwiskami. Po ewakuacji Niemców z krajów nadbałtyckich nastąpiło osiedlanie tzw. Baltendeutschów również na terenie Wielkopolski i Kujaw. Niemcy ci otrzymywali majątki ziemskie po wysiedlonych Polakach. Między innymi w majątku Bytoń, w powiecie Radziejów Kujawski osiedlił się Baltendeutsch Johann von Petzold (nie pamiętam, czy pochodził z Estonii, czy też z Łotwy). Żona Petzolda, Dorothea, była z domu baronówną (baronin) Ungern-Sternberg. Petzoldowie byli w wieku około 35- 40 lat, i o ile dobrze pamiętam, mieli dwoje małych dzieci. W ostatnich latach wojny Johann von Petzold został zmobilizowany do wojska. Przed wkroczeniem na teren Kujaw wojsk radzieckich i polskich żona Petzolda ewakuowała się wraz z dziećmi na Zachód. Więcej o tej rodzinie nie słyszałem.

Może Petzoldowa posiadała jakieś dokumenty rodziny Ungern-Sternbergów? Pytanie na razie zawisło w próżni. Idąc za radą mgr G. zwracamy się do Gromadzkiej Rady Narodowej w Nowym Dworze i Archiwum we Włocławku, aby potwierdzić informacje i uzyskać bliższe dane personalne Petzoldów. Niestety, po długim oczekiwaniu otrzymuję odpowiedź negatywną. Może po prostu nie chciało się nikomu przekopywać przez stosy ponemieckich akt, zmagazynowanych zapewne w jakimś kącie piwnicy. Okazało się, że nie było to potrzebne, albowiem zapytany o tę rodzinę niezawodny pan Erich wyjaśnił, że von Petzold pojął za żonę jego młodszą siostrę. Szwagier dostał się w czasie wojny do niewoli angielskiej, a siostra zaprzęgiem konnym wyjechała z Polski do Niemiec. Następne zdanie z listu, który otrzymałem z Helsinek, również dotyczyło pani Petzoldowej. „She later corresponded with Frau Kuske” (Później korespondowała z panią Kuske). Oznacza to, że młodszą siostrą pana Ericha

utrzymywała łączność z tą samą Frau Kuske, u której miała się zatrzymać baronowa Annelise von Harpe, uwożąc na zachód najważniejsze papiery rodu von Ungern-Sternbergów. A więc jednak...

Rozłóżmy na stole mapę Europy. Zaznaczmy kółkami czy krzyżykami wszystkie miejscowości, gdzie odnotowano obecność przedstawicieli rodu von Ungern-Sternbergów na krótko przed ostateczną agonią III Rzeszy. Byli to: Roman Eugeniusz zaginiony w Poznaniu, Jurgen oraz Artur Doellert i Joachim von Petzold. Zapomnieliśmy o rodzonym bracie „krwawego barona”; zginie dopiero w maju 1945 roku. Być może każdy z tych panów poszukiwał owego Polaka, który miał znać miejsce ukrycia kasy Azjatyckiej Dywizji Konnej. Na szlaku exodusu z Estonii do Vaterlandu leży nie tylko Nieszawa, co jest raczej przypadkiem, Ziemia Lubuska i Poznań, ale również Bytoń. Na tym szlaku mógł pozostać testament ostatniego mongolskiego chana.

CAGAN TOŁOGOI.

Antoni Ferdynand Ossendowski i Kamil Giżycki mogli stać się z czasem jedynymi ludźmi, którzy chyba jednak wiedzieli, gdzie ukryto kasę Azjatyckiej Dywizji Konnej, wywiezioną z Urgi na wieść o zbliżaniu się wojsk rewolucyjnych. To tłumaczyłoby ich długoletnią dyskrecję w tej sprawie, a może i... dość poważne zasoby materialne, jakimi później obaj dysponowali. Od biedy można uwierzyć, że honoraria wypłacane Ossendowskiemu przez wydawców jego książek w kraju i za granicą umożliwiły mu odbywanie dalekich podróży, uczestniczenie w afrykańskich safari etc. Ale Giżycki? Na zakup w Afryce w 1934 roku 7500-akrowej działki i wykarczowanie jej w celu uprawy rycynusu trzeba było mieć środki, i to niemałe.

Plantacja Giżyckiego była położona zaledwie 120 kilometrów od Monrowii, przy głównym trakcie samochodowym, biegnącym przez Gbangę w kierunku granicy z Gwineą i Wybrzeżem Kości Słoniowej. W połowie lat trzydziestych wśród nielicznej polskiej kolonii żyjącej w Liberii Giżycki odgrywa już rolę pierwszoplanową. Doskonale zna miejscowe stosunki, języki, umie rozmawiać z plemiennymi kacykami.

Instalując nowego konsula honorowego Rzeczypospolitej w Liberii, generał Orlicz-Dreszer, prezes Ligi Morskiej i Kolonialnej, gorący polski patriota, dziwnym zbiegiem okoliczności również należący do rodziny bałtyckich baronów, kieruje pismo rekomendujące właśnie na Rappatown, gdzie rezydował Giżycki. Autorytetu, kontaktów i popularności nie zdobywa się od razu. Na to trzeba zapracować wieloletnim pobytom, jeśli nie w samej Liberii, to w innych krajach Czarnego Łądu. Istotnie, przez dziesięć lat, jakie upłynęły od pożegnania z Dalekim Wschodem, jako etnograf-amator zwiedzał - używając dzisiejszej terminologii - kraje Trzeciego Świata. Pływał po morzach południowych, przesyłając korespondencje i zbierane eksponaty do kraju. Z plantacji się wówczas nie utrzymywał, bo jej po prostu jeszcze nie posiadał. Po jej założeniu okazało się, że gospodarowanie na swoim nie bardzo mu wychodziło. Szarańcza zżerała plony. Konkurencja wszechwładnie panującego w Liberii amerykańskiego koncernu „Firestone” silnie dawała się we znaki. Ostatecznie całe przedsięwzięcie szybko zbankrutowało. Ale jeszcze w 1935 roku, gdy grupce polskich przyszłych plantatorów zabrakło 880 dolarów na opłaty skarbowe za pomiar i wytyczenie działek, bez mrugnięcia okiem sumę tę wyklada z własnej kieszeni. Pokrywa koszty paromiesięcznego pobytu w Liberii ekspedycji naukowych profesora lwowskiego uniwersytetu Jana Hirschlera. Wynajmuje i opłaca murzyńskich tragarzy, gości uczestników ekspedycji na swojej fermie, pomaga w kolekcjonowaniu okazów przyrodniczych. Są to tak zwane gołe fakty.

Widzę, że niektórzy czytelnicy gotowi są już uwierzyć, że porucznik Giżycki uszczknął co nieco z kasy Azjatyckiej Dywizji Konnej. Nie należy się spieszyć w ferowaniu ostatecznych sądów.

W Archiwum Akt Nowych w Warszawie znajduje się ocalałe dokumenty przedwojennego MSZ. Postrzępione teczki opatrzone polskimi i rosyjskimi napisami, bo w 1939 roku zawędrowały chyba gdzieś na Ukrainę, nie zawierają zbyt wielu dokumentów. Te, które zostały, są wystarczająco intrygujące. Na przykład wycinki prasowe z wychodzącego w Monrowii tygodnika, w którym niejaki NnAmdí Azikiwe opublikował artykuł „Poland wants Liberia”⁸⁰ i prawie dwa lata późniejsze wystąpienie na łamach wydawanego w Nowym Jorku emigracyjnego czasopisma zatytułowane „Poland must not

⁸⁰ „The Weekly Mirror”. R. 1936, nr 29.

tauch Liberia"⁸¹. Obaj czarnoskórzy politycy namiętnie atakują nasz kraj za rzekome zakusy na niepodległość Liberii i chęć uczynienia jej swoją kolonią. W sprawie owych „zakusów” wypowiedzieć by się mogli autorzy sprawozdań i memoriałów kierowanych do wysoko postawionych osobistości przedwojennego MSZ i Ligi Morskiej i Kolonialnej. Sprawa na pewno warta szerszego potraktowania.

Sytuacja wewnętrzna w małym, utworzonym w 1847 roku przez kilkanaście tysięcy wyzwolonych niewolników amerykańskich państwie była nader skomplikowana. Otrzymawszy 100 000 dolarów od Białego Domu i zgodę na nazwanie stolicy imieniem prezydenta Stanów Zjednoczonych Monroego, byli właściciele niewolników zapomnieli o czarnych braciach zza oceanu. Ci jednak radzili sobie, jak umieli. Postępując wzorem dawnych panów, zamienili ludność tubylczą, liczebnie przewyższającą ich kilkunastokrotnie, ale nie znającą języka angielskiego, w coś pośredniego między niewolnikami a chłopami pańszczyźnianymi. Dopiero pojawienie się w połowie lat trzydziestych znacznych ilości nowoczesnej broni palnej wśród autochtonów, coraz śmieiej domagających się pełni praw obywatelskich, wzbudziło niepokój elity rządzącej, a także Amerykanów, którzy zainwestowali tu znaczne sumy na założenie ogromnych plantacji kuczuku. Dość podać, że do jednego tylko koncernu „Firestone” należało około 350 000 hektarów plantacji. Dobrze, ale co z tym wszystkim miał wspólnego Giżycki? Materiały przechowywane w Archiwum świadczą, że plantatorzy nasi zostali skłonieni do opuszczenia Liberii przez rząd tego kraju, ponieważ „sprzedawali broń i strzelby myśliwskie”. Strzelby te razem z innymi towarami miały się znaleźć w rejonie Rappatown, przywiezione z Polski na s/s „Poznań”. Czy dla zauszników koncernu „Firestone” nie był to tylko pretekst, aby pozbyć się niewygodnych świadków i konkurentów? A może chodziło o „inne towary przywiezione na s/s «Poznań», które po cenach dumpingowych z licytacji sprzedawał Syndykat Plantatorów Polskich”, postępując według poufnej instrukcji, którą posiadał Giżycki? Dobrze poinformowani mogą się spierać. Ustępuję im pola. Przyszły agent konsularny w Marsylii, literat - bo taki zawód podał na kwestionariuszu z 1935 roku - mógł więc posiadać środki na wykonywanie określonych zleceń. Wcale nie musiał pełną ręką czerpać z baronowskiej kasy. Kilkakrotnie na wielkie safari zapraszał Ossendowskiego. Nic dziwnego, starzy znajomi, których łączy świadomość przeżytych wspólnie dramatycznych chwil w Mongolii. Zaraz, zaraz. Czy wspólnie? W Urdzie mógł spotkać Ossendowskiego, ale nie musiał. Recepturę wyrobu gazów trujących i technologię produkcji granatów można przecież zostawić na piśmie. Wątpię, aby młody podporucznik, jakich u Ungerna było niemało, i o wiele odeń starszy naukowiec, polityk, dziennikarz i pisarz stanowili jedną kompanię. Nawet jeśli się w Mongolii nie spotkali, co jest dość prawdopodobne, ich późniejsza wieloletnia znajomość, czy nawet przyjaźń, stwarza wrażenie, że łączyły ich jednak jakieś dalekowschodnie sprawy.

A jeśli Kamil Giżycki rzeczywiście wiedział, gdzie ukryto ungerowski skarb, lub może nawet sam to uczynił. W ostatnim liście chana Romana rzekomo była wzmianka, że jakiś Polak z jego otoczenia zna miejsce złożenia „depozytu”. O tym wiedzano w rodzinie von Ungern-Sternbergów. Nic dziwnego, że jej przedstawiciel poszukiwał kontaktu z szeroko znanym i popularnym pisarzem.

Ustalenie adresu Ossendowskiego, mimo komplikacji związanych z gorączkową atmosferą ostatnich miesięcy okupacji w Polsce, nie przedstawiało większych trudności.

Nie wiemy, jak przebiegało spotkanie w Żółwinie. Jak na pierwszą wizytę trwało stanowczo zbyt długo, nawet uwzględnivszy wspominki o kochanym stryjaszku. Niemieccy oficerowie nie byli aż tak sentymentalni. Sprawa musiała być jednak poważna, skoro obaj rozmówcy poświęcili jej tyle czasu. Czy w końcu doszli do porozumienia? Raczej należy wątpić. A może leutnant Doellert vel Ungern-Sternberg, spostrzegłszy na półce książkę, po prostu pożyczył ją, bo a nuż trafi się wyjaśnienie nurtujących go wątpliwości co do mongolskich spraw chana Romana Teodorowicza. Ossendowski nie był przyjacielem ani powiernikiem barona. Osobiście znał go bardzo krótko, zaledwie parę dni, no może tydzień. Podczas pobytu w Urdzie ciągle obawiał się, że postrada głowę. To na pewno do bliższego kontaktu z dowódcą Azjatyckiej Dywizji Konnej nie zachęcało. Na pewno łączył ich wspólny cel - zwalczanie władzy radzieckiej w Rosji, ale metod, które w tej walce stosowali podkomendni „krwawego barona”, pisarz nigdy nie aprobował. Budziły u niego tylko wstręt i obrzydzenie. I teraz, w ćwierć wieku później, tylko na podstawie oświadczenia jakiegoś leutnanta, że nazywa się tak a tak, bo nie legitymował się na pewno, miałyby mu ofiarować książkę i to nawet nie będącą jego własnością. Może jeszcze zaopatrzyć ją w dedykację. „W dowód szczerej sympatii i na pamiątkę miłych odwiedzin”. Czysty absurd.

Z pozostałymi przy życiu członkami najbliższej rodziny barona nigdy korespondencji nie prowadził. Jest wysoce prawdopodobne, że celem wizyty któregoś z von Ungern-Sternbergów mogło być otrzymanie bliższych danych o miejscu ukrycia mongolskiego depozytu.

⁸¹ „The Voice of Ethiopia”. R. 1938, nr 14.

Jakie są główne przyczyny aktywności niektórych przedstawicieli gatunku homo sapiens, poczynając od epoki kamienia łupanego? Chęć zdobycia bogactw, władzy nad innymi i samic. Wielu słusznie obruszy się na takie stwierdzenie. Oponenti niech jednak wezmą pod uwagę, do kogo stosujemy te ryzykowne uogólnienia. Była to przecież niepisana dewiza dwu dziesiątków pokoleń von Ungern-Sternbergów, zależnie od epoki i okoliczności, wyrażana w ten czy inny sposób. Dlaczego ktoś, kto był jednym z nich miałby postępować inaczej. Nadbałtyccy baronowie, spadkobiercy zbójceckich tradycji Krzyżaków, Kawalerów Mieczowych i piratów, mieli zapewne swoją moralność. Że należeli do „narodu panów”, tego nie musieli im wpajać eks-malarz pokojowy i jego kulawy minister propagandy, którymi w głębi ducha zapewne gardzili. Oni o tym wiedzieli od kołyski i fakt ten przyjmowali jako stan istniejący chyba od początku świata. Ludy nadbałtyckie, rzesze Słowian - ot, mierzwa, wśród której przyszło im żyć.

Doellert trafił do Ossendowskiego, a ten mógł mu powiedzieć tylko tyle, ile sam wiedział. To znaczy raczej niewiele. A ta chwila szczerości przed Bożym Narodzeniem 1942 roku, a „diamenty ważone na funty”?

Nie wierzone mu, jak opowiadał o łapaniu szczupaków pełzających od jeziora do jeziora, ale przyrodnikom w Kraju Ussuryjskim znane są wędrówki ryb z jednego zbiornika wodnego do drugiego, występujące czasem po długotrwałych opadach, gdy wielkie przestrzenie łąk i szuwarów zalewa woda. W ów zimowy, przedświąteczny wieczór pisarz mógł mówić prawdę i to stuprocentową. Baron nie powierzył mu całej kasy Azjatyckiej Dywizji Konnej. Przetransportowanie tej kasy do tak odległego punktu, jak Hajłar czy Harbin, przekracza bowiem możliwości jednego człowieka. Dodanie eskorty nie na wiele by się zdało, jako że w Bardze rządził wówczas osobisty - jak pisze Giżycki - wróg Ungerna, generał Dżan Kuj U, który nie miałby skrupułów, by położyć rękę na „skarbie”. O ile, oczywiście, wcześniej nie uczyniłaby tego samego eskorta, na pewno nie przywykła do posłuchu wobec podejrzanego cywila. „Dieduszka”, jak nazywano barona, kazał takich rozwalać tuzinami, bo a nuż który okaże się zamaskowanym bolszewikiem. Po co jednak mamy wdawać się w takie rozważania. Ossendowski wyraźnie mówi o diamentach, o funtach diamentów. Zmieszczają się do niedużego woreczka. Jednego, dwóch, a to można ukryć choćby w kieszeni podbitej futrem szuby, takiej na przykład, jaką widzimy na Ossendowskim, gdy robi sobie zdjęcie z Mongołami w Bardze. W niepewnej sytuacji samotny jeździec zatrzymuje się na chwilę gdzieś w stepie, rozwala kupę kamieni i wsuwa między nie woreczek. Kamienie układa z powrotem, tak jak były. Wpływy atmosferyczne diamentom nie zaszkodzą. Pozostaje teraz tylko zapamiętać miejsce krótkiego postoju, by w przyszłości łatwo je odnaleźć.

Nie jest to jednak sprawa prosta. Zesłańcy wracający z Syberii, po odbyciu długoletniej katorgi najczęściej bezskutecznie poszukiwali ukrytych przed kozakami w Górach Świętokrzyskich kas powstańczych partii. Dopiero później wnuki czy prawnuki, przypadkowo, wyorywały z ziemi zmurszałe i przeżarte rdzą kufarki, zetłałe szczątki narodowych chorągwi, ryngrafy, obligacje.

Baron, spodziewając się bliskiego końca, korzystał z okazji, aby przez godne zaufania osoby przekazywać w bezpieczne miejsca choćby drobne części nagromadzonych zapasów. Mogła to być sakiewka złotych 5 i 10-rublówek dla żony w Pekinie, mogły to być diamenty dla jakiegoś innego odbiorcy. Wątpliwe, byśmy kiedykolwiek dowiedzieli się, dlaczego pozostały u źródeł Amuru. Jeszcze w okresie względnego powodzenia militarnego dywizji po opanowaniu Urgi gęsto słał się trup panów oficerów, którzy chcieli sobie jakoś zapewnić przyszłość. Emerytury ani renty wojskowej nikt im płacić nie myślał. Jednego z adiutantów barona, nota bene o czysto polskim nazwisku, rozstrzelano razem z żoną za „pożyczenie” na sfałszowany kwit 15 000 carskich rubli w złocie. Suma niemała. Pułkownik Laurionow, korzystając z zamieszania podczas zdobywania Urgi, ukrył znalezione wówczas zapasy złota, za co z rozkazu barona zajął się nim Sipajłow. Chorąży Archipow, który razem z Giżyckim przedostał się do Mongolii z Urianchaju i robił u Ungerna karierę wojskową (pod koniec mianowany esaulem, dowódcą mongolskiej sotni i zastępcą dowódcy pułku), został zgładzony za schowanie u przyjaciela w Urdze pudu i 15 funtów srebra i pudu złota. Listę można by uzupełnić o dalsze mało budujące przykłady. Pudry złota, srebra. Funty drogich kamieni. Mongolia nie była zamożnym krajem. Klasztory posiadały wprawdzie znaczne bogactwa, ale tych Ungern otwarcie nie grabił. Nie mógł sobie podcinać gałęzi, na której siedział, bo lamajska hierarchia kościelna popierała go najbardziej. Obiegowym środkiem płatniczym wśród nomadów od wieków były jamby srebra i cegielki herbaty o wymiarach 40X20X3 cm. Jedna cegielka stanowiła równowartość 0,8-1,5 tajana chińskiego, tj. 5-10 przedwojennych polskich złotych. Skąd u diabła drogie kamienie, złoto? Mongołowie, owszem, lubowali się, ale tylko w koralach i perłach, zdobiąc nimi obficie odzież i włosy zamężnych niewiast. Ale diamenty?

Zapominamy o czasach, w jakich rozgrywały się wypadki.

Irkucka gazeta „Włast Truda” z 11 kwietnia 1920 roku podawała, że po ujęciu Kołczaka odzyskano 20 tysięcy pudów złota na sumę około 410 milionów rubli. Skarb przewożony był specjalnymi wagonami w 5143 oplombowanych skrzyniach i 1680 workach. W marcu „złoty eszelon” pod należytą ochroną ruszył na zachód, po uszkodzonej przez kołczakowców i Czechów magistrali transsyberyjskiej. Złoto powróciło do sejfów kazańskiego banku, skąd w 1918 roku zostało wywiezione.

Dwadzieścia tysięcy pudów to 326,6 ton złota, góra kruszcu. Biali zdolali przez dwa lata „upłynnić” gdzieś przeszło 100 ton. Wspólników mieli zapewne wielu.

Jak pamiętamy, naczelnik Azjatyckiej Dywizji Konnej, poza zasekwestrowanymi w Urdze walorami banku państwowego, których główną część stanowiły sumy ściągnięte od ludności tytułem kontrybucji i zadłużeń u chińskich firm, dysponował również przejętym transportem „kołczakowskiego” złota.

Do tego dochodziły jeszcze skonfiskowane majątności ofiar białego terroru na Zabajkalu i odebrane Chińczykom łupy, bogate podarunki od mongolskich feudałów; jednym słowem, lista wcale nie mała.

Niespełna ćwierć wieku później współplemieńcy barona Romana von Ungern-Sternberga postępowali podobnie. Operujący również w pustyniach, tyle że afrykańskich, feldmarszałek Rommel, gdy z początkiem kwietnia 1943 roku jego Africa Korps ustępował przed natarciem Montgomery’ego, wydał szczególny rozkaz swemu „Devisenschutz Kommando”. Polecił systematycznie plądrować wszystkie muzea, pałace, wille i domy bogatych obywateli Tunisu, Libii i Algierii. Łup był wyjątkowo obfity. Wartość jego wynosiła przeszło 12 milionów angielskich funtów. Tylko małą część odnaleziono po wojnie w Niemczech. Resztę, złożoną w sześciu potężnie okutych i wodoszczelnych stalowych skrzyniach, załadowano 16 września 1943 roku do stojącej we włoskiej bazie morskiej Castellammare di Stabia niemieckiej łodzi torpedowej. Ładunek nie dotarł do miejsca przeznaczenia, korsykańskiego portu Bastia. Zatopiono go w morzu, 15 mil na południe u ujścia rzeki Golo. Poszukiwania trwają do dziś.

Dwa lata później, gdy stało się oczywiste, że klęski nazistowskich Niemiec nic już nie odwróci, władcy III Rzeszy utworzyli tajny skarb, mający służyć odrodzeniu przyszłych „Wielkich Niemiec”. Majątek banku państwowego, ogromne ilości zrabowanych w całej Europie dzieł sztuki, złota, klejnotów zwieziono w okolice Salzburga na teren ostatniego bastionu obronnego „Alpenfestung”. Znalazły się tam również prywatne skarbcze wielu dygnitarzy nazistowskich, m.in. zastępcy Martina Bormana barona von Himmela. Goering wolał ukryć swój łup w piwnicach zamku Veldenstein w pobliżu Norymbergi. Niektórzy wybrali nieczynne kopalnie, alpejskie sztolnie, górskie miejscowości w południowo-zachodnich Niemczech.

Los znacznej części tych bogactw i dzieł sztuki jest nieznany. Nie wiadomo również, gdzie znajduje się skarb gestapo i RSHA - Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Na podstawie inwentarza sporządzonego przez jego ostatniego szefa, Kaltenbrunera, stwierdzono, że odzyskano jedynie nieznaczną część. Zdaniem niektórych ekspertów, wartość ukrytych dóbr materialnych, którymi jeszcze dzisiaj dysponują dawni funkcjonariusze partii hitlerowskiej, gestapowcy i esesmani, sięga sum zawrotnych: 750 milionów do miliarda dolarów. Chan Roman Teodorowicz aż tak zapobiegliwy nie był. Możliwości miał bez porównania mniejsze.

* * *

W sekreteriacie pewnego związku, rezydującego na Krakowskim Przedmieściu, podano mi adres... laureata nagrody literackiej Ziemi Zachodnich z 1955 roku, współpracownika redakcji „Nowych Sygnałów” i „Odry”. Na list odpowiada żona. Przypuszczenia moje są trafne. Niestety, sędziwy pisarz i podróżnik jest w szpitalu. Osobiście odpisze, jak tylko wróci do zdrowia. Nigdy nie miało to nastąpić. Zmarł w kwietniu 1968 roku. Nekrologi podała cała krajowa prasa. Tak urwał się, być może, ostatni ślad. Pozostają tylko domysły oparte na dedukcji i prawdopodobieństwie, a także analiza danych, często pozornie zupełnie nie mających ze sobą żadnego związku, strzępy wiadomości, przypadkowe skojarzenia. Cagan Tołogoi - Biała Głowa. Ktoś kto dobiega osiemdziesiątki może się tak podpisać. Dlaczego jednak ten ktoś użył takiego, a nie innego kryptonimu? Tu wkraczamy na niepewny grunt psychoanalitycznych skojarzeń.

W momencie, kiedy decydował się na podanie w prasie informacji, że baron pozostawił jednak skarb i nawet określił w przybliżeniu miejsce, gdzie go ukryto, Cagan Tołogoi - jak ustaliłem to później - przekroczył zaledwie sześćdziesiątkę. Mężczyźni w tym wieku nie są skłonni przyznawać się do starości.

Do piętrowego, tonącego w zieleni domu jednej z peryferyjnych dzielnic Wrocławia nie trafiłem przypadkowo. Stylowe meble, czarną skórą obity fotel. Na ścianach maski afrykańskie, tarcze, łuki znad Zambezi, pokaźna biblioteka. Pani Alina Giżycka, bo jak się zapewne większość czytelników już domyśliła, tajemniczy Cagan Tołgoi, to jej zmarły niedawno mąż, nie może przyjść do siebie po stracie. Pokazuje zupełnie nieźle wyposażony warsztat ślusarski w kuchni, jedno z jego hobby. Ostatnie wydania tłumaczonych na język niemiecki „Listów z Archipelagu Salomona”, albumy ze zdjęciami afrykańskimi. Panowie ze sztucerami w rękach, korkowych białych kaskach, naganiacze i tragarze, zastrzelone antylopy, krokodyle i słonie u stóp.

- Mój mąż był polskim agentem dyplomatycznym w Liberii, miał tam plantacje i dużo polował.

- A pani też była w Afryce?

- Ja? Nie. Poznałam go dopiero w czasie okupacji. Miał takie ciekawe życie i zawsze go ciągnęło na Czarny Łąd. Ostatni raz go odwiedził parę lat temu. Otrzymał miejsce na polskim trampie. Kiedy wysiadł ze statku w Monrowii, to nie mogli się na niego doczekać. Odpłynęli, znalazł ich dopiero w następnym porcie.

- A może miał tam coś do załatwienia?

- E, nie, chyba nie? Chciał tylko zobaczyć tereny, gdzie była kiedyś jego plantacja i widocznie nie zdążył wrócić na czas.

Gryziemy kruche ciasteczka, pijemy kawę, herbatę. Uwagę moją zwraca kunsztownie w kości słoniowej rzeźbiony nóż do przecinania papieru. Azjatyckie czy afrykańskie to trofeum?

- Wie pan, że nie wiem. Nóż należał jeszcze do mego dziadka, Józefa Ignacego Kraszewskiego.

Ulubiony pisarz mojej młodości. Co za zbieg okoliczności. Teraz siedzę przed jego wnuczką. Zapomniałem, co mnie do niej sprowadziło. Przypominam sobie, gdy już mam się żegnać. O pobycie Kamila Giżyckiego na Syberii i w Mongolii wie jednak bardzo niewiele.

- Kamil bardzo lubił opowiadać o podróżach po Afryce, Oceanii. O tym, co przeżywał w latach dwudziestych na Dalekim Wschodzie, wspominał raczej niechętnie. Tylko raz, zaraz po przyjeździe do Wrocławia, powiedział mi, że spotkał przypadkowo na dworcu swego byłego podkomendnego z V Dywizji Syberyjskiej i później z dywizji Ungerna. No, i te odwiedziny.

- Jakie znów odwiedziny? Bratanka Ungerna?

- E, nie.

Śmiejemy się oboje. Ten Ossendowski to i po śmierci umiał bliźnim kawały płatać.

- Do mego męża, już po tym jak wrócił z Afryki, było to chyba gdzieś w 1963 czy 1964 roku, przyjechało dwóch panów. Prosilili, aby im powiedział, gdzie są ukryte jakieś papiery, dokumenty i skrzynie z tej jego tam mongolskiej dywizji. Obiecywali nawet, że załatwią mu wyjazd do Mongolii lub Chin, ale mąż wtedy już źle się czuł i propozycji nie przyjął. Rozmawiali w gabinecie. Ja robiłam im w kuchni jakieś kanapki, a potem czytałam książkę w drugim pokoju.

Widząc, że do odjazdu pociągu pozostało już tylko niespełna pół godziny, zaczynam się żegnać. Teraz dopiero zauważam wiszące w rogu pokoju duże zdjęcie pisarza. Ma na nim ciemne, prawie granatowe włosy, lekko tylko przyprószone pasemkami siwizny. Pamiętając fotografię zamieszczoną w książce „Przez Urianchaj i Mongolię”, przypuszczam, że podobizna wisząca na ścianie pochodzi również z okresu międzywojennego.

- Mężowi nikt nie dawał tyle lat, ile miał w rzeczywistości. Wyglądał znacznie, znacznie młodziej. Siwieć zaczął dopiero na krótko przed śmiercią.

Dziesięć lat wcześniej, a więc w 1958 roku, nadawca anonimowych listów „białej” głowy jeszcze nie miał. Chciał, być może, wskazać jakiś ślad swoim kryptonimem. Cagan Tołgoi może znaczyć również Biały Szczyt.

W powrotnej drodze do Warszawy miałem czas na uporządkowanie materiałów dotyczących osoby Kamila Giżyckiego. Swoją drogą dobrze byłoby wiedzieć, po co koniecznie zapragnął odwiedzić tę swoją fermę w Liberii. Żona twierdziła, że pozostawił na niej wszystkie rzeczy i nie mógł już wrócić, bo wybuchła wojna. Przez te parę dziesiątków lat zabudowania mogły dawno wrąbać termity, nie mówiąc o książkach, papierach, dokumentach. A jeżeli przed wyjazdem te najważniejsze oddał do przechowania do jakiegoś sejfów bankowego, przedstawicielstwa dyplomatycznego, przyjaciela. Jeszcze raz wracam pamięcią do treści tamtych trzech listów w sprawie „skarbów”. Szczególnie tego ostatniego. Uderza żarliwość, rzecz by można osobiste zaangażowanie, z jakim występuje przeciwko wersji o zakopaniu kasy Azjatyckiej Dywizji Konnej, wersji podanej na łamach „Dookoła Świata”. Argumentuje, zresztą słusznie, że obyczaj zakazuje lamaistom kopania ziemi, uważanej przez nich za świętą. Przypomina, że do niedawna Mongołowie nosili buty z zadartymi w górę nosami, aby spełnić

to przykazanie. Konwojenci, o których wspomina inż. Grochowski, nie mieli łopat ani czasu, a zakopany „skarb” musiałby zostać natychmiast odnaleziony. Potomkowie nomadów odkrywają w stepie ślad kulawego konia, i to sprzed paru miesięcy, a cóż dopiero świeżo skopaną ziemię. A może kasę ukryto w inny sposób?

Dokładne studia nad mapami pozwoliły odnaleźć grupę wzgórz Tabun Tołogi, leżącą jakieś 80 kilometrów przed Tamcagbułag, na drodze do Bargi. Jedno z nich nosi nazwę Cagan Tołogoi. W tej części Mongolii jest wiele starych gór osadowych z licznymi pieczarami i grotami wyflukanymi przez wodę. Ładunek wybuchowy, umieszczony u wejścia jednej z nich po wniesieniu do środka skrzyń, mógł na zawsze uniemożliwić niepowołanym dostanie się do wnętrza. Chan Roman Maksymilian von Ungern-Sternberg w pieśniach nomadów nie żyje. W kraju gór, stepów i pustyni pozostawił pamięć szczególną. Przetrwiała do dziś. „Ułan Odd”, druga co do wielkości nakładu po „Unen” - mongolskiej „Prawdzie” gazeta, przedrukowała za prasą radziecką obszerne fragmenty historycznej opowieści, jaka w połowie 1969 roku ukazała się w niedzielnych wydaniach „Życia Warszawy”. Nosiła tytuł „Tajemnica Ossendowskiego” i była poświęcona wydarzeniom w Mongolii lat dwudziestych. Odezwali się ludzie, pamiętający wypadki sprzed pół wieku. Byli partyzanci, żołnierze. Są przekonani, że zrabowane bogactwa ukryto gdzieś na terytorium Mongolii. Temat „skarbow krawego barona” czy „tajemnicy Ossendowskiego” jest zresztą w dalszym ciągu dość gorliwie eksploatowany przez prasę regionalną zastępując jej „węża morskiego”, który jakoś na razie w Wiśle ukazać się nie chce.

„Życiu Włocławka” przychodzi to o tyle łatwo, że do dziś w pobliskiej Nieszawie każdy wskaże „Ossendówkę”, nieduży, uroczy domek stojący na wysokim brzegu Wisły. Należał kiedyś do rodziny znanej skrzypaczki Zofii z Iwanowskich, pierwszej miłości i późniejszej żony Ossendowskiego. On sam bywał w Nieszawie dość często. Tu szukał wytchnienia i wypoczynku w chwilach wolnych od nawału zajęć i obowiązków jakie czekały na niego w stolicy, chodził z żoną na długie spacery do położonego nie opodal Ciechocinka, gdzie leczył nabyty chyba jeszcze w syberyjskiej tajdze reumatyzm. Tuż przed wojną ściągnął do Nieszawy większość swoich książek i prywatne archiwum jakie zgromadził, pedantycznie segregując w teczkach otrzymywaną przez lata korespondencję, umowy wydawnicze, dokumenty. W miasteczku, którego epoka świetności minęła bezpowrotnie wraz z likwidacją ongiś istniejącej tu (na granicy zaboru rosyjskiego i pruskiego) komory celnej, sławnego na całym świecie literata i podróżnika otaczał wielki szacunek. Przedwojenny sekretarz Zarządu Miejskiego zachował wizytówkę

*Président de l'Association des Hommes de Lettres et des
Journalistes Polonais Antoni Ferdynand Ossendowski
Varsovie ul. Zgoda 8 tel. 720-88*

Notable nieszawscy wiedzieli więc z kim mają do czynienia.

Na posiedzeniu Rady Miejskiej w dniu 22.VIII.1933 r. zapada uchwała, aby pisarzowi nadać honorowe obywatelstwo miasta Nieszawy, a ulicę prowadzącą do dawnego „ujezdnego uprawlenija”, mieszczącego się w posesji Iwanowskich, nazwać jego imieniem. Ossendowscy ze swej strony również starają się podtrzymać dobre stosunki. Pani Zofia daje koncerty w kościele farnym, ofiarowuje część majątności na sierociniec, funduje nowy sztandar dla straży pożarnej. Ossendowski przekazuje niepotrzebne już książki na rzecz Biblioteki Miejskiej i wygłasza odczyty, które zaszczyca swą obecnością cała śmietanka nadwiślańskiego grodu. Bliskie stosunki towarzyskie utrzymywał pisarz z emerytowanym pułkownikiem, prezesem Biblioteki i Czytelni Miejskiej oraz notariuszem w jednej osobie. U niego też pozostawił, sprzedając dom po śmierci żony w 1942 roku, całe swoje „archiwum”. Czy znajdowały się w nim jakieś materiały dotyczące Ungerna, niestety nie wiadomo. „Życie Włocławka” podało, że „Niemcy żywo zainteresowali się papierami Ossendowskiego znajdującymi się pod czujną opieką bibliotekarza w randze pułkownika”. Co się później z nimi stało, trudno powiedzieć. Rzekomo trafiły do rąk dalekiego powinowatego i złożono je na strychu drewnianej willi w jednej z podwarszawskich miejscowości. Dotarcie do nich zapewne wyjaśniłoby niejednen interesujący moment w wyjątkowo niespokojnym życiu pisarza i podróżnika. Notariusz został zamordowany w obozie koncentracyjnym, ale jego śmierci ze sprawą mongolskich skarbow łączyć chyba nie można. Natomiast zgoła zagadkowo przedstawia się włamanie do „Ossendówki” na krótko przed wojną. Złodziej, czy złodzieje, wykorzystując nieobecność gospodarza dokładnie splądrowali cały dom. Co zginęło - tego nikt w Nieszawie nie wie. Natomiast na pewno nie ruszono myśliwskich trofeów, broni, obrazów i srebrnych sztuców. Strasznie porozbijane było tylko biurko i stojąca obok niego szafka. Dziwnym zbiegiem okoliczności prawie w tym samym czasie, niedaleko od Lwowa pastwą płomieni pada dom Kamila Giżyckiego. Ulegają zniszczeniu rękopisy, skrzynie z dopiero co przysłanymi do Polski zbiorami afrykańskich eksponatów. Poszlaki wskazywały na podpalenie. Kto i po co tego

dokonał - nie dowiemy się nigdy. Może zacierał ślady po nieudanych (lub... udanych?) poszukiwaniach testamentu barona Ungerna.

Książka ta trafi do rąk czytelników po przeszło pięćdziesięciu latach od chwili śmierci testatora. Depozyt, o ile nie zgłoszą się prawowici spadkobiercy, miał rzekomo przejść na cele lamaizmu. Czas w Azji mierzy się inną miarą. Choć Irkuck przez Ułan Bator i Kałgan ma połączenie kolejowe z Pekinem, na lotniskach w Uliasutaju, Kobdo, Bułgan parę razy dziennie lądują samoloty, a na piaski pustyni Dżungarii, po których przemykał się z dzarą Kamil Giżycki, z pobliskich poligonów pada dziś błysk chińskiej bomby „H”, być może był ktoś pamiętający o dacie 17 września 1971 roku. Na mocy testamentu usiłował wejść, a może no-wet wszedł, w posiadanie depozytu. Faktu tego na pewno nie rozgłosił.

Inżynier Grochowski napisał, że „skarb barona” ważył blisko półtorej tony, bez obitego blachą kufra. Cóż? Możliwe. Niewątpliwie największą wartość stanowiły przedmioty starej sztuki sakralnej Tybetu, Chin, Indii. Wspaniałe złote posągi bogów, wykonane mistrzowskimi dłońmi klasztornych rzemieślników, ozdoby i biżuteria kobiet z księżących rodów, tabakierki, całymi latami kunsztownie rzeźbione w nefrycie, agacie lub koralu; rzeczy, których posiadaniem szczyciłoby się dzisiaj każde muzeum na świecie.

Są one własnością narodu mongolskiego i w Mongolii powinny pozostać. Skarby wawelskie do kraju wróciły zza oceanu. Te znad brzegów jeziora Buir nur prędzej czy później trafią do muzealnych gablot. Chyba, że pustylny piach, rumowiska skalnych grot i bagna okażą się silniejsze od woli człowieka. Kto ostatecznie odniesie zwycięstwo - pokaże czas.

FOTOGRAFIE.



Baron Roman w 1907 r.



Nasz „bohater” w mundurze pułku nerażyńskiego Kozaków zabajkalskich



Ungern — chan mongolski



Brama do pałacu Bogdo-gegena

Pogdo-gegen — głowa kościoła lamajskiego w Mongolii





Suburgan i pomosty modlitwne



Jeden z nielicznych starych domów w stolicy Mongolii

Świątynia Gandan, widok współczesny



Przedrewolucyjna Urga





護照

中華民國十年三月廿五日

查該商倫其爾特爾兼交辦員公
領出地方官印信
查該商倫其爾特爾兼交辦員公
領出地方官印信
查該商倫其爾特爾兼交辦員公
領出地方官印信



天
月
日

Dzara wystawiona przez władze chińskie dla A. F. Ossendowskiego



Jaki ciągną przez pustynię Gobi Fiata Ossendowskiego

A. F. Ossendowski wśród Mongołów w Bardze





Antoni Ferdynand Ossendowski parę lat przed śmiercią

Pałacyk w Żółwinie pod Warszawą



Klasztorna waza-kadzielnica

Tabakierka z agatu



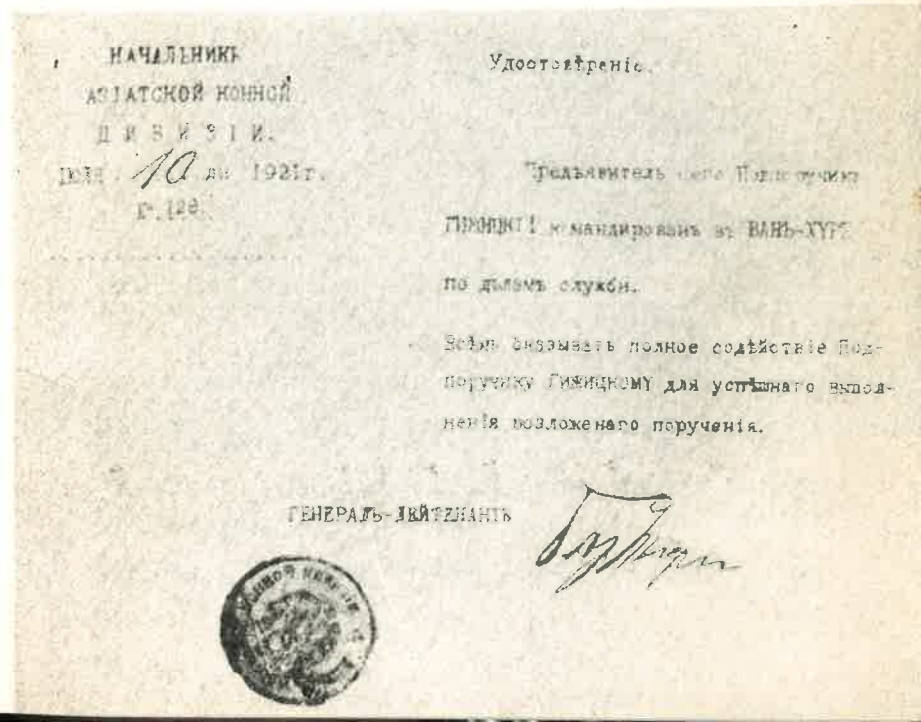


Przeor klasztoru Wan Chure



Kamil Giżycki

Rozkaz wyjazdu podpisany przez Ungerna





Christian Renatus von Ungern-Sternberg (1746—1803)



Anna von Ungern-Sternberg (1752—1803)



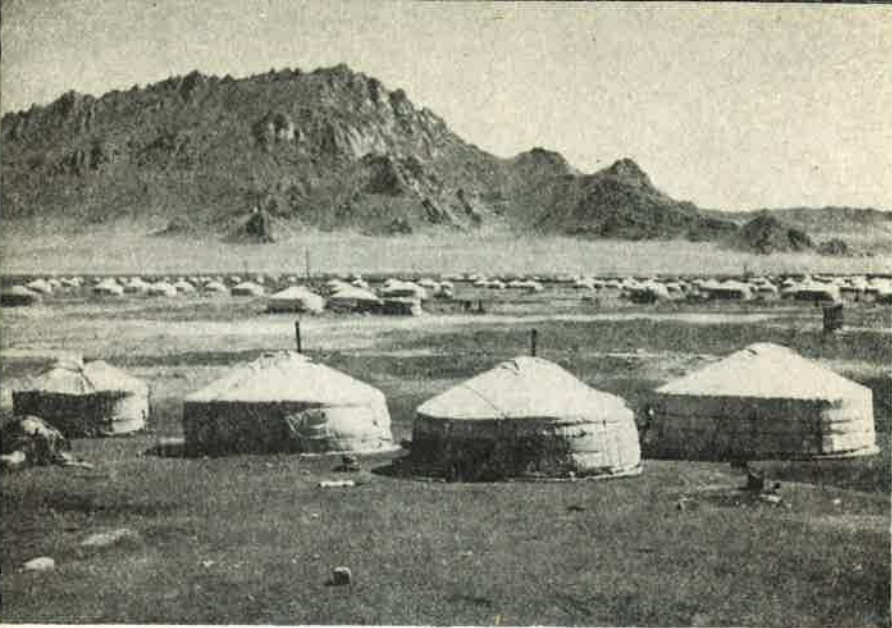
Karol von Ungern-Sternberg (1773—1830)



Dwukołowych arb używa się jeszcze dziś

Mongolskie siodło i taszur





W tej części świata jurty są niezastąpione

Stepowy trakt



Kamienny kopczyk — stepowy drogowskaz

Wzgórek kultowy „owo”

